



Nr 07-08 (122-123)

LIPIEC-SIERPIEŃ 2023

CENA: 11,90 zł (w tym 8% VAT)

WSIECI

HISTORII

MAGAZYN O POLSCE, HISTORII I KULTURZE



NIEZNANA CHLUBA POLSKIEJ KAWALERII

OSTRA JAZDA

INDKS 29727 ISSN: 2300-6803





Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was przygotowujemy pełne świetnych tekstów magazyny „wSieci Historii” oraz tygodniki „Sieci”, dzięki którym możecie:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskim dziennikarstwie.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru magazynu „wSieci Historii” i tygodnika „Sieci”!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół „wSieci Historii” i „Sieci”

Jak zamówić papierową prenumeratę?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
SIECI HISTORII	-	169 zł	295 zł + książka gratis!

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu,** opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 9-16)



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty na pocztę:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 265 zł)



NA WAKACJE

Temat przewodni niniejszego numeru „wSieci Historii” jest nieco ukryty, choć obecny niemal w każdym artykule. Proponujemy bowiem odbyć wakacyjną podróż po wybranych miejscach Polski, od Władysławowa, gdzie mieszkał po I wojnie światowej gen. Józef Haller, po Jurczyce w Krakowskim, gdzie się z kolei urodził. Nie stronimy od zagranicy – w przypadku generała zachęcamy do podróży do Londynu, gdzie niezłomny przedstawiciel II Wielkiej Emigracji zmarł 4 czerwca 1960 r. Z kolei 13 sierpnia br. przypada 150. rocznica urodzin tego wybitnego „błękitnego” generała. Zapraszamy przy okazji do podróży afrykańskiej, tym razem dzięki felietonowi Ryszarda Czarneckiego, konkretnie do Senegalu – gdzie także nie brakowało i nie brakuje wybitnych Polaków.

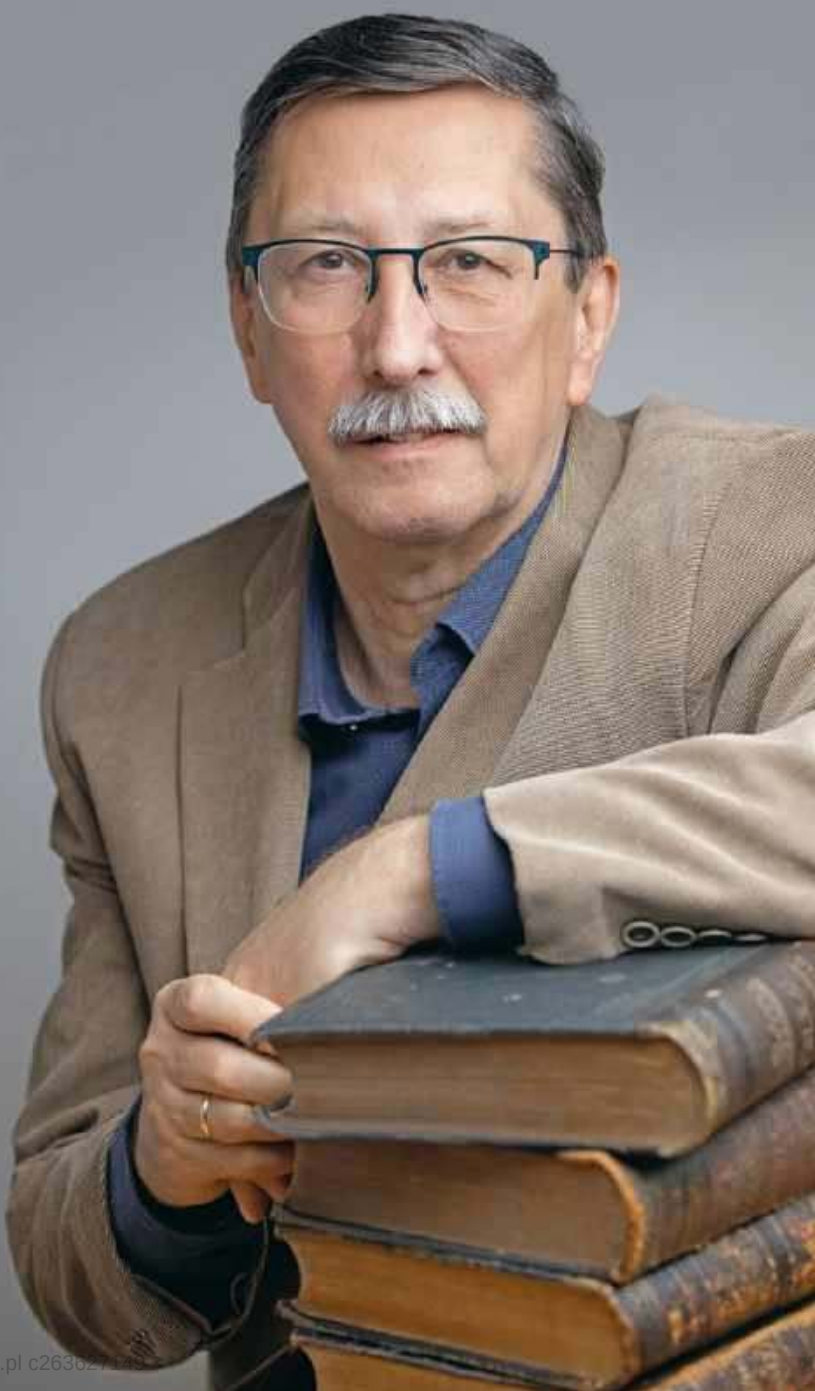
W roku Mikołaja Kopernika wypada zajrzeć na północ Polski, na Warmię – do Fromborka i Olsztyna, a także na Pomorze do pięknego Torunia. O Koperniku pisze Grzegorz Górny. Niemal na trasie (zależy z której strony się zacznie) kopernikańskich szlaków znajdziemy Drozdowo koło Łomży. To majątek wspaniałego rodu Lutosławskich, gdzie w nocy z 1 na 2 stycznia 1939 r. zmarł Roman Dmowski. Pisz o nim w naszej stałej rubryce Jarosław Kossakowski. Dziś dwór, pozostający pod władzą starościńską jako Muzeum Rodziny Lutosławskich i Romana Dmowskiego, przekształca się z placówki przyrodniczej na zdecydowanie historyczno-ziemianiską.

Jak wiadomo, wszędzie jest blisko. W lipcu, konkretnie w okolicach 15. dnia tego miesiąca, warto zajrzeć do Grunwaldu, by wspólnie z polskimi rycerzami i autorem tekstu Waldemarem Mierzwą znów pokonać Krzyżaków.

Polacy w miesiącach wakacyjnych wędrują, a także pielgrzymują, szczególnie do miejsc, w których rozwinął się kult Matki Boskiej. Już pierwszego dnia lipca na Jasną Górę przybędą jak co roku nauczyciele oraz delegacja Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego J. Paderewskiego, którym mam zaszczyt kierować, zaś następnego dnia dotrą słuchacze Radia Maryja, i tak do końca wakacji i dalej. O. Paweł Zajac pisze zaś o niezwykłych losach obrazu Matki Bożej Kodeńskiej, znajdującego się w pięknej świątyni pw. św. Anny tego przygranicznego miasta. Co roku pielgrzymują tam tysiące pątników z całej Polski.

Pamiętajmy też, by z wakacji wysłać pocztówkę – o jej dziejach w świecie i na ziemiach polskich pisze z kolei Gabriela Sierocińska-Dec, przypominając, że słowo to w języku polskim zawdzięczamy Henrykowi Sienkiewiczowi, który w otwartym konkursie ukrył się pod oczywistym dla niego ps. Maria. Warto zwrócić uwagę na załączoną do tekstu pocztówkę wysłaną dawno temu, w czasach zaborów, z Niemiec do mojego przodka – młodego Jana Karszo-Siedlewskiego, późniejszego dyplomaty z okresu II RP. Kartka ta doszła do niego, mimo że została wysłana na adres... nieistniejącego państwa. Do Polski. ■

JAN ŻARYN



HISTORIA

12

POCZTÓWKI STAŁY SIĘ DOSKONAŁĄ DOKUMENTACJĄ SWOICH CZASÓW – UPAMIĘTNIONE NA NICH MIEJSCA SĄ BARDZO CZĘSTO OSTATNIM ŚWIADECTWEM ŚWIATA, KTÓREGO JUŻ NIE MA – **PISZE GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC**

14

GEN. JÓZEF HALLER TO POSTAĆ DZIŚ Z JEDNEJ STRONY ZNANA, OBECNA W EDUKACJI SZKOLNEJ, ALE Z DRUGIEJ STRONY TAK BOGATA, ŻE UMYKAJĄCA W POWSZECHNEJ ŚWIADOMOŚCI POLAKÓW – **OCENIA JAN ŻARYN**

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

6 CO BYŁO, CO BĘDZIE
PIOTR MAZUREK

10 SOWIETYZACJA I DEPOLONIZACJA
PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

12 POCZTÓWKI DZIEJE NIEZWYKŁE
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

14 W 150. ROCZNICĘ URODZIN BŁĘKITNEGO GENERAŁA
JAN ŻARYN

16 300-LECIE KORONACJI PAPIESKIEJ OBRAZU MATKI BOŻEJ KODENSKIEJ
PAWEŁ ZAJĄC OMI

18 MÓJ GRUNWALD
WALDEMAR MIERZWA

21 POLACY NIE GĘSI I SWÓJ SPORT TEŻ MĄJĄ
BARTŁOMIEJ DŁUGOSZ

WEHIKUŁ CZASU

24 LIPIEC, SIERPIEŃ
MICHAŁ KOMUDA

FELIETONY

43 1967 – CZARNI PUŁKOWNICY U WŁADZY
PAWEŁ SKIBIŃSKI

81 WSZYSTKO JASNE!
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

82 SILVA RERUM
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

83 GIEREK
ANTONI DUDEK

83 POLSKI SENEGAL
RYSZARD CZARNECKI

88 MIECZYŚLAW LISOWSKI. PUNKTUALNOŚĆ JAK W ZEGARKU
ARTUR KUBAJ

90 GENIUSZ KOPERNIK
GRZEGORZ GÓRNY

SKARBY AGAD

28 KRESOWIACY
JACEK KROCHMAL

AAN

30 INSTYTUT JOZEFĄ PIŁSUDSKIEGO – 100 LAT PAMIĘCI
RAFAŁ KIERZKOWSKI

DUSZA KONTUSZA

32 PRZEGRANY WIZJONER – STANISŁAW KAZIMIERZ BIENIEWSKI
HENRYK LITWIN

DAWNO TEMU

36 JAZDA KOZACKA LUBO TEŻ PANCERNI
BARTOSZ STARĘGOWSKI

40 IGNACY PRĄDZYŃSKI O NOCY LISTOPADOWEJ
PIOTR ŚWIĄTECKI

ZDARZYŁO SIĘ

44 HISTORIA RODZINY MARCINKIEWICZÓW W CIEŃ PUSZCZY KNYSZYŃSKIEJ
ALICJA OWCZARZUK

47 DZIAŁALNOŚĆ ANTYKOMUNISTYCZNA I ŚMIERĆ „EUSTACHEGO” Z NSZ
KAMIL SULEJ

50 JEGO MOTTEM BYŁA SŁUŻBA. 75. ROCZNICA ŚMIERCI PŁK. STANISŁAWA KASZNICY
KRZYSZTOF DZIADZIUSZKO

52 TRAGICZNY ŚLUB W KOŚCIELE SW. ALEKSANDRA
MARIUSZ OLCZAK

55 „Z DUBELTÓWKĄ W JEDNEJ, A LEGITYMACJĄ PARTYJNĄ W DRUGIEJ RĘCE”
ELŻBIETA ROMANOWSKA

58 POZORNA ZGODA. REALIZMY POLITYCZNE ŚRODOWISK KATOLICKICH MIĘDZY 1945 A 1948 r.
PRZEMYSŁAW PAZIK

ZIEMIĄSTWO

61 NARODOWY DUCH W DROZDOWSKIM DWORZE
JAROSŁAW KOSSAKOWSKI





36 SIŁA UDERZENIOWA JAZDY PANCERNEJ NIE DORÓWNYWAŁA CO PRAWDA HUSARZOM, JEDNAKŻE NADRABIAŁA ONA TO SZYBKościĄ I ELASTYCZNOŚCIĄ DZIAŁAŃ. MÓWIŁO SIĘ O TEJ FORMACJI KAWALERII, ŻE NIE SCHODZI Z POLA BITWY ANI SIĘ NIE COFA – WSKAZUJE BARTOSZ STARĘGOWSKI

IDMN

64 ŻYCIE DLA POLSKI. FRAGMENT NIEPUBLIKOWANYCH WSPOMNIEN

MARIAN BARAŃSKI



PRASPORT

67 PIERWSZA AFERA NA OKĘCIU, CZYLI PRZEMYTNIICY Z LEGII WARSZAWA

GRZEGORZ MAJCHRAK

PEŁNA KULTURA

72 LUDWIKA EHRLICH UMIŁOWANIE WŁODKOWICA

MAGDALENA MERTA

74 GEN NIEŚMIERTELNOŚCI: „EDYP I ANTYGONA” W KULTURZE POLSKIEJ

JERZY MIZIOŁEK



78 W KRĘGU KLIO

RAFAŁ ŁATKA

80 ROZMOWA Z DR. MICHAŁEM PRZEPERSKIM

RAFAŁ ŁATKA



HISTORIA UBEZPIECZEŃ

84 NARODOWY UBEZPIECZYTEL CZERPIE Z 220 LAT TRADYCJI UBEZPIECZEŃ



ROCZNICA

91 WOŁYŃ NA POWĄZKI!

PAWEŁ ZDZIARSKI



DIABEŁ NIE MÓGŁ

92 POETKA Z DZBANKIEM MALIN

JOANNA PUCHALSKA



SZLACHETNE ZDROWIE

94 POZNAWANIE STAROŚCI

KRZYSZTOF ŻARYN



CZYM STRZELAĆ



96 MANNLICHER-CARCANO, CZYLI WŁOSKI AMICO

KACPER GROCHOCKI

Z FOTOTEKI IPN

97 FOTOGRAFIA ZE STALAGU

MARIUSZ KWIETNIEWSKI

NAC PREZENTUJE

98 PRALKA „FRANIA”

ŁUKASZ
KAROLEWSKI



ZE ZBIORÓW MPW

99 NAJWAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA DO POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

KATARZYNA
UTRACKA



Order Orła Białego dla przewodniczącego Rady Programowej IDMN

3 maja, z okazji przypadającego tego dnia narodowego święta, prezydent RP Andrzej Duda odznaczył Orderem Orła Białego przewodniczącego Rady Programowej Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej prof. Stanisława Mieczysława Gebhardta. Był on m.in. harcerzem Szarych Szeregów, żołnierzem Armii Krajowej, a po aresztowaniu przez Gestapo więźniem niemieckich obozów koncentracyjnych Gross-Rosen i Mauthausen. Po wojnie przebywał we Włoszech i w Wielkiej Brytanii. Został pozbawiony polskiego obywatelstwa przez komunistyczne władze PRL. Przez kilkadziesiąt lat należał do kierownictwa Stronnictwa Pracy na Uchodźstwie. Współtworzył i angażował się w działalność wielu emigracyjnych organizacji społecznych i kulturalnych, m.in. Związku Studentów Polskich, Związku Młodych Unii Federalnej Europy, Związku b. Żołnierzy AK, Macierzy Szkolnej, Grupy „Merkurysza”, Rady Polaków we Włoszech oraz Klubu Polskiego w Rzymie. Współpracował z Robertem Schumanem. Po powrocie do ojczyzny działał w reaktywowanym Stronnictwie Pracy, którego był wiceprezesem, a następnie pełnił funkcję wiceprezesa Ruchu Odbudowy Polski. Decyzją o uhonorowaniu prof. Gebhardta najwyższym



polskim odznaczeniem państwowym została podjęta przez głowę państwa „w uznaniu znamienitych zasług dla niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, za wybitną działalność na rzecz polskiej emigracji poprzez pielęgnowanie tożsamości narodowej, zachowanie ciągłości dziedzictwa kulturowego oraz propagowanie wartości chrześcijańskich i demokratycznych, za wierność Polsce wolnej

i suwerennej”. Podczas tej samej uroczystości na Zamku Królewskim w Warszawie Order Orła Białego wręczono także Joannie Wnuk-Nazarowej, kompozytorce, dyrygentce i pedagog, byłej minister kultury, członkini Kapituły Nagrody im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. W wydarzeniu wzięli udział m.in. przedstawiciele władz państwowych, a także dyrektor IDMN prof. Jan Żaryn.

„Raport Pileckiego” w Muzeum Ofiar Komunizmu w Waszyngtonie

26 maja w Muzeum Ofiar Komunizmu w Waszyngtonie odbył się przedpremierowy pokaz filmu „Raport Pileckiego” w reżyserii Leszka Wosiewicza oraz Krzysztofa Łukaszewicza. Muzeum Ofiar Komunizmu w Waszyngtonie, w którego powstanie zaangażowana była Polska Fundacja Narodowa, to pierwsze tego typu miejsce na świecie, upamiętniające blisko 100 mln ofiar zbrodniczego systemu. Jedną z nich był Witold Pilecki, zamordowany 25 maja 1948 r. przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa. Do uczestników wydarzenia swoje przesłanie w formule wideo skierował wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński. Wśród obecnych na pokazie znaleźli się: były ambasador USA przy ONZ w Genewie, prezes Fundacji Pamięci Ofiar Komunizmu Andrew Bremberg, wiceprzewodnicząca Fundacji Pamięci Ofiar Komunizmu Elizabeth Edwards Spalding, była ambasador Stanów Zjednoczonych w Estonii Aldona Zofia Woś oraz prezes Polskiej Fundacji Narodowej dr Marcin Zarzecki i wiceprezes PFN Michał Góras. Organizatorami wydarzenia były Telewizja Polska, Polska Fundacja Narodowa, Wytwórnia Filmów Dokumentalnych i Fabularnych oraz waszyngtońska Fundacja Pamięci Ofiar Komunizmu. „Raport Pileckiego” to film inspirowany historią życia rtm. Witolda Pileckiego – bohatera toczącego heroiczną walkę z bestialstwem i okrucieństwem dwóch totalitarnych systemów XX w.: nazizmu i komunizmu. Filmowy obraz przedstawia jednak Pileckiego nie tylko jako



FOT. MACIEJ BIEDRZYCKI/PFN

bohatera wojennej pozoży, lecz także jako kochającego męża i ojca. Tytułowy „Raport” stanowi nawiązanie do jednego z największych wyzwań, których podjął się Pilecki – przeniknięcia jako ochotnik do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz i jego dokładnej infiltracji. Zebrane przez niego podczas niemal 2,5-letniej niewoli materiały pozwoliły na przedstawienie światu olbrzymiej skali zbrodni, których Niemcy dopuszczali się za murami obozu. W rolę rotmistrza wcielił się Przemysław Wyszyński, Marię Pilecką zagrała Paulina Chapko. W obsadzie filmu znaleźli się też m.in. Marek Jakus, Karol Wróblewski i Paweł Paprocki. Obraz dopełnia mistrzowska muzyka Michała Lorenca.

Wmurowano kamień węgielny pod siedzibę Instytutu Pileckiego

15 maja miała miejsce uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod budowę siedziby Instytutu Pileckiego przy ul. Siennej w Warszawie. „Dzisiejsza uroczystość przybliżyła nas do chwili, kiedy działania Instytutu Pileckiego będą mogły być jeszcze lepiej prezentowane polskiemu społeczeństwu. Wierzę, że to miejsce na stałe wpisze się w mapę najważniejszych ośrodków refleksji nad historią Polski i Europy w XX w.” – powiedział w trakcie wydarzenia wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński. Przypominał on, że od niemal sześciu lat Instytut prowadzi szeroko zakrojoną działalność naukową, edukacyjną, archiwalną, wydawniczą, wystawienniczą i społeczną. Minister kultury podkreślił też wagę realizowanego przez Instytut programu „Zawołani po imieniu”, który przywraca pamięć o Polakach zamordowanych za pomoc Żydom w czasie okupacji hitlerowskiej. Wraz z kamieniem



FOT. DANUTA MATLOCHAKIDIN

węgielnym wmurowana została kapsuła czasu, która będzie dla potomnych nie tylko źródłem wiedzy, lecz także cennym artefaktem. Z umieszczonych w niej dokumentów przyszłe pokolenia dowiedzą się, że Polska w czasie agresji Rosji na Ukrainę była zarówno liderem pomocy humanitarnej i militarnej, jak i najsukuteczniej dokumentującym zbrodnie rosyjskie partnerem Ukrainy.

Otwarcie Muzeum Kresów w Sejnach

12 maja w Klasztorze Podominikańskim w Sejnach otwarto Muzeum Kresów Rzeczypospolitej Obojga Narodów. „Kresy to ogromna część polskiej historii, będąca nauką o wyborach, współistnieniu różnych kultur czy religii, ale także heroicznych czynach i rozwoju Polski. Mamy obowiązek pamiętać i uczyć się na podstawie wydarzeń i historii tamtych czasów” – powiedział wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński podczas uroczystości. Dzięki decyzji MKiDN parafia rzymskokatolicka pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Sejnach otrzymała dofinansowanie w wysokości ok. 20 mln zł

na realizację zadania przygotowania nowego muzeum. Powstały cztery wystawy stałe oparte na materiałach multimedialnych, które tworzą cykl Muzeum Kresów Wschodnich: „Historia Kresów Wschodnich” – opowiadająca o historycznych ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej i ich mieszkańcach; „Wielokulturowość Kresów Wschodnich” – ukazująca wzajemne relacje kulturowe oraz religijne między przedstawicielami różnych grup narodowych, etnicznych i wyznaniowych w regionie; „Ludzie Kresów Wschodnich” – prezentująca opowieść o znanych i nieznanach obywatelach Kresów i ich wpływie na dzisiejszy obraz



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

kultury, literatury, nauki; „Mitologia Kresów Wschodnich” – ukazująca nie tylko mity, lecz także ich recepcję w sztuce, literaturze, myśli politycznej oraz pamięci historycznej.

W ramach projektu przygotowano także interaktywne scenariusze lekcji muzealnych, które poprzez interakcje będą edukować zarówno dzieci, jak i dorosłych.

Spotkanie z redakcją „wSieci Historii”

W niezwykłej kawiarni Agere Contra 28 czerwca o godz. 18.30 odbędzie się spotkanie na temat „wSieci Historii» jako narzędzie uprawiania polityki historycznej”. Gośćmi spotkania będzie redakcja „wSieci Historii”: redaktor naczelny prof. Jan Żaryn oraz jego zastępcy Małgorzata Żaryn i Michał Karpowicz.

Prawda historyczna jest fundamentalna dla naszego rozumienia przeszłości i kształtowania przyszłości. Poznanie jej umożliwia nam zrozumienie kontekstu decyzji i wydarzeń, które wpłynęły na naszą współczesność, pozwala budować odpowiedzialną społeczność. Polityka historyczna odnosi się do sposobu, w jaki społeczeństwa interpretują i używają historii w kontekście działań politycznych. Jest to proces, który dotyczy wyboru, prezentacji i interpretacji faktów historycznych w celu tworzenia narracji oraz wzmocnienia określonych wartości, tożsamości i celów społecznych. Zachęcamy do wspólnej refleksji w ten letni wieczór. Spotkanie odbędzie się w wyjątkowym miejscu w stolicy. Jeśli szukacie inspirującej i pokazującej autorytet kawiarni, to Agere Contra jest właśnie takim miejscem!

Gospodarze przywiązują ogromną wagę do wartości chrześcijańskich i konserwatywnych. Tworzą przestrzeń, gdzie można poznać prawdę o świecie i czerpać inspirację z głębokich wartości, a wydarzenia tu organizowane rozbudzają ciekawość i umożliwiają odkrywanie nowych perspektyw.

W Agere Contra można spotkać wybitne polskie osobowości: profesorów, doktorów, naukowców czy księży, którzy będą ekspertami w swoich dziedzinach, zabierają gości w podróż przez świat, by odkrywać jego tajemnice i pobudzać do myślenia.

To miejsce to również małe centrum konferencyjne – idealne do organizacji spotkań biznesowych, szkoleń czy prezentacji, a także imprez rodzinnych.

Wraz z „wSieci Historii” zapraszamy na spotkanie do Agere Contra, gdzie będzie możliwość wzajemnego poznania, wymiany opinii, stworzenia środowiska. Niech to wydarzenie da nam możliwość poznać inne oblicze historii.

28 czerwca, godz. 18.30, Agere Contra przy ul. Chłodnej 2/18 w Warszawie.

Tomasz Sztreker



Zachęcamy do udziału w IV Szkole Letniej IDMN

13–18 sierpnia w Ośrodku „Wiatraki” w Marózkach k. Olsztynka pod hasłem „Laboratorium Polskość” odbędzie się czwarta edycja Szkoły Letniej Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej. Wydarzenie stanowi szczególnie komponent realizowanego przez Instytut projektu pt. „Polskość – dziesięć wieków definiowania narodu”. Podczas tygodniowego spotkania uczestnicy będą mieli okazję wziąć udział w ponad 30 warsztatach i wykładach prowadzonych przez wybitnych specjalistów – historyków, filozofów, socjologów i edukatorów. Wśród nich wymienić można m.in. prof. Wawrzyńca Rymkiewicza, prof. Krzysztofa Kosełę, prof. Karola Samsela, prof. Wojciecha Kaliszewskiego, prof. Hansa-Jürgena Bömelburga czy dyrektora IDMN prof. Jana Ża-

ryna. Zajęcia dla uczestników odbędą się w dwóch formach – wspólnych wykładów i warsztatów z podziałem na grupy (grupa nauczycieli, studentów i doktorantów). Zorganizowane zostaną w pięciu blokach tematycznych: „Oblicza polskiego mesjanizmu”, „Polska immanentna czy transcendentna?”, „Polski wymiar człowieczeństwa”, „Polska historyczna i mityczna”, „Przestrzeń polskości”.

Planowana jest sesja okolicznościowa poświęcona polskiemu doświadczeniu historycznemu z okazji przypadającej podczas trwania Szkoły Letniej 103. rocznicy Bitwy Warszawskiej. Uzupełnienie będzie stanowić objazd terenowy, podczas którego uczestnicy odwiedzą skansen w Olsztynku i olsztyńską starówkę, a także potańcówka połączona z warsztatami

tańców ludowych, które poprowadzi Kapela Niwińskich. Planowany jest wspólny spływ kajakowy. Do udziału w wydarzeniu zaproszeni są nauczyciele przedmiotów humanistycznych oraz studenci i doktoranci takich kierunków. Udział w wydarzeniu jest bezpłatny, a liczba miejsc ograniczona. Organizatorzy zastrzegają sobie możliwość wyboru zgłoszeń na podstawie przesłanych odpowiedzi, względnie kolejności zgłoszeń. Zgłoszenia można przysyłać poprzez formularz dostępny na stronie www.idmn.pl do 30 czerwca. Szczegółowy program wydarzenia zostanie przesłany zakwalifikowanym uczestnikom najpóźniej na miesiąc przed rozpoczęciem wydarzenia. Kontakt z organizatorami jest możliwy poprzez adres e-mail: szkola.letnia@idmn.pl.

„wSieci Historii” w Radiu dla Ciebie...

24 czerwca, 22 lipca (soboty) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika.



...w Radiu Warszawa...

28 czerwca (środa) o godz. 9.15 Radio Warszawa oraz magazyn „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gośćmi Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma.



...i w Radiu Gdańsk



Prezentacja najnowszego numeru „wSieci Historii” w każdą ostatnią środę miesiąca o godzinie 23:09 w audycji Wojciecha Sulecińskiego pt. „Co to za Historia”.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
WSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
pakiet SIECI i WSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania WSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań WSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej



Pozegnanie Małgosi

*14 CZERWCA BR. O GODZ. 17.00 ZMARŁA W WARSZAWIE
S. MAŁGORZATA KRUCZEK, URSZULANKA SERCA JEZUSA
KONAJĄCEGO. MIAŁA 61 LAT. ZNAŁEM JĄ DOBRZE OD 20 LAT.
BYŁA MOJĄ DOKTORANTKĄ, WSPANIAŁYM HISTORYKIEM,
JESZCZE WSPANIAŁSZYM CZŁOWIEKIEM*



Po studiach polonistycznych i bibliotecznych na KUL-u pracowała jako katecheta w parafii św. Krzyża w Gorzowie, po czym w 1987 r. wstąpiła do zgromadzenia urszulanek. Ukończyła też studia podyplomowe z duchowości na warszawskim Bobolanum.

Po złożeniu ślubów zakonnych przez rok pracowała w szkole w Pniewach k. Poznania, w domu zakonnym jako nauczycielka języka polskiego, a następnie została włączona do zespołu osób przygotowujących do druku teksty bł. Urszuli Ledóchowskiej i do szerzenia jej kultu. Do końca życia wykorzystywała swą wiedzę na temat założycielki zgromadzenia, pisząc o niej liczne prace: książki, artykuły, a także występując publicznie w mediach i podczas konferencji naukowych. W latach 1994–2001 przebywała we Francji we wspólnocie urszulańskiej współpracując z braćmi z Taizé. W latach 1998–2001 była przełożoną tej wspólnoty, której zadaniem było organizowanie spotkań dla młodzieży oraz opieka nad dziewczętami z Polski i z innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Po powrocie do Polski przez długie lata pracowała w warszawskim Domu Zgromadzenia Urszulanek przy ul. Wiślanej, a następnie w domu pniewskim, gdzie porządkowała i opracowywała tamtejsze archiwum zgromadzenia. Od 2001 r. do śmierci uczestniczyła w moim seminarium doktorskim, gdzie m.in. wspierała mnie i cały zespół młodych naukowców w sprawach organizacyjnych i naukowych, ale przede wszystkim przygotowała rozprawę doktorską pt. „Władze komunistyczne wobec zakonów żeńskich w Polsce na przykładzie Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego (szarych urszulanek) w latach 1945–1989”. Praca została ukończona i przyjęta na UKSW. Nie zdążyła zmierzyć się z jej publiczną obroną. W ciągu tych lat swej naukowej, publicystycznej i medialnej aktywności stała się wybitnym członkiem naszej historycznej społeczności, specjalizującym się szczególnie w dziejach żeńskich zgromadzeń zakonnych na ziemiach polskich, w tym swego Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego oraz biografii jej założycielki św. Urszuli Ledóchowskiej. W swoim bogatym dorobku naukowym i popularyzatorskim pozostawiła aż 10 książek popularnonaukowych, 8 publikacji naukowych zwartych, w tym wychodzących pod jej redakcją zbiorów

artykułów monograficznych (m.in. w serii INH UKSW „W służbie Niepodległej”) oraz opracowane 2 tomy „Pro memoria” prymasa S. Wyszyńskiego. Ponadto napisała 44 artykuły naukowe opublikowane w punktowanych czasopismach, w tym 2 obcojęzyczne i co najmniej 80 tekstów popularnych (m.in. w „Sieci Historii”, „Biuletynie IPN” czy w „Biuletynie ŚŻŻAK”). Jej publicystyka religijna obejmuje dużo więcej pozycji, w sumie ok. 180 artykułów. W dorobku zgromadzenia pozostanie jej redakcja 22 dzieł innych autorów, w tym głównie Urszuli Ledóchowskiej. Jako moja doktorantka zorganizowała aż pięć konferencji naukowych (w ramach UKSW, a także na terenie Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie). Od 2001 r. brała udział w pracach międzyzakonnej grupy historycznej, działającej przy Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych w Polsce, afiliowanej do Instytutu Geografii Historycznej Kościoła KUL. Współpracowała od lat z IPN, w tym z redakcją „Biuletynu”. S. Małgosia miała świetny kontakt z mediami, stąd w jej dorobku pozostaną dwa filmy dokumentalne, religijno-historyczne oraz konsultacje filmowe. Była też tłumaczką dzieł z języka francuskiego.

Od momentu powstania IDMN im. R. Dmowskiego i I.J. Paderewskiego podjęła z nami współpracę, m.in. jako autorka haseł biograficznych do kolejnych tomów „Słownika biograficznego polskiego katolicyzmu społecznego”.

Ten dorobek na miarę profesora świadczy o jej niezwykłej pracowitości, rozległych horyzontach i talentach, ale przede wszystkim o zaangażowaniu na rzecz pamięci o świętej założycielce zgromadzenia urszulanek oraz na rzecz środowiska historycznego, w tym moich uczniów – dziś doktorantów i doktorów. Jestem wdzięczny Panu Bogu za jej życie, za obecność wśród nas – także w mojej rodzinie, za dobro wszelkie, które dzięki niej powstawało w kręgu moich uczniów. Trudno przyjąć do wiadomości, że nagle wszystko się skończyło. W biegu. Jeszcze parę tygodni temu pomagała mi w przygotowaniu wniosku grantowego, jeszcze niedawno miała do nas wpaść do domu, jak tylko skończymy remont. Wysyłała e-maile z zaproszeniem na kolejne spotkanie doktorantów w naszym domu... ■

Jan Żaryn

WCIENIE WSCHODNICH
OBSZARÓW II RZECZYPOSPOLITEJ
DO ZWIĄZKU SOWIECKIEGO
BYŁO JEDNOSTRONNYM
AKTEM ANEKSJI ZE STRONY
„CZERWONEGO” KREMLA I NIE
ZOSTAŁO UZNANE NA ARENIE
MIĘDZYNARODOWEJ. SOWIECKA
OKUPACJA ZYSKAŁA POPARCIE
JEDYNI U WŁADZ III RZESZY
I JEJ SATELITÓW. JEDNAK
STANOWISKIEM MOCARSTW
ZACHODNICH STALIN NIE
ZAMIERZAŁ SIĘ PRZEJMOWAĆ

SOWIETYZACJA I DEPOLONIZACJA



**PRZEMYSŁAW
WAINGERTNER**

Uniwersytet Łódzki

Szybko została zainicjowana brutalna sowietyzacja zaanektowanych terenów. Wprowadzona została przymusowa kolektywizacja. Zlikwidowano partie polityczne oraz stowarzyszenia o charakterze publicznym, a ich przywódców i liderów uwięziono lub stracono jako

„wrogów ludu”. Zakazano też wszelkiej działalności związanej z ich funkcjonowaniem. W ramach sowieckiej polityki antyreligijnej kościoły i związane z nimi organizacje religijne objęte zostały represjami i krwawymi prześladowaniami. Od lutego 1940 r. NKWD rozpoczęło zmasowaną kampanię terroru skierowaną przeciwko „elementowi antysowieckiemu” w okupowanej Polsce. Jej ofiarami padli księża, ziemianie, leśnicy, przedsiębiorcy, handlowcy, dziennikarze i działacze społeczni. Na celowniku „bolszewickiego gestapo” znaleźli się także wszyscy ci, którzy w przeszłości odbywali zagra-

niczne podróże, osoby prowadzące korespondencję zagraniczną i pracownicy Czerwonego Krzyża, mogący wszak dokumentować sowieckie zbrodnie.

Jak się okazało, pierwszym i priorytetowym zadaniem, jakie zamierzały zrealizować władze sowieckie, była szybka i bezwzględna depolonizacja okupowanego terytorium. Dokonano jej zarówno poprzez fizyczną likwidację przedstawicieli przywódczych grup społeczeństwa polskiego, jak i organizując masowe deportacje w głąb ZSRS, obejmujące nie tylko setki tysięcy rodzin inteligenckich, urzędniczych, mieszczańskich, wojsko-

wych, policyjnych, lecz także... chłopskich. Pierwszych obywateli polskich – ponad 50 tys. uchodźców z centralnej i zachodniej Polski, których koniec kampanii wrześniowej zastał na polskich Kresach Wschodnich – wysiedlono już w październiku 1939 r. Zostali oni przerwani do wschodnich obwodów Białoruskiej i Ukraińskiej SRS w ramach akcji „rozładowywania” miast. Przemieszczenia „bieżeńców” (tak NKWD-ziści określali polskich uchodźców, którzy starali się ratować przed nadciągającymi z zachodu Niemcami) wyprzedziły nawet podjęcie uchwał o przyłączeniu ziem Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy do ZSRS. Z kolei w grudniu 1939 r. władze na Kremlu zdecydowały o przystąpieniu do masowego usuwania „niepewnych politycznie elementu” z okupowanych obszarów. Zaczęto też sporządzać liczne spisy osób, które miały podlegać wysiedleniu.

Czystki etniczne

Pierwsza wielka, masowa deportacja z polskich Kresów Wschodnich odbyła się w lutym, kolejna w kwietniu, wreszcie trzecia – od maja do lipca 1940 r. Czwartą i ostatnią przeprowadzono w maju i czerwcu 1941 r., a zatem w przededniu ataku III Rzeszy na Związek Sowiecki.

Pierwsza wywózka z lutego 1940 r. objęła już ludność miejscową. W odprawianych w jej trakcie transportach Polacy stanowili ponad 70 proc., natomiast resztę Ukraińcy i Białorusini. Wywożono przede wszystkim osadników wojskowych, średnich i niższych rangą urzędników państwowych, służbę leśną różnych szczebli oraz pracowników polskich kolei. Operacja obejmowała całe rodziny. W ten sposób deportowano – zgodnie z dokumentacją sowiecką – ok. 150 tys. osób. Przerzucono ich przede wszystkim do Republiki Komi, Republik Jakuckiej i Baszkirskiej, wreszcie Kraju Krasnojarskiego i Ałtajskiego. Bardzo złe warunki atmosferyczne, praca ponad siły przy wyrębie lasów oraz sam charakter osad – „łagrowych” o niezwykle surowej dyscyplinie pracy – do których trafiła deportowana ludność, sprawiły, że śmiertelność tego kontyngentu była najwyższa. W czasie drugiej, kwietniowej deportacji z 1940 r. przesiedleniu podlegały bliższe i dalsze rodziny „wrogów ustroju”: urzędników państwowych, wojskowych, policjantów, służby więziennej, nauczycieli, działaczy społecznych, kupców, przemysłowców i finansistów, wreszcie

– bliscy osób aresztowanych wcześniej przez NKWD bądź zatrzymanych przy nielegalnej próbie przekroczenia nowej granicy sowiecko-niemieckiej. O ile ludność przemieszczona w deportacji lutowej trafiła do „osad specjalnych”, w których warunki egzystencji były wyjątkowo surowe, o tyle nowi zesłańcy trafiali w bardziej sprzyjające przetrwaniu miejsca stałego pobytu. W ramach kwietniowej akcji zesłano według źródeł sowieckich ponad 60 tys. osób. Wśród przesiedlanych wyjątkowo licznie reprezentowane były kobiety i dzieci (80 proc.). Transporty kierowane były do północnego Kazachstanu. Dodać trzeba, iż w maju 1940 r., w ramach uzupełniania kontyngentów lutowego i kwietniowego, wywieziono z polskich Kresów Wschodnich dodatkowe grupy Polaków, Żydów i Białorusinów z powiatu białostockiego, lidzkiego i grodzieńskiego.

Trzecia deportacja, trwająca od maja do lipca 1940 r., objęła głównie uchodźców z centralnej i zachodniej Polski przybyłych w czasie działań wojennych na tereny, które znalazły się później pod okupacją sowiecką. Tym razem większość deportowanych, których liczbę szacowano na 90 tys., stanowili obywatele Rzeczypospolitej pochodzenia żydowskiego (do 80 proc.). Byli wśród nich także Białorusini i Ukraińcy. Zostali oni przesiedleni do Autonomicznych Republik Sowieckich: Jakuckiej, Komi i Maryjskiej, Kraju Ałtajskiego i Krasnojarskiego, oraz do obwodów Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej: archangielskiego, czelabińskiego, gorkowskiego, irkuckiego, mołotowskiego, nowosybirskiego, omskiego, swierdłowskiego i wołogodzkiego. Wielu z nich z racji ciężących na nich podejrzeń osiedlono w specjalnych osadach pod kontrolą NKWD. W czasie czwartej wywózki (maj–czerwiec 1941 r.) na wschód zesłano głównie ludność ze środowisk inteligenckich, nielicznych pozostałych jeszcze na polskich kresach uchodźców z zachodniej i centralnej Rzeczypospolitej, rodziny kolejarzy, bliskich osób aresztowanych przez NKWD, wykwalifikowanych robotników oraz rzemieślników. Dotknęła ona szczególnie ludność Białostockizny, Grodzieńszczyzny i Wileńszczyzny. Podczas wielkich deportacji wysiedlono ludność z Zachodniej Ukrainy, Zachodniej Białorusi i republik nadbałtyckich – Litwy, Łotwy i Estonii. W sumie – jak podają dokumenty sowieckie – zesłano wówczas na wschód prawie 90 tys. osób. Trafiły one przede wszystkim do Kraju Ałtajskiego

i Krasnojarskiego, Kazachstanu oraz obwodu nowosybirskiego.

W historiografii polskiej przyjmowano znacznie wyższe liczby deportowanych niż odnotowane przez aparat sowiecki: dla deportacji z lutego 1940 r. ok. 250 tys., z kwietnia 1940 r. – ponad 300 tys., z czerwca 1940 r. – 300 tys., wreszcie z czerwca 1941 r. – ponad 250 tys. Ponadto szacunki historyków polskich wskazują, że całkowita liczba deportowanych nie przekroczyła 1,5 mln. Rozbieżności między dokumentami sowieckimi a obliczeniami polskich dziejopisów wynikają z kilku powodów. Po pierwsze – Sowietci ewidencjonowali przede wszystkim osoby przesiedlane w wydzielonych transportach kolejowych. Po drugie – do osób deportowanych w ten sposób dołączano później brakujących członków rodziny, którzy uniknęli wysiedlenia w ramach samej deportacji. Materiały archiwalne NKWD dotyczące przesiedleń nie uwzględniają skazanych w trybie doraźnym i niezarejestrowanych.

Pociągi śmierci

Nieludzkie warunki, w jakich dokonywano przymusowych przemieszczeń ludności, powodowały dużą śmiertelność. Sami zesłańcy – przesiedlani w deportacjach zimą i wczesną wiosną – określali później wagony, w których byli przewożeni, mianem „białych krematoriów”, ponieważ w przeciwieństwie do krematoriów niemieckich zamarzano w nich żywcem. Tylko nieliczne wagony posiadały przenośne piecyki czy pryzce. Ograniczony dostęp do świeżego powietrza zapewniały jedynie małe, zakratowane okienka i dziury w podłogach wagonów. Zesłańcy z trudem byli w stanie znaleźć miejsca siedzące, a dostawy jedzenia oraz wody były sporadyczne i niewystarczające. Wagony otwierano tylko w niektóre dni. W takich warunkach choroby zbierały tragiczne żniwo, a jednym z najważniejszych zadań podczas postojów było usunięcie zwłok. Wywożeni późną wiosną czy latem starali się wręcz wyrzucać ciała przez okna, aby uniknąć epidemii.

Śmiertelność była wysoka również na miejscu samego zesłania – na Syberii czy w Kazachstanie. Rocznie umierało 20–30 proc. zesłańców. Surowy klimat, warunki transportu na zesłanie, praca niewolnicza, choroby i niedożywienie okazywały się równie skuteczne w rozprawie z Polakami jak niemieckie kacyty.

LETNI CZAS KOJARZY SIĘ WIELU OSOBOM Z KOLOROWYMI WIDOKÓWKAMI PRZESYŁANYMI WRAZ Z POZDROWIENIAMI OD ZNAJOMYCH I PRZYJACIÓŁ JAKO ŚLAD ICH DAJSZYCH I BLIŻSZYCH PODRÓŻY



Kopia pierwszej na świecie austriackiej karty korespondencyjnej z herbem dwugłowego orła, obok Emanuel Hermann

POCZTÓWKI DZIEJE NIEZWYKŁE



GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
-DEC

Dziś, w związku z rozwojem technologii, pocztówka powoli odchodzi do lamusa. A szkoda. Przy okazji wakacji warto przypomnieć jej historię. Sięga ona drugiej połowy XIX w., kiedy to na V Niemieckiej Konferencji Poczty dr Heinrich von Stephan przedstawił pomysł wprowadzenia do obiegu tzw. pocztowego listka (postblatt), czyli formy krótkiej, jednokartkowej korespondencji. Miała ona być tańsza i bardziej dostępna dla odbiorców. Argument ten spowodował obawy przed bankructwem poczty i pomysł na chwilę został odłożony. Zgłaszano kolejne projekty, ale i one musiały czekać na lepszy czas. Wreszcie do akcji wkroczył autorytet naukowy – Emanuel Hermann, prof. ekonomii, który opublikował memoriał „O nowym sposobie korespondowania pocztą”, a w nim jasno wskazywał na to, że korespondencja „odkryta” jest o wiele bardziej ekonomiczna niż ta listowna. Dał również odpór argumentom związanym z tajemnicą korespondencji – dowiódł, że wśród listów wysyłanych przez pocztę austriacką jedna trzecia nie zawiera niczego



Polowa karta pocztowa z okresu wojny francusko-pruskiej

sekretnego i może być wysłana bez użycia koperty.

Szczyt kariery

Pierwszą na świecie kartę pocztową, wykonaną z żółtego kartonu o wymiarach 83 x 123 mm, wypuściła 1 października 1869 r. poczta Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Kartę kolejno wprowadzały do obiegu inne państwa. Początkowo funkcjonowała ona lokalnie, a po zatwierdzeniu wprowadzenia karty do obiegu przez Światowy Związek Pocztowy w 1875 r. rozpoczęła się jej prawdziwa kariera. Był to ogromny przełom w historii korespondencji. Lżejsza i tańsza od listu karta podbiła świat – dość wspomnieć, że w 1875 r. wysłano 231,5 mln kartek.

Pierwsze karty nie miały ilustracji – na jednej stronie umieszczano godło państwowe, znak opłaty i nadruk z nazwą karty, druga zaś przeznaczona była na treść korespondencji. Dość szybko jednak zaczęły się na nich pojawiać rysunki i napisy okolicznościowe. Trudno jednoznacznie określić, kto był twórcą ilustrowanej karty pocztowej –



Pocztówka wysłana przed 1914 r. do młodego Jana Karszo-Siedlewskiego (1891–1955), późniejszego dyplomaty RP

przywołuje się tu angielskiego pisarza Theodora Hooka, który w 1840 r. wysłał do siebie kartę z własnoręcznie wykonanym rysunkiem. Ilustrowane życzenia świąteczne do swoich znajomych wysyłał także londyński artysta William Maw

Egley i wreszcie na szeroką skalę uczynił to sir Henry Cole – dyrektor Victoria i Albert Muzeum w Londynie. Aby oszczędzić czas, którego mnóstwo poświęcał na pisanie życzeń świątecznych do wielu swoich znajomych, wpadł na pomysł i u pewnego malarza zamówił rysunek z życzeniami, a następnie powielił go w drukarni. Duży wpływ na rozwój ilustrowanych kart pocztowych miała wojna francusko-pruska, kiedy to w Bretanii miejscowy księgarz zauważył, że żołnierze wysyłają do domów kartki ozdobione rysunkami. Zlecił zatem drukarzowi wykonanie kart z ilustracjami nawiązującymi do wojny, które później cieszyły się dużą popularnością wśród żołnierzy. Autorstwo pierwszej ilustrowanej karty pocztowej przypisuje się również serbskiemu oficerowi – Peterowi Manojloviciowi, który do swojego kuzyna wysłał kartę przedstawiającą baśniowego smoka, trzymającego w szponach rulon papieru, na którym umieszczono adres.

Ilustrowana kartka na skalę masową pojawia się pod koniec XIX w. – miało to związek z rozwojem transportu, powstawaniem nowych ośrodków miejskich i ze zwiększoną mobilnością ludzi. Święta, rocznice, jubileusze, imprezy międzynarodowe – wszystko to znajdowało odzwierciedlenie w poszerzającej się tematyce pocztówek. Stały się one także nośnikiem reklamowym dla hoteli, restauracji czy sklepów. Rosła popularność kartek świątecznych, pojawiły się serie przedstawiające widoki miast czy folklor regionów. Coraz częstsze były pocztówki z reprodukcjami znanych dzieł sztuki. Znany i obowiązujący do dzisiaj wygląd pocztówki został wprowadzony w 1904 r. – rewers miał być ilustracją, a awers podzielony został pionową kreską na część adresową i korespondencyjną.

Złote lata pocztówek to czas do wybuchu wielkiej wojny, która zmieniła obraz świata. Rozwój fotografii odebrał nieco uroku pocztówkom, a oszczędności wojenne miały wpływ na jakość druku. Wszystko to sprawiło, że po zakończeniu wojny pocztówka nie uzyskała już takiej popularności jak na przełomie wieków.

W Polsce

Na ziemi polskiej znajdujące się pod trzema zaborami karty korespondencyjne wkraczały w różnym tempie i zgodnie z zasadami zaborcy. Druk widokówek przez polskich wydawców datuje się na początek lat 90. XIX w. Przyjmuje się, że najstarszą pocztówką z obecnych ziem polskich,

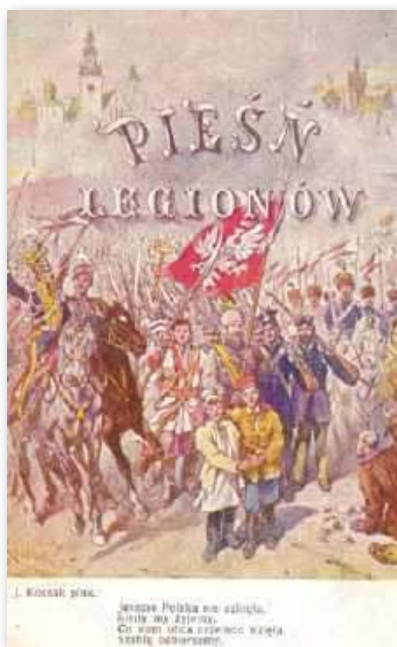
a kiedyś terenów Cesarstwa Niemieckiego jest widok Śnieżki z 23 lipca 1873 r. Pocztówki były popularne we wszystkich zaborach, najpóźniej pojawiły się w zaborze rosyjskim. Początkowo nazywano je „odkrytkami” (z rosyjskiego) czy „korespondentkami” (z niemieckiego), co w czasie walki o zachowanie polskiej kultury i tożsamości nie wyglądało zbyt dobrze. Dlatego podczas Pierwszej Wystawy Kart Pocztowych w 1900 r. w Warszawie ogłoszony został konkurs na nazwę w języku polskim. Nad jego przebiegiem pieczę sprawowali członkowie redakcji „Słownika języka polskiego”. Odezwał się niebawem – zgłoszonych zostało prawie 300 propozycji, a wśród nich pojawiły się takie słowa jak: „bez-kopertka”, „niezalepka”, „otwartolist”, „odsłonka” czy „niedyskretka”, nawiązujące do jawności tej formy korespondencji. Ze zgłoszeń jury wybrało pięć, a ostatecznego wyboru dokonały osoby odwołujące wystawę, oddając swój głos na jedną z propozycji. Zwyciężyło słowo „pocztówka” zaproponowane przez osobę ukrywającą się pod imieniem Maria, a która okazała się być... Henrykiem Sienkiewiczem.

Patriotyczna pocztówka

Bez względu na zabory na pocztówkach pojawiały się motywy architektoniczne, widoczki najważniejszych miast czy charakterystyczne miejsca. Wydawane były przez księgarzy, wydawców czy fotografów. Cenzura w zaborze rosyjskim i pruskim nie pozwalała na to, by na kartach pojawiały się motywy związane z polską kulturą i tożsamością narodową. Nieco inaczej było w Galicji – większa swoboda dawała możliwość na to, by rozwijał się rynek pocztówek patriotycznych, a stamtąd były one przemycane do pozostałych zaborów. Powstawały więc całe serie kart odwołujących się do ważnych wydarzeń z historii Polski. Pojawiały się na nich herby

miast i ziem dawnej Rzeczypospolitej. Nie brakowało kart z bohaterami narodowymi, jak chociażby Tadeusz Kościuszko, na pocztówkach drukowano podobizny królów czy grafiki pokazujące ważne bitwy. Na wielu znajdowały się też takie podpisy jak „Boże, zbaw Polskę”, „Królowo Korony Polskiej, módl się za nami”, „Jeszcze Polska nie zginęła”. Oddzielną kategorię stanowiły alegoryczne pocztówki świąteczne wydawane z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy, nawiązujące do cierpienia państwa polskiego.

Popularność tej formy korespondencji na ziemiach polskich rosła. Pocztówki kolekcjonowali prawie wszyscy. W 1904 r. został wydany pierwszy numer czasopisma „Listek”, miesięcznika poświęconego miłośnikom kart pocztowych ilustrowanych. Miało ono wspierać firmy wydające pocztówki na ziemiach polskich, ale także „służyć informacjami artystycznymi naszym abonentom, zamieszczając krytyki o ukazujących się pocztówkach, mające być drogowskazami, tłumaczami”. Pocztówki stały się zatem doskonałą dokumentacją czasów – upamiętnione na nich fotografie są bardzo często ostatnim świadectwem świata, którego już nie



Pocztówka patriotyczna z cytatem z „Mazurka Dąbrowskiego”

ma. Są też doskonałym źródłem do analizy życia społecznego. Przykładem mogą być chociażby pocztówki z fotografiami Jana Bułhaka, mistrza fotografii ojczyściej, dzięki którym zachowane zostały widoki przedwojennego Wilna.

Adam Łada Cybulski w Katalogu Wydawnictwa Kart Pocztowych Artystycznych wydanym w 1909 r. zapisał: „Gdyby zaginęły wszystkie biblioteki, wszystkie galerie, wszystkie źródła, z których przyszłość czerpać kiedyś będzie mogła znajomość naszych czasów, a zachowały się trafem tylko ilustrowane karty pocztowe w tych czasach wydane – wystarczyłyby one zupełnie do odtworzenia dziejów naszej z końca XIX w. a początków XX w. cywilizacji”.

Współtwórca Polski Odrodzonej urodził się 13 sierpnia 1873 r. w majątku rodzinnym w Jurczycach koło Krakowa. Spędził tam

szczęśliwe dzieciństwo i wracał w te okolice często. Warto zwiedzić to urokliwe miejsce, które zostało uratowane przez nowych właścicieli majątku. W 1997 r. zrujnowany dworek został przez nich zakupiony i nie tylko odrestaurowany, lecz także bywa udostępniany zwiedzającym (jeśli się grzecznie poprosi). Miałem okazję swego czasu poznać właścicieli, których serdecznie pozdrawiam. Tam nadal pamięć o generale jest bardzo żywa. Jak czytamy na stronie skarby.bliskokrakowa.pl: „W 2000 roku została również założona, w budynku dawnej szkoły, Izba Pamięci, w której gromadzone są pamiątki związane z życiem i działalnością najśłynniejszych członków rodu i żołnierzy Błękitnej Armii. Dzięki zaangażowaniu mieszkańców Jurczyc powołano także do życia Towarzystwo Pamięci Generała Józefa Hallera i Hallerczyków”.

Z marginesu dziejów

Gen. Józef Haller (1873–1960) był jednym z najwybitniejszych polskich dowódców i polityków związanych z obozem narodowym i chrześcijańsko-demokratycznym. Należał do pokolenia, które idąc śladem zobowiązań pozostawionych przez poprzedników – od konfederatów barskich po powstańców styczniowych 1863 r. – walczyło o Polskę Odrodzoną. Tym się różniło, że stało się pokoleniem zwycięzców! Jako zawodowy oficer był przede wszystkim jednym z dowódców Legionów Polskich powstałych przy boku monarchii Habsburgów, który w początkach 1918 r. zbuntował się przeciwko Niemcom i Austro-Węgrom na wieść o pokoju brzeskim, faktycznie odbierającym nadzieje na odzyskanie niepodległości przy boku państw centralnych. Walczyli przecież o wolną Polskę: „Młodzieży polska, patrz na ten krzyż, Legiony Polskie dźwignęły go wzwyż, przechodząc góry, lasy i wały, do Ciebie, Polsko, i dla Twojej chwały” – napisali legioniści na wzniesionym przez siebie krzyżu. Następnie stanął na czele formowanej od czerwca 1917 r. Armii Błękitnej, co ułatwiło Komitetowi



W 150. ROCZNICĘ URODZIN BŁĘKITNEGO GENERAŁA



JAN ŻARYN

DZIŚ GEN. JÓZEF HALLER TO POSTAĆ Z JEDNEJ STRONY ZNANA, OBECNA W EDUKACJI SZKOLNEJ, A Z DRUGIEJ TAK BOGATA, ŻE UMYKAJĄCA POWSZECHNEJ ŚWIADOMOŚCI POLAKÓW

Narodowemu Polskiemu w Paryżu przejąć dowództwo nad polskim wojskiem i stanąć w szeregu militarnych zwycięzców w I wojnie światowej. To bardzo ważne! Przelana krew przez polskich żołnierzy,

stojących po właściwej stronie frontu, dawała moralne prawo do uczestnictwa Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego w rozstrzygających o świecie obradach wersalskich. „To on na stół konferencji pokojowej w Wersalu dorzucił argument krwi, jakże potrzebny i niezbędny polskim dyplomatom!” – powiedział o generale w mowie pogrzebowej 11 czerwca 1960 r. o. Józef Jarzębowski, wiceprowincjał zgromadzenia księży marianów w Anglii.

Fakty i miejsca

Bogata biografia naszego bohatera łączy się jednak także z innymi wydarzeniami i miejscami, o których warto powiedzieć w kontekście 150. rocznicy jego urodzin. W 1867 r. powstało w zaborze austriackim, we Lwowie, pierwsze gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, zasłużonej polskiej organizacji młodzieżowej, patriotycznej, sportowej i paramilitarnej, z której szeregów wyrosli legioniści, powstańcy wielkopolscy, obrońcy Warszawy, a po wojnie Harcerstwo Polskie. Gen. Józef Haller był od początku XX w. jednym z twórców kolejnych gniazd sokolich, a od 1913 r. członkiem Komendy „Sokoła” i jego instruktorem. To właśnie sokoli z gniazd galicyjskich uczestniczyli w słynnej uroczystości patriotycznej odsłonięcia pomnika grunwaldzkiego w Krakowie – w lipcu 1910 r., a sokoli z gniazd amerykańskich zapewnili ochotnikami Błękitną Armię. W kwietniu 1919 r. błękitni żołnierze przybyli wraz z nowoczesnym sprzętem bojowym do Polski, by z kolei stanąć u boku generała w walkach z Ukraińcami o Galicję Wschodnią, a następnie w okresie Bitwy Warszawskiej, podczas której Błękitny Generał dowodził całym północno-wschodnim frontem. Z kolei w pierwszych miesiącach 1920 r. generał uczestniczył w przejęciu Pomorza zakończonym słynnymi uroczystościami w Pucku.

W odrodzonej Polsce, w latach 1920–1923, gen. Haller stał na czele Związku Harcerstwa Polskiego, a następnie – po wycofaniu się z życia publicznego w 1926 r. – Związku Hallerczyków. W 1936 r. związek ten był jednym z inicjatorów utworzenia Frontu Morges, skupiającego znaczną część środowisk opozycyjnych wobec sanacji, zjednoczonych wokół demokratycznych wartości i postaci Ignacego J. Paderewskiego. W 1937 r. właśnie z inicjatywy m.in. generała powstało Stron-

nictwo Pracy, partia chrześcijańsko-demokratyczna, która odegrała ważną rolę w czasach II wojny światowej. Stronnictwo stanowiło najbliższe zaplecze polityczne premiera rządu RP i naczelnego wodza gen. Władysława E. Sikorskiego (w lipcu obchodzimy 80. rocznicę jego tragicznej śmierci). Gen. Haller należał do ścisłego kierownictwa tej partii i był jednym z najbliższych współpracowników premiera, także jako minister oświaty i wyznań religijnych w kolejnych gabinetach rządu RP na uchodźstwie.

W latach II RP generał coraz częściej jeździł nad polskie morze, do dzisiejszego Władysławowa. Tam bowiem w 1922 r. zbudował drewniany dom należący do jego rodziny – ku czci generała powstało wokół letnisko zwane Hallerowem. Dziś jest to jeden z kurortów nadmorskich, najczęściej odwiedzanych w czasie miesięcy letnich. Nadal można zwiedzić Hallerówkę, znajdującą się przy ul. Morskiej 6, gdzie mieści się Oddział Muzeum Ziemi Puckiej im. Floriana Ceynowy.

Śladami maryjnego generała

Akces generała do stronnictw chrześcijańsko-narodowych w wolnej Polsce nie był przypadkowy. Od młodości gen. Józef Haller był pobożnym katolikiem, wręcz manifestacyjnie podkreślającym swoją więź z Kościołem rzymskokatolickim. Przez całe życie jako członek Sodalicji Mariańskiej był czcicielem Matki Boskiej, której powierzył swoje życie i życie ojczyzny; szczególnie gdy w sierpniu 1920 r. modlił się do jej wizerunku, leżąc krzyżem przed bitwą w kościele Najświętszego Zbawiciela w stolicy oraz przed i po bitwie w Mińsku Mazowieckim przed obrazem

Matki Boskiej Anielskiej, zwanej Hallerowską. Obraz namalowany został przez Jana Cz. Moniuszkę, syna słynnego kompozytora. Szczególną czcią generał darzył Czarną Madonnę z Jasnej Góry.

Po II wojnie światowej gen. Haller pozostał jak wielu innych na emigracji. Pod koniec swego życia zamierzał przybyć do Polski, korzystając z „odwilży”, by pielgrzymować na Jasną Górę. Okoliczności, jak mu się wydawało, sprzyjały pielgrzymce. Prymas Stefan Wyszyński podjął niezwykle ważną decyzję, rozpoczynając program duszpasterskiej odnowy Narodu – Wielką Nowennę, przygotowującą Polaków do obchodów Roku Milenijnego. Gen. Józef Haller w porozumieniu z Prymasem Tysiąclecia zamierzał wraz z nim stanąć na jasnogórskim szczycie w dniu rozpoczęcia Wielkiej Nowenny, tj. 3 maja 1957 r. W oświadczeniu wydanym w związku z planowaną wizytą napisał, że wybiera się jako pielgrzym, „najstarszy żołnierz Rzeczypospolitej złożyć służby swoje u stóp Królowej Polskiej Korony, dziękując za rok 1920, za przetrwanie przez naród nasz okupacji wojennych, za wykazaną wiarę w Opatrzność, ofiarność bratnią i przewidującą mądrość”. Razem z kardynałem chciał pozdrowić pielgrzymów przybywających tego dnia na spotkanie z Czarną Madonną. To byłoby przeżycie dla zniewolonego narodu! Dla Polaków przez ostatnie lata przetrzymywanych w stalinowskim państwie jak w niewoli. Niestety, komuniści – w tym ambasada PRL w Londynie, gdzie mieszkał po wojnie generał – nie pozwolili mu na przyjazd do Polski, dając do zrozumienia, że oczekują od niego rewanżu – swoistego aktu kolaboracji. Odmówił! Pozostał w Londynie, gdzie zmarł. Będąc w tym pięknym mieście, warto pojechać do polskiej dzielnicy na Ealing, gdzie na murze kościoła ks. Marianów jest zainstalowana tablica poświęcona wielkiemu generałowi.

Armia polska we Francji – powitanie generała Józefa Hallera; lipiec 1918 r.

Miejsce spoczynku

Józef Haller przybył ostatecznie do Polski, ale dopiero po swej śmierci, do wolnej Polski – w maju 1993 r. Jego doczesne szczątki przewieziono wówczas z londyńskiego cmentarza Gunnersbury na Jasną Górę, a ostatecznie spoczęły w Krakowie, w krypcie kościoła św. Agnieszki. To jedno z wielu miejsc na mapie Polski i świata, gdzie pamięć o generale jest lub powinna być nadal żywa.

FOT. NAC



300-LECIE KORONACJI PAPIESKIEJ OBRAZU MATKI BOŻEJ KODEŃSKIEJ

CUDOWNY WIZERUNEK MARYI Z KODNIA
BYŁ TRZECIM KORONOWANYM
PRZEZ PAPIEŻY W POLSCE



PAWEŁ ZAJAC

OMI, Zakład Teologii
Historycznej WT UAM
w Poznaniu



Na mapie Rzeczypospolitej Obojga Narodów Kodeń znajdował się niemal w geograficznym centrum dziedzictwa Piastów i Jagiellonów. Porównywalna odległość 400–500 km dzieli siedzibę magnackiego rodu Sapiechów od Poznania, Wilna, Mińska czy Kijowa. Pośród niewielu sapieżyńskich zabytków dawnego miasteczka, położonego dziś tuż przy granicy z Białorusią, wyróżniają się dwa kościoły. XVI-wieczny gotycki kościół św. Ducha stoi nieopodal fundamentów zamku Sapiechów. Kościół parafialny św. Anny ufundował prawnuk protoplasty rodu Mikołaj (ok. 1581–1644) zwany Pobożnym (albo Piusem), kolejno wojewoda miński, brzeski litewski, wreszcie kasztelan wileński. Jako 20-latek Mikołaj odbył liczne podróże po

Europie, docierając aż do Hiszpanii, by następnie przez Rzym i Wiedeń wrócić do Polski. W 1636 r. przeniósł z rodzowego zamku do kościoła św. Anny obraz Matki Bożej Kodeńskiej, który sam do Kodnia kilka lat wcześniej sprowadził. Zatem 1636 r. przyniósł w Rzeczypospolitej początek publicznej czci świętego wizerunku, który był malarskim odwzorowaniem figurki Maryi, czczonej od średniowiecza w Guadalupe, najważniejszym sanktuarium Królestwa Kastylii. Mikołaj musiał je nawiedzić w czasie swej peregrynacji po Hiszpanii. W staropolskim druku z połowy XVII w. pojawiła się następująca pochwała pobożnego Sapiehy i jego kodeńskich fundacji: „Wystawiłeś ołtarze, obrazy i inne aparaty tak bogato i świetno sporządzone, że się niejedem podziwować musi. Przyłączyłeś i kaplicę de Nuestra Señora de Guadalupe, żywy

prawie rytrykt [obraz] a cudowny z Hiszpanii sprowadziwszy”.

Maryja z Guadalupe i Kodnia

W 1723 r. wizerunek ten za zgodą Innocentego XIII otrzymał papieskie korony – zaledwie kilka lat po papieskich koronacjach obrazu jasnogórskiego (1717) oraz trockiego (1718). Odtąd Kodeń stał się zyskiwał na znaczeniu jako miejsce modlitwy i cudów, a w okresie niewoli narodowej jako miejsce pamięci o dziedzictwie i tożsamości, której nie zdołały zniszczyć burze dziejowe oraz kolejne fale rusyfikacji. Sapiehowie utracili Kodeń na początku XIX w. i z czasem osiedli w Krasieczynie. W 1875 r. represje carskie po powstaniu styczniowym doprowadziły do pozbawienia Kodnia praw miejskich, likwidacji katolickiej parafii, zamiany

kościół św. Anny na cerkiew prawosławną oraz wywiezienia obrazu Matki Bożej Kodeńskiej do klasztoru paulinów na Jasnej Górze. Niezwykła historia czci otaczającej odtąd w jednym jasnogórskim sanktuarium oba obrazy – Czarnej Madonny i Maryi Kodeńskiej – zakończyła się w 1927 r., kiedy to kodeński wizerunek Maryi powrócił do Kodnia. Posługę w nadbużańskim sanktuarium rozpoczęło wówczas zgromadzenie zakonne Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej. Pod ich opieką znalazły się tysiące pielgrzymów każdego roku zmierzających do Kodnia, a kościół św. Anny w 1973 r. uzyskał godność bazyliki mniejszej.

Legendy otaczające figurkę z hiszpańskiego Guadalupe – pierwowzór kodeńskiego obrazu – mówią o jej wykonaniu przez św. Łukasza, a następnie o przekazaniu za pośrednictwem papieża Grzegorza Wielkiego arcybiskupowi Sewilli, Leandrowi. Figurka, ukryta w VIII w. podczas wojen z muzułmanami, miała zostać cudownie znaleziona na początku XIV w. – od tego stulecia faktycznie datuje się rozwój kultu maryjnego w Guadalupe. Część tych legend zrosła się z czasem z opowieścią o obrazie Matki Bożej Kodeńskiej. Stało się to już za sprawą kolejnych pokoleń Sapiehów, a zwłaszcza jednego z nich – Jana Fryderyka Sapiehy (1680–1751). Mikołaj Pius – fundator kościoła św. Anny i pierwszy czciciel Matki Bożej Kodeńskiej – był dla Jana Fryderyka starszym bratem pradziadka. W swoim dalekim krewnym doczekał się ukoronowania własnych starań o to, ażeby Kodeń był czymś więcej niż tylko magnacką rezydencją.

Dzieje obrazu bajeczne

Najstarszy bodaj ślad powstającej w Kodniu legendy o rzymskim – nie hiszpańskim – pochodzeniu obrazu Matki Bożej Kodeńskiej znajduje się na rycinie wykonanej w 1707 r. w Lipsku, w pracowni słynnego Martina Bernigerotha. Jan Fryderyk przebywał wówczas pod Lipskiem, w obozie Stanisława Leszczyńskiego. Jakie są podstawowe elementy Fryderykowej legendy o obrazie? Trzeba się cofnąć do 1631 r. Wówczas to rzekomo Mikołaj Sapieha, cierpiący z powodu melancholii, postanowił udać się z pielgrzymką do Rzymu. Przyjęty z honorami przez papieża Urbana VIII dostrzegł w jego prywatnej kaplicy przepiękną ob-

raz Matki Bożej. Obraz ów przedstawiał wspomną wyżej cudowną figurkę, ale – wedle legendy – miał zostać namalowany na zlecenie papieża Grzegorza Wielkiego. Figurka trafiła do Hiszpanii, obraz został w Rzymie. Jednak mimo nalegań Mikołaja Sapiehy nie było mowy o podarunku czy odkupieniu tak cennej pamiątki. Dlatego kodeński pielgrzym miał się zdecydować na podstęp. Przekupiony sługa papieski pomógł wykraść obraz. Mikołaj z cenną zdobyczą zdołał uciec pościgowi i dotrzeć do Kodnia, lecz papież rzucił nań ekskomunikę. Pojednanie miało nastąpić dzięki odwadze politycznej Sapiehy, który na sejmie 1634 r. zapobiegł małżeństwu Władysława IV z protestancką księżniczką. To wzбудziło wdzięczność nuncjusza i polskich biskupów oraz skłoniło papieża do zdjęcia ekskomuniki i zgody na pozostawienie obrazu Matki Bożej w Kodniu. Tę sensacyjną opowieść uwieczniła w beletrystycznej formie Zofia Kossak Szczucka, pisząc książkę pt. „Beatum scelus” z 1924 r., znaną także z późniejszej wersji z 1953 r. jako „Błogosławiona wina”.

Historycy już dawno zwrócili uwagę na brak podstaw źródłowych mogących uprawdopodobnić tę legendę, choć wplecione są weń postacie historyczne oraz echa prawdziwych wydarzeń. Nie umniejsza to jej wartości jako świadectwa mentalności okresu baroku – epoki lubującej się w osobliwościach, epoki bujnej wyobraźni, dzięki której tym intensywniej przeżywano najważniejsze prawdy wiary.

Papieska koronacja

Pierwsze dekady XVIII w. za sprawą Jana Fryderyka stały się złotymi latami chwały Kodnia i jego właścicieli. W 1709 r. w północnej kaplicy kościoła św. Anny umieszczona została galeria portretowa Sapiehów, przedstawiająca prawie 80 męskich reprezentantów domu sapieżyńskiego obu

linii: czerejsko-siewiersko-różańskiej oraz kodeńskiej. W 1712 r. zaczęto wznosić nową fasadę kościoła św. Anny, mającą przypominać świątynię rzymskie. 10 lat później ukończono ołtarz dla obrazu Matki Bożej Kodeńskiej, szczególnie ocalały do dzisiaj. W tym czasie ukazało się też kilka publikacji opisujących legendę o obrazie, oczywiście w kategoriach prawdy historycznej. Kulminacją były starania o papieską koronację, uwieńczone sukcesem w 1723 r.

Najstarszą oficjalną koronacją papieską jest ceremonia udekorowania wizerunku Maryi w zakrystii bazyliki św. Piotra w Rzymie, dokonana przez Urbana VIII 27 sierpnia 1631 r. Tradycja utrzymała się dzięki księciu Aleksandrowi Sforza Pallaviciniemu (1565–1638), władcy Borghonovo k. Piacenzy w latach 1620–1638, którego fundusz umożliwił zarówno koronację z 1631 r., jak i kolejne. 16 września 1722 r. biskup łucki, Stefan Rupniewski, skierował do nuncjusza apostolskiego Vincenzego Santiniego list, w którym przedstawił pobożne pragnienia Jana Fryderyka Sapiehy: „Niedawno zapoczątkowany przez Stolicę Apostolską zwyczaj, by łaskawie ozdabiać koronami Maryjne źródła łask, szczególnie hojnie płynące w naszej Polsce, obudził w przepełnionemu Maryjną czcią sercu księcia Sapiehy, kasztelana trockiego, pragnienie pobożnego naśladowania. Książę pragnie więc bogobojnie, wzorem innych, ukoronować cudowną ikonę Maryi Kodeńskiej zwanej de Guadalupe, niegdyś ofiarowaną jego rodowi z kaplicy papieskiej, a obecnie słynącą licznymi łaskami w mojej łuckiej diecezji”. Całość dokumentacji tych starań zachowała się w Bibliotece Apostolskiej Watykańskiej. 28 maja kanonicy Kapituły Bazyliki św. Piotra w Rzymie, dysponujący papieskimi koronami, skierowali list do biskupa Rupniewskiego, wyznaczając go na koronatora. 26 lipca 1723 r. biskup odpisał kanonikom, ciesząc się z pomyślnego rozpatrzenia prośby Jana Fryderyka.

To otworzyło drogę do papieskiej koronacji w Kodniu, trzeciej na terytorium Rzeczypospolitej, której 300-lecie Kodeń i cała Polska przeżywać będzie 15 sierpnia 2023 r.

Korony koronacyjne z 1723 r.





MÓJ GRUNWALD



WALDEMAR
MIERZWA

**ZANIM ZAKOCHAŁEM SIĘ W MAZURACH,
ZAJMOWAŁEM SIĘ GRUNWALDEM. NASZA
DECYZJA O WYJEŹDZIE NA WIEŚ NIE BYŁA
ŁATWA, ALE NIGDY JEJ NIE ŻAŁOWALIŚMY**

Dla człowieka urodzonego w Lublinie, studiującego w Warszawie, któremu „woda” kojarzyła się z brudną Bystrzycą i przynębiającą Wisłą, torfiastym Zalewem Zemborzyckim i brunatnym Zalewem Zegrzyńskim, kraina mazurskich jezior była cudem z nieznaney, ale jakże pięknej bajki. Nim na Mazurach zamieszkałem na stałe, byłem tu ledwie kilka razy: najpierw z ojcem na wycieczce z jego zakładu pracy, później na dzikich biwakach u koleżanki ze studiów. Miałem 24 lata, gdy jechałem PKS-em z Olsztynka, by objąć w administrowanie Muzeum Bitwy pod Grunwaldem w Stębarku. Pamiętam, że nagle autobus wjechał w hektary kwitnącego rzepaku, a ja nie mogłem oderwać oczu od tego widoku. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to właśnie Mazury staną się moją drugą małą ojczyzną. Zaczęło się od Grunwaldu. Był 1983 r.

Niewielkie muzeum

Niewielkie Muzeum Bitwy pod Grunwaldem, wówczas oddział Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, czynne było sezonowo, od wiosny do jesieni. Dwa były tego powody. Pierwszy prozaiczny – muzealny pawilon pozbawiony był wody i ogrzewania, drugi zaś ogólnomazurski – od października do połowy kwietnia mało kto na Mazury zagląda. Do dzisiaj nic się w tej kwestii nie zmieniło. Trzeba pamiętać, że grunwaldzka wystawa ekspozycyjna była w pawilonie odgrywającym tę rolę z przypadku, a właściwie z konieczności. Otwarty z wielką pompą w 1960 r., w 550. rocznicę bitwy, zespół pomnikowy na polach grunwaldzkich autorstwa Jerzego Bandury i Witolda Cęckiewicza, pozbawiony był sali wystawienniczej. Sytuację uratowano kilka lat później, uruchamiając ekspozycję pod amfiteatrem. Aby słońce dało szansę obejrzeć wystawę, niszę pod amfiteatrem przestłoniono gra-

nitowymi blokami i zamknięto wysoką szklaną ścianą. W części pomieszczenia uruchomiono później niewielkie kino, w którym niezliczoną ilość razy wyświetlono sekwencję bitewną z filmu Aleksandra Forda „Krzyżacy”. Podjęte działania miały być prowizorką – już wtedy dostrzegano bowiem konieczność otwarcia na polach Grunwaldu muzeum z prawdziwego zdarzenia. Po ociepleniu stosunków polsko-niemieckich, jakie przyniósł 1970 r., ówczesne władze na prawie 10 lat dały Grunwaldowi spokój, by powrócić do koncepcji nowego zagospodarowania słynnego pobojuwiska pod koniec lat 70. Decyzje zapadły na szczepku rządowym (premier Jaroszewicz), działania zaplanowano na lata 1980–1981, a ich zwieńczeniem miały być wielkie obchody 575. rocznicy bitwy (1985). Prezydium rządu zatwierdziło „Studium zagospodarowania pola bitwy i tras grunwaldzkich” (1979), jeszcze w tym samym roku powołano 40-osobowy ogólnopolski społeczny komitet na czele z prof. Wiktoorem Zinem, ówczesnym generalnym konserwatorem zabytków. W skład komitetu, obok wielu rządowych i warmińsko-mazurskich, weszło kilku wybitnych historyków, m.in. Karol Górski, Witold Hensel, Stefan M. Kuczyński, Jan Wimmer i Kazimierz



Żygulski. Mało już kto pamięta, że komitet ten, jak i inne, zawieszono po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r.

Między Olsztynem a Warszawą

Początek lat 80. ubiegłego wieku to nieustające próby władz wojewódzkich w Olsztynie, by tzw. sprawę grunwaldzką uczynić ogólnopolską. Nikt „na górze” nie mówił oficjalnie tej inicjatywie nie, ale Warszawa unikała jakichkolwiek deklaracji, wiedząc, że stan finansów nie pozwoli na realizację żadnych kosztownych wizji. W Olsztynie powołano więc Społeczny Komitet Grunwaldzki na czele z Jerzym Wojnowskim, dyr. Ośrodka Badań Naukowych, b. I sekretarzem KW PZPR. Ogólnopolski Komitet powstał dopiero w 1986 r. Jego obradom przewodniczył Kazimierz Barcikowski, wówczas zastępca przewodniczącego Rady Państwa. I ten Komitet nakreślił ambitne wizje koniecznych zmian, i ten przeszedł do historii, niczego dla Grunwaldu nie robiąc. Kiedy posiedzenia Komitetów lub jego ciał statutowych odbywały się w Stębarku lub Olsztynie, mogłem jako szef muzeum uczestniczyć w nich na prawach gościa. Z narad tych, które w wypowiedzianiu grunwaldzkich życzeń i zaklęć były do siebie podobne jak dwie krople wody, najbardziej utkwiły mi w pamięci smaczne obiady. Może trudno niektórym uwierzyć, ale jako człowiekowi młodemu, do tego bezpartyjnemu, nieustannie, a nieprzynoszące żadnych efektów bicie grunwaldzkiej piany było właściwie obojętne. Nie miało ono też wpływu na moją codzienną, solidnie wykonywaną pracę. Kiedy notabie przyjeżdżali na Grunwald wygłaszać swe przemówienia, ja starałem się zniknąć im z oczu, wtapiając się w tłum uczestników, by dyskretnie nadzorować pracę moich ludzi. Było to o tyle łatwe, że lokalni dygnitarze nie mogli swojego wzroku oderwać od tych, którzy przyjeżdżali ze stolicy. Dla tych pierwszych zresztą ja też byłem z „Warszawy” i nikt nie wiedział, kto za mną stoi. Do dzisiaj nawet ja nie wiem, czy ktoś za mną stał, czy też o zatrudnieniu mnie w grunwaldzkim muzeum – czego jestem raczej pewien – zadecydował przypadek.

Pierwsze miesiące mojej pracy w 1983 r. były intensywne. Nie minęły nawet dwa tygodnie, gdy na Grunwaldzie mieli zlot harcerze. Jesienią otwieraliśmy pomnik

powstały z fragmentów zniszczonego przez Niemców w 1939 r. w Krakowie Pomnika Grunwaldzkiego. W uroczystości otwarcia tego „symbolu pomnikowego z ciosów granitowych” wziął udział prof. Kazimierz Żygulski, ówczesny minister kultury i sztuki. To dzięki niemu, a właściwie jego beretowi, trafiłem na wystawę zdjęć... sławnych ludzi. Okazało się, że aby zostać znanym człowiekiem, wystarczyło nie postawić krzesła przy stoliku, gdzie notabie mieli podpisać akt erekcyjny. Brak krzesła, o którym po prostu zapomniałem, sprawił, iż minister Żygulski z powodu spadającego mu na pióro beretu miał problem ze złożeniem podpisu. Pospieszyłem oczywiście z pomocą. Kiedy minister składał podpis, Wacław Kapusto uwiecznił i ministra, i siłą rzeczy mnie, trzymającego ministerialny beret. Na wystawę portretów znanych ludzi trafiliśmy więc obaj, ale w podpisie pod zdjęciem pojawiło się oczywiście tylko nazwisko profesora.

Waldemar Mierzwa, autor tekstu, przewodnikiem po grunwaldzkiej wystawie, 1988 r.



Schyłek PRL-u

Dziwne były te czasy schyłkowego PRL-u. Tracąca na znaczeniu PZPR do końca próbowała sprawiać wrażenie, że nad wszystkim panuje. Do końca w partyjnych rękach pozostawały decyzje personalne, nie zdziwiłem się więc, kiedy wiosną 1989 r., w czasach gdy trwały obrady okrągłego stołu (!), jeden z sekretarzy KW PZPR w Olsztynie zażądał od wicewojewody olsztyńskiego odwołania mnie ze stanowiska. Polecenie nie zostało wykonane, bo sekretarz nie podpisał przesłanego pisma...

Pod koniec lat 80. w wolnych od pracy w muzeum chwilach oddawałem się gospodarowaniu. Było ono konsekwencją poszukiwania dodatkowych źródeł dochodu. Z sukcesem hodowaliśmy kury, gęsi, kaczki i opasowe byczki, dobrze wy-

szliśmy na kapuście i jęczmieniu. Z pieniędzy uzyskanych z hodowli świniaaków kupiliśmy Fiata 126p, nasz pierwszy samochód. Zaczynaliśmy właściwie od zera. W ciężarówce, którą dotarli z Warszawy na Mazury nasze rzeczy, były jedynie dwa rozkładane fotele, lampa i 2 tys. książek. Imałem się więc różnych zajęć dodatkowych. Byłem na pół etatu kierownikiem kina na polach grunwaldzkich, a kiedy trzeba było – także kinooperatorem. Przeszedłem fachowe szkolenie, by zdobyć uprawnienia „w zakresie obsługi i konserwacji projektorów 16 i 35 mm”. Dialogi z filmu „Krzyżacy” znałem oczywiście na pamięć, więc nawet kiedy psuł się aparat i nie można było odtworzyć ścieżki dźwiękowej, recytowałem tekst,

stojąc obok kabiny kinooperatora. Jako przewodnik

oprowadzałem po polach grunwaldzkich, w sezonie zdarzało się nawet 16 wycieczek jednego dnia. Myślę, że przez osiem lat mojej opowieści o bitwie wysłuchało ponad 100 tys. osób. Publikowałem rozprawki o Grunwaldzie i krzyżakach, pisywałem do gazet, miewałem odczyty. Zaś jesienią i zimą, kiedy pracy w muzeum było mniej, chodziłem do sąsiada uczuć się stolarki.

Pierwsza msza

Ostatnią „moją” imprezą na polach grunwaldzkich były obchody 580. rocznicy bitwy (1990). W uroczystościach wzięli udział ówcześni prezydenci Polski i Litwy. Po latach żołnierskich przysięg i harcerskich zlotów można było wreszcie zorganizować obchody według innego scenariusza. Powodzenie najważniejszego chyba z moich pomysłów zależało od decyzji jednego człowieka – ówczesnego biskupa diecezji warmińskiej Edmunda Piszczka (1929–2022). Przyjął mnie w kurii.

– Chciałem prosić waszą ekscelencję o odprawienie mszy polowej na polach Grunwaldu w rocznicę bitwy. Byłoby to nawiązanie do wydarzeń z 15 lipca 1410 r. Długosz pisał, że król Jagiełło kazał odprawić dwie msze, nim rycerstwo poszło do boju – wyłuszczyłem sprawę. >>

» – Nie za bardzo sobie to wyobrażam – odparł biskup. – Dla kogo miałyby być ta msza? Dla władzy? Toż większość z nich nawet przeżegnać się nie potrafi.

– Oczywiście, że dla ludzi! Lipcowe uroczystości na polach grunwaldzkich gromadzą tysiące ludzi. Msza polowa byłaby potwierdzeniem, że nowe otwarcie nie dotyczy tylko wielkich miast, lecz także mazurską wieś – powiedziałem.

– Rozumiem i doceniam intencję, ale nie widzę takiej możliwości. – Widać było wyraźnie, że biskup chciałby skończyć spotkanie.

– Ekscelecjo, naprawdę nie przyjechałem tu załatwiać czegoś dla władzy. Szczerze mówiąc, to nikt z decydentów nawet nie wie, że jestem u księdza biskupa. Ta msza jest ważna dla zwykłych ludzi. Toż oni ostatni raz księdza na polach grunwaldzkich widzieli zaraz po wojnie, potem uroczystości miały już jedynie świecki charakter – nie poddawałem się.

– W tym ma pan rację. Nigdy dotąd o mnie nikt w kontekście pól grunwaldzkich nie pomyślał, ale proszę też i mnie zrozumieć. Nie chciałbym, aby ktoś odniósł wrażenie, że Kościół wprasza się na pola grunwaldzkie.

– Nikt takiego wrażenia nie odniesie, proszę mi wierzyć. – Nie wiem, skąd wpadłem na pomysł, by składać takie zapewnienie. – Jeśli ksiądz biskup powie tak, władza przyjmie decyzję waszej ekscelecji do wiadomości.

– Proszę mi przypomnieć, jak pan się nazywa?

– Mierzwa.

– Czy ktoś z pana rodziny był przed wojną samorządowcem w Katowicach?

– Tak – odparłem w ciemno, zdając sobie sprawę, że w tej sytuacji mam niewiele czasu na właściwą odpowiedź.

– To był mądry, odważny człowiek – powiedział biskup i się zamyślił. – Dobrze – rzekł po chwili. – Przyjadę, odprowadzę mszę. Wyznaczę księdza, który uzgodni szczegóły.

Przy pierwszej okazji zapytałem ojca o tego śląskiego Mierzwę. Nie słyszał o tym, by w rodzinie był przed wojną jakiś samorządowiec w Katowicach. Powiedziałem o tym ks. Piszczowi w czasach, gdy był on już arcybiskupem-seniosem. To przyznanie się zostało nagrodzone – arcybiskup, choć początkowo nie chciał o tym słyszeć, został jednym ze współautorów mojej książki „Smak Warmii. Rzecz nie tylko o kuchni”.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM

21 września 2022 r. po latach przygotowań i budowy zostało otwarte nowe Muzeum Bitwy pod Grunwaldem

Grunwald i Westerplatte

Wiosną 1991 r. złożyłem wypowiedzenie. Wygrany przez spółkę, której byłem udziałowcem, przetarg na dzierżawę lokalu księgarni na polach grunwaldzkich oznaczał konieczność mojej rezygnacji z pracy w muzeum. Nie wyobrażałem sobie bowiem, że mogę być kimś, kto na podległym sobie terenie zarabia w tym samym czasie pieniądze i jako muzealnik, i jako przedsiębiorca. Decyzja przyszła mi tym łatwiej, że nie wierzyłem, iż nowe muzeum powstanie wcześniej niż w 2010 r. Szkoda było czasu na tak długie czekanie. Odszedłem w „biznesy”.

Wiosną 1992 r. pojechałem do Ministerstwa Kultury załatwić licencję na wypożyczanie kaset wideo w jednej z naszych księgarni. Gdy przechodziłem koło gabinetu naczelnika departamentu muzeów, zobaczyłem uchylone drzwi jego sekretariatu. Ponieważ sprawa Grunwaldu nadal nie była mi obojętna, postanowiłem dowiedzieć się, jaka jest możliwość przyjęcia mnie przez zwierzchnika polskich muzeów. W sekretariacie, przy maszynie do pisania, siedział pan w średnim wieku. Usiłował napisać jakieś pismo, ale wyraźnie mu to nie szło. Wyglądał na poirytowanego.

– Przepraszam, czy zastałem pana naczelnika?

– Nie – odpowiedział mi pan, nie odrywając oczu znad maszyny.

– A czy będzie dzisiaj? – nie poddawałem się.

– A pan w jakiej sprawie?

– Chciałbym kupić muzeum – odrzekłem.

– A, jak w takiej sprawie, to jestem – powiedział, wstając od maszyny. – Zapraszamy do gabinetu.

Puścił mnie przodem.

– A które to muzeum chciałby pan kupić? – zapytał, nim zdążyliśmy usiąść.

– W Grunwaldzie – odparłem.

– Proszę pana, dwóch muzeów panu nie dam rady sprzedać: w Grunwaldzie i na Westerplatte – powiedział naczelnik i uśmiech rozlał się po jego smutnej do tej pory twarzy.

PS Nowy pawilon Muzeum Bitwy pod Grunwaldem otwarto jesienią 2022 r., 31 lat po moim odejściu.

Waldemar Mierzwa – autor i wydawca z Mazur, właściciel Oficyny „Retman”, współpracownik „wSieci Historii”, kierował Muzeum Bitwy pod Grunwaldem w Stębarku w latach 1983–1991. Opis m.in. tych czasów zawarł w książce „Niczyje” (Dąbrówno 2022).

POLACY NIE GĘSI I SWÓJ SPORT TEŻ MAJĄ



BARTŁOMIEJ DŁUGOSZ

Mistrzostwa Polski w palancie w Katowicach, na zdjęciu drużyna klubu sportowego Kościuszków, 11 października 1936 r.

WEDŁUG NIEKTÓRYCH DONIESIEŃ TO POLSKI PALANT JEST PROTOPLASTĄ BASEBALLU, JEDNEGO Z NAJPOPULARNIEJSZYCH SPORTÓW W USA, GDZIE GROMADZI MILIONY WIDZÓW NA STADIONACH I PRZED TELEWIZORAMI. NIESTETY KOMUNISTYCZNA PROPAGANDA SKUTECZNIE ZNISZCZYŁA W POLAKACH CHĘĆ KULTYWOWANIA TEJ PIĘKNEJ TRADYCJI

Palant jest na tyle stary, że trudno podać dokładną datę jego powstania, ponieważ w średniowieczu gry uważano za zbyt błahe, by się nimi zajmować. Jednak wielu historyków interesowało się tym zagadnieniem, jak choćby Eugeniusz Piasecki, prof. Uniwersytetu Poznańskiego w okresie międzywojennym, czy prof. Wojciech Lipoński, współ-

czesny historyk sportu, lekkoatleta i olimpijczyk.

Początek

Pierwsza wzmianka świadcząca o istnieniu gry z kijem i piłką pochodzi z 1427 r. i znajduje się w „Album Studiosorum” Uniwersytetu Jagiellońskiego: „W roku 1427 zgłosił się do rektora Uniwersytetu Jan Brzuszek – rybak z przedmieścia

krakowskiego ze skargą, że niejaki Piotr zwany Pkał, oraz Stanisław i August z Mazowsza, według jego przypuszczenia studenci, [...] pobili go kijami inaczej zwanymi »pylathiky« i wielkimi nożami, przyczem zrobili mu 16 sińców i zadali ranę otwartą w nos”.

Słowo „pylathiky” odnosiło się do kijów służących do gry w piłkę (z łac. „pyla” – piłka). Zapis ten sugeruje, że już w 1427 r. były one powszechnie >>

>> stosowane, a ich łacińska nazwa powszechnie znana, ponieważ żacy nawet podczas gry byli zobowiązani mówić po łacinie. Zatem gra mogła istnieć nawet przed XV w. Po polsku nazywano ją po prostu „piłka”, „gała”. Z kolei dziś obowiązująca nazwa „palant” ma korzenie w XVI w., tj. w czasach Bony Sforzy, i pochodzi od włoskiego „palla”, czyli piłka, a „pallante” to po starowłosku „grający piłką”. W palanta grywano m.in. na Wawelu, a król Zygmunt August był miłośnikiem tej gry.

Pierwsze informacje o zasadach gry pochodzą z 1610 r. Włoski lekarz Ippolito Guarinoni, który studiował wtedy w Pradze, pisał: „Trzecia gra w piłkę, którą widziałem jedynie w Czechach, nigdy zaś we

Włoszech, jest piłka [...], skórzana i twarda, tamże dwie partie rozdzielają się w polu na wszystkie strony [...]”. Takowa gra była nam w Pradze bardzo miła i często ćwiczyliśmy się w niej. Najwprawniejsi w niej byli Polacy i Ślązacy, jakoś mniemam, że ona stamtąd mogłaby pochodzić”. Świadcstwo Guarinoniego jest niezwykle cenne. Jak widać, w palanta grywano również poza granicami naszego kraju.

Z XVIII w. mamy opis gry dokonany przez Jędrzeja Kitowicza w książce „Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III”. W podrozdziale „O zabawach studenckich” autor pisał tak: „Na rekreację wychodzi studenci hurmem z profesorami i dyrektorami [...]. Zabawy na rekreację zwyczajne były: piłka i palcat [z włos. laska, kij – przyp. red.], których też zabaw studenci i mię y szkołami, nim się zaczęła lekcja szkolna, zażywali. [...] Jeżeli bowiem nieschwytna od żadnej ręki upadła na ziemię, już była gra przegrana; która nie miała żadnych zakładów, ani stawek, tylko same słowne chluby z wygranej albo śmiechy z przegranej. Takowa gra zwała się palant, i zabawiali się nią wraz z iećmi dyrektorowie i profesorowie dla agitacji [„dla ruchu” – przyp. red.]”.

Prof. Norman Davies w książce „Boże igrzysko. Historia Polski” wysnuł tezę, że to polscy emigranci, którzy przybyli do Jamestown na początku XVII w., mogli położyć podwaliny pod powstanie baseballu, którego oficjalne zasady spisano w 1845 r. Podobną tezę wysunął amerykański pisarz David Block w książce „Baseball before we knew it. A search for the roots of the game”. Wspomina on Zbigniewa Stefańskiego, jednego z pierwszych Pola-

datkowych problemów w systematyzacji zagadnienia. „Większość wychowawców bowiem nie troszczy się o pochodzenie zabiegów, które pragnie wzbogacić swą metodę. Rejestrując je zaś, nie podaje źródeł, miesza rzeczy swojskie z obcymi, zmienia szczegóły, które mu się wydają mniej celowymi” – pisał dr Eugeniusz Piasecki.

Było więc bardzo trudno zliczyć wszystkie możliwe odmiany palanta na przełomie wieków. Mimo to, dzięki Zofii Dowgird i jej pracy doktorskiej, znamy ok. 400 odmian gry w palanta, które uprawiano w dwudziestoleciu międzywojennym w Polsce!

W Katowicach w 1925 r. utworzono Polski Związek Palanta i Gier Ruchowych (PZPiGR), jednoczący miłośników palanta, siatkówki, koszykówki i piłki ręcznej. Wyróżnienie akurat palanta w nazwie



Włoszech, jest piłka [...], skórzana i twarda, tamże dwie partie rozdzielają się w polu na wszystkie strony [...]”. Takowa gra była nam w Pradze bardzo miła i często ćwiczyliśmy się w niej. Najwprawniejsi w niej byli Polacy i Ślązacy, jakoś mniemam, że ona stamtąd mogłaby pochodzić”. Świadcstwo Guarinoniego jest niezwykle cenne. Jak widać, w palanta grywano również poza granicami naszego kraju.

Z XVIII w. mamy opis gry dokonany przez Jędrzeja Kitowicza w książce „Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III”. W podrozdziale „O zabawach studenckich” autor pisał tak: „Na rekreację wychodzi studenci hurmem z profesorami i dyrektorami [...]. Zabawy na rekreację zwyczajne były: piłka i palcat [z włos. laska, kij – przyp. red.], których też zabaw studenci i mię y szkołami, nim się

ków przybyłych do Jamestown w 1608 r. na prośbę Anglików. Polacy mieli pomóc założyć pierwszą stałą angielską osadę w Ameryce. Stefański w swoim „Pamiętniku handlowca” znalezionym dopiero w XX w. opisuje, że praktycznie od początku pobytu grali kijem i piłką wraz z innymi i nawet Indianie im się przyglądali z zachwytem. Warto wspomnieć, że Polacy przyczynili się do uratowania osady oraz zorganizowali pierwszy w historii Ameryki strajk – żądali praw wyborczych. Zostały im nadane już na drugi dzień.

Rozkwit

W 1918 r., po zakończeniu I wojny światowej, palant został wpisany do podstawy programowej we wszystkich szkołach w Polsce. Przysporzyło to badaczom do-

Strony z pamiętnika Janusza Kusocińskiego „Od palanta do olimpiady” poświęcone grze w palanta

związku świadczy o największej wówczas randze tej dyscypliny. Potwierdza to także pamiętnik Janusza Kusocińskiego, złotego medalisty olimpijskiego z 1932 r., który wydał swoje wspomnienia pod znamienym tytułem „Od palanta do olimpiady”.

W 1951 r. Tatiana Gradowska na zlecenie Głównego Komitetu Kultury Fizycznej stworzyła aktualny podręcznik z zasadami i nauką gry w palanta, na którego pierwszej stronie napisała: „Czynnik silnego zespołowego współzawodnictwa występujący w palancie rozwija korzystne cechy charakteru. Gra ta rozwija też takie dyspozycje fizyczne jak zwinność, siłę, szybkość reakcji, zdecydowanie itp.;

cechy przygotowujące organizm dziecka do przyszłej pracy zawodowej i obrony Ojczyzny”.

W 1957 r. powstał Polski Związek Piłki Palantowej, a pierwszym oficjalnym mistrzem Polski został KS Silesia Rybnik. Wtedy palant był bardzo popularny w Polsce, był tradycją II Rzeczypospolitej i symbolem, który jednoczył Polaków, co nie podobało się władzom PRL. Punktem zwrotnym w rozwoju palanta była wymieniona już wyżej wybitna praca doktorska Zofii Dowgird pt. „Formy gry w palanta na obszarze Polski” z 1966 r. Praca odbiła się szerokim echem w środowisku akademickim. Jednakże stała się pretekstem do politycznej nagonki.

Upadek

Poniżej fragmenty z książki Wojciecha Lińskiego „Rochwist i palant. Studium etnologiczne dawnych polskich sportów i gier ruchowych na tle tradycji europejskiej”, który najlepiej opisuje czas upadku palanta: „W lutym i marcu 1966 r. przez warszawską, a następnie ogólnopolską prasę przewalała się fala kpín i szyderstw z pracy doktorskiej Zofii Dowgird [...] Jej kulminację stanowił głośny artykuł Daniela Passenta, zamieszczony na łamach »Polityki«. Znany felietonista pisał z przeką-

sem »Pani Zofii prawdopodobnie nikt nie zmuszał do zajmowania się palantem. Z własnego wyboru padła ofiarą śmiesznego tytułu. Zajmowanie się dziejami i formą palanta nie uzyska aprobaty społecznej, gdyż są sprawy ważniejsze, których zbadanie przyniosłoby korzyść nie tylko autorce. Jeśli pozostanie to przypadek wyjątkowy, to nie ma chyba powodu do alarmu. Nie zamierzamy przecież atakować hobbystów, ludzi, którzy wiele czasu i miętności poświęcają sprawom drugorzędnym. Palant indywidualny nie jest szkodliwy, ale zbiorowy może okazać się zbyt kosztowny«. Felieton Passenta nie był publikacją naukową, jednak oddziałł negatywnie na badania naukowe poświęcone etnografii dawnych polskich sportów. Wypowiedzi naukowców ginęły w ogólnym oburzeniu na marnotrawienie

energii naukowej na palanta. [...] Niestety, skutki prasowej nagonki na palanta okazały się dość dolegliwe dla tej tradycyjnej gry polskiej. Sama doktorantka usunęła się zastraszona z proscenium publicznego. Nikt nie podjął się publikacji pracy doktorskiej, która z punktu widzenia czysto naukowego, można to stwierdzić jednoznacznie i dziś, stanowiła opracowanie etnograficzne spełniające międzynarodowe standardy etnograficzne, przewyższając niejedną z podobnych prac, publikowanych i szeroko uznawanych na Zachodzie, szczególnie we Francji, w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych. U nas praca poświęcona ważnemu aspektowi ludyczności społeczeństwa polskiego – bo opierając się na palancie, dała bogaty wykład tej własnej dziedziny życia – zamiast szerokiego uznania stała się publicznym pośmiewiskiem. [...] Dziennikarski duch prześmiewczości triumfował. Słowo »palant« stało się synonimem osobnika tępego niczym kij do wybijania piłki. Gra w palanta, znajdująca dotąd szerokie zastosowanie w szkolnych programach wychowania fizycznego, zaczęła być cichaczem wycofywana przez co ostrożniejszych kuratorów i dyrektorów szkół. Polski Związek Piłki Palantowej, ostatni związek gry wyrastającej z polskiej, a nie obcej tradycji kultury fizycznej, zaczął coraz wyraźniej orientować swą politykę na zagraniczne odmiany podobnych sportów, przekształcając się ostatecznie w Polski Związek Baseballu i Softballu (1978). Mało jest w całej historii kultury polskiej, bo nie tylko sportu, tak wyrazistych przykładów niedbałości o tradycje własne z jednoczesną papuzią tendencją do naśladowania tego co obce”.

Pomimo tych wszystkich przeciwności palant nie umarł, lecz pozostał w polskiej tradycji w wielu miejscach. M.in. w Grabowie do dziś od setek lat we wtorek po Wielkanocy obchodzi się Święto Palanta. Również w Grabowie urzęduje Król Palanta. Obecnie, według obserwacji PSPal, w kilkuset szkołach w całej Polsce gra się w palanta. Przez 36 lat nie było jednak żadnej organizacji, która wspierałaby ten sport.

Idzie nowe

Wszystko zaczęło się zmieniać w 2014 r., kiedy Łukasz Szymborski wraz z Maciejem Steinbornem postanowili wskrzesić grę z dzieciństwa i rozpoczęli program #palantpowraca. Założono Polskie Sto-

warzyszenie Palantowe (PSPal) w Warszawie. W Trójmieście, Krakowie, Rzeszowie, Jaśkowie, Słubicach, Knurówie, Rybniku i innych miastach powstawały kluby krzewiące wśród społeczności lokalnych zamiłowanie do palanta. W ciągu 10 lat zorganizowano ponad 1 tys. wydarzeń w całej Polsce, jak i poza jej granicami. Poprowadzono m.in. darmowe treningi, turnieje charytatywne, rodzinne, puchary miast, puchary Polski oraz mistrzostwa Polski. Grano zawsze koedukacyjnie, często międzypokoleniowo z osobami w wieku od 5 do 80 lat.

Wkrótce powołany zostanie Polski Związek Palantowy, a następnie międzynarodowa federacja mająca na celu rozpropagowanie palanta na cały świat, aby pokazać, że (parafrazując Reja) „Polacy nie gęsi i swój sport też mają!”. Główne cele organizacji to: sekcje palantowe w różnych kategoriach wiekowych, powrót palanta do podstawy programowej oraz tworzenie lig.

W 2023 r. planowana jest również produkcja filmu dokumentalnego o historii palanta. W 2024 r. na 10-lecie inicjatywy #palantpowraca rozegramy mistrzostwa Polski na Stadionie Narodowym w Warszawie.

Palant jest ważną częścią historii Polski, wiele wskazuje na to, że jest ojcem baseballu. Został zmarginalizowany przez sowiecką propagandę, której nie odpowiadała polska tradycja jednocząca naród. Musimy zrobić wszystko, aby przywrócić palantowi prestiż, o którym w swojej autobiografii „Od palanta do belcanta” pisał Mieczysław Fogg: „Wolałem godzinami sterczeć przed Operetką niż dotrzymać towarzystwa rówieśnikom, którzy parę razy w tygodniu ciągnęli mnie do gry w palanta; [...] Koledzy uważali swoje zainteresowanie dla palanta za coś wyższego niż moja słabość dla Operetki. W ich bowiem ta kreowała ich na prawdziwych mężczyzn. Dla utrzymania mojego prestiżu uczestniczyłem od czasu do czasu w palantowych rozgrywkach”.

Zachęcamy do kontaktu każdego zainteresowanego palantem. My, Polacy, mamy go we krwi, bo jest nasz! Odrzućmy komunistyczną propagandę, pamiętając o tym, że zgodnie z naszą dewizą: „Palant to sport, a nie ktoś durny! Palant to tradycja, z której możesz być dumny!”.

Autor jest członkiem Zarządu Polskiego Stowarzyszenia Palantowego i prezesem Klubu Sportowego Polskie Stowarzyszenie Palantowe w Krakowie



Lipiec



**MICHAŁ
KOMUDA**



3 VII 1828

W Warszawie urodził się polski działacz emigracyjny, książę Władysław Czartoryski. Był przywódcą obozu Hotel Lambert, emisariuszem Rządu Narodowego podczas powstania styczniowego, a także założycielem Muzeum Czartoryskich w Krakowie.



4 VII 1633

Pod Sasowym Rogiem, na terenie Gospodarstwa Mołdawskiego, hetman wielki koronny Stanisław Koniecpolski dogonił uchodzące po najeździe czambuły tatarskie. Jego jazda nie tylko rozbiła ordyńców, lecz także odbiła jasyr i zagrabione łupy.

6 VII 1923

100 lat temu w Kurowie w rodzinie szlacheckiej przyszedł na świat przyszły autor wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, przedostatni I sekretarz KC PZPR, gen. Wojciech Jaruzelski.



7 VII 1633

W Wilnie zmarł kanclerz oraz hetman wielki litewski, polityk i dyplomata, Lew Sapieha. Był twórcą potęgi jednego z najbardziej wpływowych rodów na Litwie.



11 VII 1943

80 lat temu, podczas tzw. krwawej niedzieli, oddziały UPA dokonały zbrodniczych ataków na ok. 100 zamieszkałych przez Polaków miejscowości na Wołyniu. W hołdzie wówczas pomordowanym oraz jako przestroga przed nienawiścią 11 lipca obchodzi się Narodowy Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa.



17 VII 1943

Gen. Tadeusz Komorowski „Bór” został drugim w historii Komendantem Głównym Armii Krajowej. Nominacja ta była konsekwencją aresztowania przez gestapo jego poprzednika gen. Stefana Roweckiego „Grota”, które miało miejsce 30 czerwca.



21 VII 1973

Po raz pierwszy w PRL Polacy mogli cieszyć się wolną sobotą. Pięciodniowy tydzień pracy był jednak wprowadzany stopniowo i proces ten trwał aż do upadku komunizmu w Polsce.



23 VII 1503

W Budzie przyszła na świat córka Władysława II Jagiellończyka, królowa Czech i Węgier, Anna Jagiellonka. Z jej związku z Ferdynandem I Habsburgiem przyszło na świat piętnaścioro dzieci, w tym przyszły cesarz i dwie polskie królowe.



➤ 28 VII 1353

Prawnuczka Władysława Łokietka, księżniczka Anna Świdnicka, została w Pradze koronowana na królową Czech. Niespełna dwa lata później jako pierwsza Piastówna została namaszczone na Cesarzową Rzymską.

Przyszła władczyni urodziła się w 1339 r. i była córką księcia świdnickiego Henryka oraz Katarzyny. Z powodu przedwczesnej śmierci ojca wychowywała się u boku siostry swojej babci, królowej węgierskiej, Elżbiety Łokietkówny na dworze w Budzie. W 1350 r. bezdzietny brat ojca Anny, książę świdnicko-jaworski Bolko II, zawarł układ sukcesyjny z królem czeskim i niemieckim, Karolem IV Luksemburskim. Zgodnie z nim młoda księżniczka miała w przyszłości poślubić dopiero co narodzonego syna władcy Czech i dziedziczyć księstwo swojego stryja. Do realizacji układu jednak nie doszło, ponieważ chłopiec niebawem zmarł. Gdy ponad rok później odeszła również jego królewska matka, owdowiały Karol IV Luksemburski postanowił osobiście poślubić młodszą od siebie o 23 lata Annę. Zaślubiny odbyły się 27 maja 1353 r. w węgierskiej Budzie, po czym zawarto drugi układ sukcesyjny dotyczący zasad dziedziczenia księstwa świdnicko-jaworskiego. Dwa miesiące później arcybiskup praski włożył na skronie Piastówny czeską koronę. Następnie na początku 1354 r. Anna została królową niemiecką. Ostatecznie 5 kwietnia 1355 r. w Rzymie legaci papiescy dokonali koronacji cesarskiej królewskiej pary. Cesarzowa Anna dała swojemu małżonkowi dwójkę dzieci, w tym upragnionego następcę tronu – Wacława IV Luksemburskiego.

➤ 31 VII 1893

W Warszawie przyszedł na świat przyszły kapelan Wojska Polskiego, ks. Ignacy Skorupka. Jego bohaterska śmierć pod Ossowem stała się jednym z symboli obrony Polski przed bolszewicką nawałą.

Urodził się w rodzinie szlacheckiej, w której żywa była pamięć o dziadku Ignacym, uczestniku powstania styczniowego. W 1909 r. jako 16-latek wstąpił do Warszawskiego Seminarium Duchownego, a pięć lat później rozpoczął dalsze kształcenie w Cesarskiej Rzymskokatolickiej Akademii Duchownej w Petersburgu. Gdy podczas I wojny światowej, w 1916 r., otrzymał święcenia kapłańskie, został proboszczem w rosyjskim Bogorodsku. Swoją posługę pełnił następnie

w Klińcach, stając się opiekunem, nauczycielem i duchowym przywódcą tamtejszej grupy polskich uchodźców. Integrując tę społeczność, m.in. powołał potajemnie do życia drużynę harcerską. Po uzyskaniu zgody na powrót swoich podopiecznych do odradzającej się Polski sam został skierowany do Łodzi. Zarówno tam, jak i ponad rok później pełniąc posługę w Warszawie, angażował się w liczne akcje społeczne i oświatowe. Po wybuchu wojny polsko-bolszewickiej ponawiał starania o powierzenie

mu funkcji kapelana. Początkowo spotykały się one z odmową ze strony hierarchów kościelnych. W końcu, w krytycznej fazie ofensywy wojsk bolszewickich, w lipcu 1920 r., za wstawiennictwem bp. polowego Stanisława Galla, został przydzielony jako kapelan do garnizonu na Pradze. Następnie posługę zaczął pełnić w formowanym z młodzieży, w gmachu Szkoły im. Władysława IV, 1. Batalionie 236. Pułku Piechoty Armii Ochotniczej. Bardzo ważnym jego wkładem było umacnianie wśród młodych żołnierzy wiary w zwycięstwo. Niebawem, 13 sierpnia, jednostka ta została skierowana na front i włączona do 36. Pułku Piechoty Legii Akademickiej. Obsadziła pozycje w podwarszawskiej wsi Ossowo. Następnego dnia ks. Skorupka, za zgodą dowódcy kompanii,

ppor. Mieczysława Słowikowskiego, wziął udział w polskim kontrataku. Według jednej wersji, uwiecznionej na przedstawieniach malarskich, kapłan miał zginąć 14 sierpnia, prowadząc oddział do natarcia z trzymanym przez siebie w dłoni krzyżem. Według drugiej, w niczym nieumniejszającej jego oddania i bohaterstwa, otrzymał śmiertelny postrzał najprawdopodobniej w trakcie udzielania ostatniego



namaszczenia rannemu żołnierzowi. Trzy dni później w Warszawie odbyły się uroczystości pogrzebowe kapłana, który pośmiertnie został odznaczony orderem Virtuti Militari. Wzięli w nich udział zarówno dostojnicy świeccy, jak i kościelni. Kard. Aleksander Kakowski, oceniając ofiarę kapelana, napisał, że „chwila śmierci ks. Skorupki jest punktem zwrotnym w bitwie pod Ossowem i w dziejach wojny 1920 r. Do tej chwili Polacy uciekali przed bolszewikami, odtąd uciekali bolszewicy przed Polakami”.

Sierpień

1 VIII 1973

Na emigracji w Paryżu zmarł szef sztabu Komendy Głównej Armii Krajowej płk Jan Bokszczanin „Sęk”. Był weteranem I wojny światowej, wojny polsko-bolszewickiej, kampanii wrześniowej, a także konspiracji antykomunistycznej.



4 VIII 1818

Polski alpinista i poeta Antoni Malczewski jako pierwszy Polak stanął na szczycie Mont Blanc. Tego samego dnia, wraz sześcioro-giem towarzyszy, został pierwszym zdobywcą północnego wierzchołka Aiguille du Midi.



12 VIII 1968

W Gdańsku zmarł dowódca okrętów podwodnych OORP „Jastrząb”, „Dzik”, „Sokół” i „Sęp”, autor książki „Torpeda w celu!”, kmdr Bolesław Romanowski. Pod koniec II wojny światowej dowodził grupą okrętów podwodnych, a po powrocie do kraju Dywizjonem Okrętów Podwodnych.



15 VIII 1683

Król Jan III Sobieski opuścił Kraków, by forsownym marszem dotrzeć na miejsce koncentracji wojsk sprzymierzonych idących na odsiecz oblężonemu przez Turków Wiedniowi.

19 VIII 1893

W Warszawie przyszedł na świat jej przyszły prezydent i heroiczny gospodarz, Stefan Starzyński. W młodości, przed objęciem tej historycznej funkcji, służył w I Brygadzie Legionów, a także walczył w wojnach polsko-ukraińskiej i polsko-bolszewickiej.



26 VIII 1883

W Tarnopolu urodził się jeden z przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, przewodniczący Rady Jedności Narodowej, Kazimierz Pużak. Został zaaresztowany 27 marca 1945 r. przez NKWD i skazany w procesie szesnastu. Następnie ponownie osadzony w Polsce w komunistycznym więzieniu, w którym zmarł.

27 VIII 1813

Zakończyła się dwudniowa bitwa pod Dreznem. W jej trakcie dowodzący austriacko-rosyjsko-pruskimi wojskami feldmarszałek Karl Schwarzenberg nie tylko nie zdołał zdobyć miasta, lecz także musiał ustąpić przed kontratakującymi wojskami Napoleona.





➤ 13 VIII 1923

100 lat temu żaglowiec szkolny STS „Lwów” przekroczył równik w trakcie rejsu do Ameryki Południowej. Był pierwszym w historii statkiem płynącym pod polską banderą, który tego dokonał.

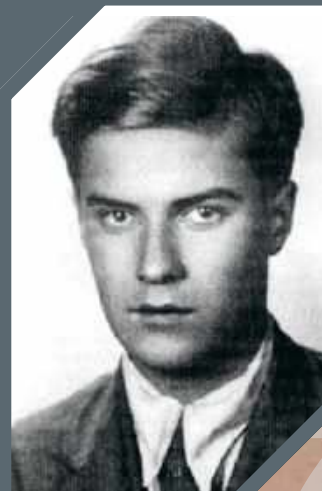
W 1920 r. liczący wówczas ponad 50 lat żaglowiec został zakupiony od holenderskich właścicieli na potrzeby tworzonej Szkoły Morskiej w Tczewie. Jednostka, po wyremontowaniu i przebudowie, została pierwszym polskim statkiem szkoleniowym. Ze względu na fakt, iż statek musiał sam pozyskiwać środki na swoje utrzymanie, pozostawiono na nim część ładowni. Z tego samego powodu trasy rejsów szkoleniowych były zbieżne z miejscami, do których żaglowiec przewoził towary. W maju 1923 r. jednostka wypłynęła z Gdańska w oceaniczny rejs do Brazylii. To właśnie w jego trakcie jako pierwszy polski statek STS „Lwów” najpierw pokonał zwrótnik Raka, a następnie 13 sierpnia równik. Z tej okazji cała załoga przeszła chrzest morski. Historyczny rejs z Europy do Ameryki Południowej i z powrotem trwał blisko osiem miesięcy. W tym czasie komendantem żaglowca był nazywany „pierwszym żeglarzem Rzeczypospolitej” Tadeusz Ziółkowski. W kolejnych latach jego następcami, którzy również wzięli udział we wspomnianym oceanicznym rejsie, byli kolejno słynny „Znaczy Kapitan” Mamert Stankiewicz oraz „Kapitan Kapitanów” Konstanty Matyjewicz-Maciejewicz. Ze względu na pionierską rolę, jaką odegrał dla polskiej żeglugi, statek był zwany „kolebką nawigatorów”. Ostatecznie 13 lipca 1930 r. zakończył swoją dotychczasową służbę i powiewającą na nim banderę przekazano na nową polską jednostkę szkoleniową „Dar Pomorza”.

➤ 20 VIII 1943

Oddział Grup Szturmowych przeprowadził w nocy likwidację posterunku Grenzschutzu w Sieczkach. W trakcie jej wykonywania poległ komendant warszawskich GS-ów, bohater książki „Kamienie na szaniec”, Tadeusz Zawadzki „Zośka”.

Latem 1943 r. Kierownictwo Dywersji Komendy Głównej Armii Krajowej rozpoczęło realizację akcji „Taśma”. Jej celem było zlikwidowanie placówek granicznych ustanowionych przez okupanta pomiędzy Generalnym Gubernatorstwem a obszarem wcielonym do Rzeszy Niemieckiej,

które w fikcyjny sposób dzieliły polskie terytorium. Jednym z punktów tej akcji miało być zniszczenie strażnicy w Sieczkach. Wykonanie tego zadania powierzono harcerzom z warszawskich i wyszkowskich GS-ów, którymi miał po raz pierwszy samodzielnie dowodzić późniejszy bohater powstania warszawskiego hm. Andrzej Romocki „Morro”. Zastępcą dowódcy został „Zośka”. Po przeprowadzeniu drobiazgowego rozpoznania strażnicy, liczby jej strażników, ich uzbrojenia oraz okolicznych dróg rozpoczęto trwającą trzy dni koncentrację ok. 70 mających wziąć udział w akcji harcerzy. Oddelegowany do jej sanitarnego zabezpieczenia lekarz Zygmunt Kujawski „Brom” tak opisywał zastanę na miejscu, w leśnej gajówce, sytuację: „Pierwszą moją akcją były Sieczchy. [...] Ze zdumieniem zauważyłem wtedy, że chłopcy mają krzyże harcerskie. Było dla mnie wówczas wielkim odkryciem, że ten oddział, którym się opiekuję, jest oddziałem harcerskim. [...] Po raz pierwszy zresztą zetknąłem się wówczas z tak liczną grupą ludzi zgromadzonych przed akcją. Do tej pory spotykałem się w czasie szkolenia najwyżej z zespołami pięciu–sześciu chłopców”. Późnym wieczorem 20 sierpnia uczestnicy akcji w szyku ubezpieczonym ruszyli w stronę Sieczch. Na miejscu, podzieleni na grupy mające nacierać na strażnicę oraz związany z nią budynek szkoły, a także ubezpieczać z dwóch stron wykonanie akcji, zajęli miejsca. Znak do natarcia miał paść po przecięciu drutów na pobliskim słupie telegraficznym, jednak niemieccy strażnicy pierwsi oddali strzały. Rozpoczęła się wymiana ognia. W trakcie prowadzonego z czterech stron natarcia na posterunek Grenzschutzu jedna z kul niestety śmiertelnie ugodziła obserwującego akcję „Zośkę”. Dwóch kolejnych harcerzy zostało rannych. Po szybkim zlikwidowaniu niemieckiej załogi ze strażnicy zabrano broń, amunicję oraz dokumenty i zakończono akcję. Na potrzeby odwrotu oraz transportu poległego, rannych i zdobycznego sprzętu sprowadzono trzy furmanki. Nad ranem, po pożegnaniu harcerzy z wyszkowskich GS-ów, reszta uczestników akcji przeprawiła się przez Bug, za którym w pobliskim lesie oczekiwali na mające ich zabrać samochody. Dopiero wówczas, jak wspominał Andrzej Wolski „Jur”, nastąpiło pożegnanie poległego komendanta: „Ciało »Zośki« spoczęło na miękkim mchu. [...] Utworzyliśmy krąg harcerski. [...] W milczeniu żegnaliśmy Tadeusza, ściskając dłonie splecione w kręgu, a po naszych brudnych policzkach spływały łzy, cicho padając na nieczułe już ciało kolegi, przyjaciela, wodza”.



Aleksander Fredro
(1793–1876)

KRESOWIACY

PRZEGLĄDAJĄC „POLSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY”, ZAWIERAJĄCY HASŁA POŚWIĘCONE WYBITNYM POLAKOM I OSOBOM DLA POLSKI ZASŁUŻONYM, ŁATWO ZAUWAŻYĆ, ŻE WIELU Z NICH BYŁO ZWIĄZANYCH Z KRESAMI DAWNEJ RZECZYPOSPOLITEJ


 JACEK
KROCHMAL

Liczne źródła dotyczące Kresowiaków znajdują się w Archiwum Głównym Akt Dawnych. Odnaleźć je można wśród zapisów metrykalnych, czyli akt urodzeń, ślubów i zgonów tzw. archiwum zabużańskiego. Sporządzano je w parafiach katolickich obrządku łacińskiego, greckiego i ormiańskiego, parafiach prawosławnych, gminach wyznania augsburskiego, helweckiego i innych wspólnot protestanckich oraz w gminach żydowskich. Przyjmując za podstawę organizację struktur kościelnych, widzimy, że powstały one na obszarze dawnych diecezji lwowskiej, łucko-żytomierskiej, stanisławowskiej i przemyskiej (w jej części znajdującej się na Ukrainie), a pojedyncze metryki również w diecezjach wileńskiej i pińskiej. Najwięcej zachowanych w AGAD ksiąg metrykalnych pochodzi z południowo-wschodnich terenów II Rzeczypospolitej. Jest to materiał ukazujący mozaikę wielu narodów, religii i kultur, źródło do badań genealogicznych i demograficznych oraz świadectwo ścisłego związku akt metrykalnych z ludźmi, których dotyczą wpisy wnoszone do ksiąg. Ich losy splotły się podczas masowych przesiedleń ludności po zmianach gra-

nic w następstwie II wojny światowej. Za ludźmi podążały metryki. Niektóre księgi metrykalne rozpoczynają się wpisami pamiętającymi dawną Rzeczpospolitą. Niemal w komplecie przetrwały księgi prowadzone w parafiach w Żółtkwi (od 1604 r.) i Złoczowie (od 1606 r.). Na kartach tej ostatniej pod 1628 r. odnaleźć można zapis poświadczający chrzest Marka Sobieskiego (brata Jana). Znacznie młodsza jest informacja o chrzcie Wacława Seweryna Rzewuskiego (Emira) odbyty w katedrze lwowskiej w 1784 r. Większość ksiąg metrykalnych z pozostałych parafii rozpoczyna się jednak w czasach, gdy tereny te należały do Galicji. Ta peryferyjna prowincja monarchii habsburskiej była prawdziwym tygłem narodowościowym i religijnym. Jeszcze za czasów dawnej Rzeczypospolitej na Rusi Czerwonej żyli w zgodnym sąsiedztwie Polacy, Rusini, Żydzi i przedstawiciele wielu mniejszości. Po pierwszym rozbiore z terenów zagarniętych przez Austrię utworzono Królestwo Galicji i Lodomerii. Nazwa ta pochodziła od łacińskich określeń Halicza i Włodzimierz, odwołując się do odziedziczonych przez Habsburgów średniowiecznych roszczeń węgierskich do księstwa halicko-włodzimierskiego. Polacy dobrze zapamiętali rządy austriackie w Galicji, kojarząc je z autonomią i licznymi swobodami, w tym możliwością używania języka polskiego, rozwojem nauki, kultury i społeczeństwa obywatelskiego. Wolności te zostały jednak nadane dopiero po kryzysie monarchii i jej przekształceniu

w Austro-Węgry. Często zapominamy, że początkowy okres rządów austriackich – długi, bo trwający aż do połowy XIX w. – charakteryzował się silną germanizacją i represjami. Władze austriackie zwalczały polskość bezskutecznie, próbując zgermanizować Galicję. Zakładano osady, do których sprowadzano kolonistów niemieckich, a urzędy w miastach obsadzano pracownikami pochodzenia niemieckiego bądź czeskiego. W zamyśle mieli oni utworzyć nową elitę galicyjską i zastąpić stare elity polskie. Plany te spełzły jednak na niczym. Zniewolona Polska była wprawdzie pozbawiona własnego państwa, jednak jej kultura była tak silna i atrakcyjna, że w Galicji następował silny proces asymilacji przybyszów z głębi monarchii pochodzenia niemieckiego, czeskiego i węgierskiego. Specyfika kulturowa Galicji przyniosła jeszcze jedną niespodziankę. Atrakcyjność kultury polskiej sprawiła, że jej czarowi uległo również wielu miejscowych Żydów. Jest tu mowa o tej części społeczności żydowskiej, która asymilując się, wybierała polskość i język polski zamiast języka niemieckiego, który był przyjmowany przez Żydów asymilujących się w innych państwach. Spektakularnym przykładem polonizacji był Aleksander Brückner, urodzony w 1856 r. w Tarnopolu. Jego fascynacja polskością znalazła wyraz w erudycyjnych „Dziejach kultury polskiej”. Polonizacji często sprzyjało zawieranie małżeństw mieszanych. W rodzinie takiej w 1818 r. w Komarnie przyszedł na świat wybitny historyk Karol

Manuscript of a letter or document, likely related to the wedding of Władysław Semkowicz and Jadwiga Łozińska in 1895.

Manuscript of a letter or document, likely related to the wedding of Władysław Semkowicz and Jadwiga Łozińska in 1895.

ślubu czytamy, że w 1895 r. poślubił pochodzącą z Łatyczowa na Podolu Jadwigę Liske z domu Starorypińską, wdowę po innym wybitnym historyku Franciszku Ksawerym Lisce (zm. 1891 r.), twórcy „Kwartalnika Historycznego” i dyrektorsze Archiwum Krajowego Aktów Grodzkich i Ziemijskich, mieszczącego się w byłym

List Marii Konopnickiej do Andrzeja Niemojewskiego, 1905 r.

Szajnocha, syn zniemczonego Czecha Wacława Schejnoha-Vtelenskigo i Marii z Łozińskich. Czeskie korzenie mieli również Leopold Staff (1878), syn lwowskiego cukiernika Franciszka i Leopoldyny z domu Fusscherz, oraz Wilam Horzyca (1889), syn kancelisty Wilhelma Hořitzky i Józefy z Eisnerów. Wybitną postacią związaną z Drohobyczem był urodzony w zasymilowanej rodzinie żydowskiej Bruno Schulz (1892–1942), autor „Sklepów cynamonowych” i „Sanatorium pod Klepsydrą” oraz wielu portretów i ilustracji. Z zasymilowanych rodzin żydowskich pochodzili również znani lwowianie: Marian Hemar (1901) i jego cioteczny brat Stanisław Lem (1921), Krystyna Feldman (1916) oraz matematyk i współtwórca amerykańskiej bomby jądrowej Stanisław Ulam (1909). Lwowskie korzenie miał wybitny historyk dziejów Żydów polskich, rabin Majer Bałaban (1877).

Przeglądając metryki zgromadzone w AGAD, spotykamy zapisy o jeszcze innych znanych postaciach związanych ze Lwowem. Niestety wymienić można tylko nielicznych: założyciela Biblioteki Baworowskich – Wiktora Baworowskiego (1826–1894), dyrektora Ossolineum i wydawcę źródeł z serii „Monumenta Poloniae Historica” Augusta Bielowskiego (zm. 1876 r.), dyrektora biblioteki uniwersyteckiej Aleksandra Semkowicza (1850–1923) i jego syna Władysława Semkowicza (1878), wybitnego historyka i edytora źródeł. We Lwowie urodził się również trener Kazimierz Górski (1921–2006), a z polskiej Błki Szlacheckiej pochodził Seweryn Uruski (1817), twórca 15-tomowego herbarza szlachty polskiej. Magiczny Lwów przyciągał Polaków z różnych stron kraju. Dopiero w 1857 r. we Lwowie na stałe za-

Libro de población de la villa de Lwów, 1895

N.º	Nombre	Edad	Sexo	Profesión	Religión	Notas
1	Władysław Semkowicz	...	...	...	...	...
2	Jadwiga Łozińska	...	...	...	...	...

Metryka ślubu Władysława i Jadwigi Łozińskich, 1895 r.

mieszkał Aleksander Fredro (1793), który jeszcze w 1839 r. otrzymał honorowe obywatelstwo tego miasta. U kresu życia do Lwowa zawitała Maria Konopnicka, gdzie zmarła (w 1910 r.) i została pochowana na Cmentarzu Łyczakowskim. Za zasługi dla Lwowa honorowe obywatelstwo miasta otrzymał znany historyk Władysław Łoziński (1843–1913), autor wyśmienitego „Prawem i lewem”, opisującego obyczaje szlacheckie na Rusi Czerwonej. W przechowywanej w AGAD metryce

klasztorze bernardynów we Lwowie. Obaj jej mężowie po śmierci spoczęli na lwowskiej nekropolii łyżczakowskiej. Co oczywiste, wybitni kresowiaczy byli związani również z innymi miejscowościami. Ze Stanisławowa pochodziła Barbara Ludwiżanka (1903), z Husiatyna administrator apostolski w Lubaczowie ks. prof. Marian Rechowicz (1910), z Buczacza tropiciel nazistowskich zbrodniarzy Szymon Wiesenthal (1908), a w Tarnopolu urodzili się Kazimierz Pużak (1883), gen. Franciszek Kleeberg (1888), arcybiskup lwowski Eugeniusz Baziak (1890) i ks. Alojzy Jougan (1855), autor nieocenionego „Słownika kościelnego łacińsko-polskiego”. Kresowiakom poświęcona została wydana niedawno przez AGAD książka „Biografie kresowe”. Więcej informacji o ich metrykach można uzyskać, odwiedzając poświęconą im stronę internetową Redite ad fontes – źródła wspólnej pamięci (www.agad.gov.pl/inwentarze/testy.html).



FOT. KAROL ŁOZIŃSKI

INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO – 100 LAT PAMIĘCI

W 2023 r. OBCHODZIMY 100-LECIE
ISTNIENIA JEDNEJ Z NAJWAŻNIEJSZYCH
INSTYTUCJI BADAWCZO-ARCHIWALNYCH
ODRODZONEJ POLSKI



**RAFAŁ
KIERZKOWSKI**

12 maja 2023 r. na Zamku Królewskim w Warszawie odbyła się uroczysta gala jubileuszu Instytutu Józefa Piłsudskiego, poprzedzona otwarciem na Krakowskim Przedmieściu tematycznej wystawy plenerowej. Jednym z organizatorów wydarzeń było Archiwum Akt Nowych. To właśnie w zasobie AAN znajdują się unikatowe archiwalne skarby zachowane z przedwojennych zbiorów Instytutu.

Po walce o wolność – walka o pamięć

Elity II RP związane z kręgiem marszałka Józefa Piłsudskiego, wywodzące się w większości z Legionów Polskich, doskonale zdawały sobie sprawę, jak ważne są badania historyczne i zachowanie świadectw minionych wydarzeń. Pokolenie, które wyrosło zarówno na pisanych ku pokrzepieniu serc dziełach Henryka Sienkiewicza czy Józefa Krászewskiego, jak i opracowaniach historyków, takich jak prof. Stanisław Tarnowski, prof. Jan Karol Kochanowski czy prof. August Sokołowski, doskonale zdawało sobie sprawę z wagi historiografii. Jeśli czyni przodków mogły inspirować pokolenie

Józefa Piłsudskiego i jego podkomendnych do skutecznej walki o odrodzenie Polski, to naturalnym obowiązkiem wobec potomnych było pozostawienie godnego opracowania również dorobku swojej generacji. Był to bowiem moment, kiedy historię mogli w pełni zastrzeżenie napisać faktyczni zwycięzcy.

Instytut badań najnowszej historii Polski, następnie Instytut Badań Najnowszej Historii Polski, po śmierci Marszałka przemianowany na Instytut Józefa Piłsudskiego Poświęcony Badaniu Najnowszej Historii Polski, zajmował się gromadzeniem i opracowywaniem


**ARCHIWA
PAŃSTWOWE**
ARCHIWUM AKT NOWYCH

świadectw polskich dążeń niepodległościowych od powstania styczniowego po odzyskanie niepodległości i walki w jej obronie.

Do grona czołowych postaci Instytutu należeli m.in. Aleksander Prystor, Michał Sokolnicki, Artur Śliwiński, Kazimierz Świtalski oraz sam

Józef Piłsudski. Ważną rolę odegrał płk dr Wacław Lipiński, który najpierw pełnił funkcję sekretarza wydawanego przez Instytut czasopisma „Niepodległość”, a w 1936 r. został jego dyrektorem.



Skarby zgromadzone, a potem zrabowane...

Do 1939 r. Instytut, wspierany przez Wojskowe Biuro Historyczne, zebrął poważne archiwum zawierające liczne świadectwa niepodległościowej działalności kilku pokoleń Polaków. Były to m.in. zbiory dotyczące takich organizacji jak PPS, POW, Organizacja Młodzieży Niepodległościowej „Zarzewie”, Drużyny Bartoszewskie, Polskie Drużyny Strzeleckie i Związek Strzelecki czy materiały dotyczące prowadzonej organicznej pracy u podstaw. Wyjątkowe skarby stanowiły nadsyłane przez uczestników wydarzeń dokumentacyjne świadectwa historii Legionów Polskich i walk w obronie niepodległości, od prostych notatek, których główną wartość stanowił kontekst ich powstania, np. w legionowych okopach, po spisywane na bieżąco

**Karta brygadiera Piłsudskiego
z podpisami oficerów Legionów
Polskich – pamiątka z okopów
na Wołyniu**





Odpis aktu chrztu Józefa Klemensa Piłsudskiego

obszerne wspomnienia o bezcennej wartości źródłowej.

W trakcie obrony Warszawy w 1939 r. pracownicy Instytutu zabezpieczyli zbiory przed zniszczeniem w piwnicach Belwederu. Niemcy interesowali się polskimi archiwaliami już od początku okupacji. Podobnie jak zbiory Archiwum Akt Nowych, tak i materiały Instytutu zostały przez Niemców poddane konfiskacie i selekcji. Te, które najbardziej ich interesowały, zostały wywiezione do Gdańska-Oliwy. Po zajęciu w 1945 r. tych terenów przez Armię Czerwoną nie zostały one zwrócone Polsce, lecz zabrane do Moskwy. Dopiero w 1992 r. dzięki działaniom dyplomatycznym udało się odzyskać z Rosji fragment przedwojennego zasobu, który podobnie jak ocalała w kraju część zbiorów znajduje się w zasobie Archiwum Akt Nowych.

Relikwie polskiej historii

Wśród zachowanych materiałów o szczególnej wartości należy wymienić oryginały szykowanych przez Naczelnika Państwa przemówień w polskim parla-

Rękopis „Piosnki o Komendancie” Artura Oppmana



mentcie, z własnoręcznie naniesionymi przez niego poprawkami.

Wyjątkowym skarbem jest również karta wizytowa brygadiera Piłsudskiego. 20 listopada 1915 r. w okopach na Wołyniu Artur Sławiński, przybyły

do Komendanta w celu omówienia spraw politycznych, został zaproszony na skromne przyjęcie zorganizowane w okopach przez ppłk. Bolesława Roję na cześć swego dowódcy. Sławiński puścił wówczas tę kartę w obieg, a obecni oficerowie złożyli na niej swe podpisy. Dzięki przechowaniu jej, a następnie przekazaniu do



Rozkład jazdy pociągu Naczelnika Państwa

zbiorów Instytutu do naszych czasów zachowała się unikatowa pamiątka jednej z legionowych okopowych nocy.

Nie zabrakło również materiałów biograficznych Marszałka, pośród których wybija się sporządzony w 1927 r. odpis aktu chrztu Józefa Klemensa Piłsudskiego. Zachwył budzi też rękopis „Piosnki o Komendancie” autorstwa Artura Oppmana, poety, pisarza, warszawianisty i żarliwego patrioty. Do naszych czasów zachował się nawet „Rozkład jazdy pociągu Naczelnika Państwa” z 1920 roku z kursów między Wilnem a Mołodecznem. Zbiór zawiera też bogatą dokumentację zdjęciową z uroczystości pogrzebowych Józefa Piłsudskiego, budzących do dziś wrażenie swym ogromem i powagą.

Z punktu widzenia historii bez wątpienia najważniejszym z dokumentów jest uwierzytelniona kopia rozkazu Rady Regencyjnej o „przekazaniu władzy wojskowej i naczelnego dowództwa Brygadjerowi Józefowi Piłsudskiemu” z 11 listopada 1918 r. Kopia ta została sporządzona w 1937 r. przez dyrektora Muzeum Józefa Piłsudskiego w Belwederze ppłk. Adama Borkiewicza. Dokument ten, na który zwróciła podczas kwerendy uwagę, wydobywając go na światło dzienne, kierownik Oddziału V



Kopia uwierzytelniona rozkazu Rady Regencyjnej przekazania władzy wojskowej Józefowi Piłsudskiemu z 11 listopada 1918 r.

AAN Agnieszka Wopińska, pozostaje wyjątkowo ważnym świadectwem związanym z jakże dla Polaków ważną datą – 11 listopada.

Po raz kolejny okazuje się, że dorobek II RP był na tyle wielki, że mimo zniszczeń i rabunków z samych okrucich dawnych zespołów można przygotować prawdziwą historiograficzno-archiwalną ucztę. I to ucztę dostępną dla każdego badacza i pasjonata w Czytelnicy Archiwum Akt Nowych.

Tradycje i misję Instytutu kontynuowały działające do dziś na emigracji Instytuty Józefa Piłsudskiego w Ameryce i Londynie. Po przemianach ustrojowych, na bazie Towarzystwa Przyjaciół Instytutów Józefa Piłsudskiego Zagranicą, Instytut został odtworzony również w Warszawie.

Zyczymy kolejnych 100 lat działań!



Uroczystości pogrzebowe Józefa Piłsudskiego

PRZEGRANY WIZJONER

**HENRYK
LITWIN**

Hetman kozacki Bohdan Chmielnicki 18 kwietnia 1657 r. podpisał list do króla Jana Kazimierza. Ostrożnie badał w nim możliwość powrotu na łono Rzeczypospolitej Kozaków, których trzy lata wcześniej w ramach ugody perejśławskiej podporządkował carowi moskiewskiemu. Dziękował za wystanie do Czehrynia poselstwa Stanisława Kazimierza Bieniewskiego, pozytywnie oceniał działania królewskiego wysłannika i wyrażał satysfakcję, „że nie przez inszego będzie ten akt [przyszłego porozumienia z Rzeczpospolitą – przyp. red.], jeśliby Bóg pozwolił, jeno przez niego terminowany”. Kim był człowiek, który zdołał zrealizować dyplomatyczną „mission impossible”?

Ekspert w sprawach ruskich

Bieniewski wywodził się z drobnoszlacheckiej rodziny z powiatu sochaczewskiego. Jak wielu Mazowszan, szczytających się herbowym pochodzeniem, ale ubogich, szukał fortuny na Wołyniu, służąc tamtejszym kniazom. Trafił nad Styr i Stochód w latach 30. XVII w. i związał się z rodem Zasławskich. W 1641 r. z nominacji kniazia Dominika, wówczas starosty łuckiego, został pisarzem grodzkim łuckim. Bieniewski wrósł w wołyńskie

**Hetman
Bohdan
Chmielnicki****Król Jan
Kazimierz**

**MISJA STANISŁAWA
KAZIMIERZA
BIENIEWSKIEGO ZDAWAŁA
SIĘ OTWIERAĆ DROGĘ DO
POROZUMIENIA, KTÓRE
JESZCZE KILKA MIESIĘCY
WCZEŚNIEJ, PO OŚMIU
LATACH KRWAWYCH
WALK, MOGŁO SIĘ
WYDAWAĆ CAŁKOWICIE
NIEOSIĄGALNE**

środowisko szlacheckie jako urzędnik i klient wpływowych potentatów. Przy okazji poznał i zaprzyjaźnił się z wieloma osobami, które w nieodległej przeszłości miały odegrać ważną rolę w relacjach między Kozakami a Rzeczpospolitą. Najważniejsze z tych kontaktów okazały się potem znajomości z dwoma innymi członkami łuckiej palestry w latach 40. XVII w. – Iwanem Wyhowskim i Pawłem Teterą.

W 1648 r., gdy wybuchło powstanie Chmielnickiego, Bieniewski znalazł się wśród setek szlacheckich „egzultów”, którzy zostali zmuszeni do ucieczki z ziem opływanych przez wojska kozacko-tatarskie. Wziął udział w elekcji Jana Kazimierza i pozostał przy dworze nowego monarchy, działając jako pracownik kancelarii koronnej. Doświadczenie

zdobyte na Wołyniu uczyniło go ekspertem do spraw ruskich. W 1650 r. został zaliczony do ekskluzywnego grona sekretarzy królewskich. Jednocześnie pozostawał w kręgu klientalnym Zasławskich, co otworzyło mu drogę do kilkukrotnego pełnienia funkcji wołyńskiego posła na sejm – w latach 1650, 1653, 1654 i 1655. Gra „na kilku fortepianach” umacniała pozycję społeczną pisarza grodzkiego łuckiego, co przyniosło mu awans na urząd ziemski, czyli nominację na klucznika łuckiego w 1655 r. Jednocześnie potwierdzone zostały jego kompetencje w sprawach kozackich wraz z dokonaniem przez sejm wyborem do składu komisji „do spraw uspokojenia Ukrainy”.

Misja

Na początku 1657 r. sytuacja Rzeczypospolitej była dramatyczna. Państwo znalazło się w obliczu najazdu wojsk koalicji szwedzko-siedmiogrodzko-kozackiej, który niósł za sobą śmiertelne zagrożenia. Na dworze Jana Kazimierza powstała wówczas koncepcja zawarcia porozumienia z Kozakami Chmielnickiego. Oceniano, że pozostawienie ich „pod wysoką carską ręką” i dotkliwe realia związane z moskiewską dominacją przyczyniły się do zmiany nastrojów i stosunku do Rzeczypospolitej. Jan Kazimierz postanowił wysłać do kozackiej stolicy Czehrynia poselstwo, którego głową miał być właśnie Bieniewski. Klucznik łucki podjął się trudnego zadania i po starannych przygotowaniach w marcu 1657 r. dotarł do Czehrynia. Pertraktacje były skomplikowane, bo kozackie elity musiały się liczyć ze sprzyjającymi Moskwie nastrojami „czerni”. Ostrożne działania Bieniewskiego przyniosły jednak efekty w postaci wspomnianego wyżej listu Chmielnickiego do króla. Bieniewski wrócił do Warszawy na krótko, ale już w czerwcu 1657 r. został ponownie wysłany do Czehrynia, by „pożądane zjednoczenie obwarować i przy wspólnej ojczyźnie potęgę wojska zaporoskiego z potęgą wojsk Rzeczypospolitej złączyć”. Dotarł na miejsce już jako senator, kasztelan łucki nominowany 17 lipca 1657 r., ale nie zdążył skontaktować się z Chmielnickim. Hetman kozacki zmarł 6 sierpnia 1657 r., a w swej ostatniej woli wyznaczył na następcę swego młodocianego syna Jura, oddając go pod opiekę Wyhowskiego. Ten ostatni zdołał uzyskać pozycję faktycznego hetmana przy nieletnim Chmiel-

nickim. Nie zerwał oficjalnie z Moskwą, ale zawarł z Bieniewskim umowę rozejmową, która zawieszła wszelkie kroki wojenne między Kozakami a Rzeczpospolitą. Kolejnym krokiem na drodze do porozumienia było poselstwo kozackie (z udziałem m.in. Tetery), które na początku 1658 r. przybyło do Warszawy. Ustalono warunki przyszłego układu. Sejm z 1658 r. zaakceptował ideę porozumienia z Kozakami i przyjął instrukcję dla kolejnej misji do Czehrynia. Miała ona charakter poselstwa Rzeczypospolitej. Koronę reprezentował w nim kasztelan łucki, Litwę – Kazimierz Ludwik Jewłaszewski, kasztelan smoleński. We wrześniu 1658 r. posłowie dotarli na Ukrainę.

JAN KAZIMIERZ POSTANOWIŁ WYŚLAĆ DO KOZACKIEJ STOLICY, CZEHRYNIA, POSELSTWO, KTÓREGO GŁOWĄ MIAŁ BYĆ WŁAŚNIE BIENIEWSKI

W 1658 r. wśród Kozaków panowały niejednolite nastroje. Wielu było zwolenników opcji sprowadzającej się do hasła „wolimy cara wschodniego, prawosławnego”. Wśród starszyny zdobył sobie jednak decydujący wpływ Wyhowski, zdecydowany na układ z Rzeczpospolitą, od której jego zdaniem skuteczniej można było wyegzekwować przestrzeganie „wolności kozackich”. Zadanie posłów państwa polsko-litewskiego było jednak trudne. Istotny wpływ na przebieg wypadków miała mowa Bieniewskiego wygłoszona na radzie kozackiej w Hadziaczu. Kasztelan łucki umiejętnie skupił się na przedstawieniu zagrożeń związanych z moskiewską dominacją: „Wszystkie dochody car bierze dla siebie, nie pozwala biednemu Kozakowi pić gorzałki, miodu ani piwa. Każe wam nosić moskiewskie kozuchy i łapcie, starożytne obyczaje chce gubić i zaledwie

was za ludzi uważa, radby wam języki podcinać, abyście nie mówili, i oczy powykłuć abyście się nie dziwili i dzierży was, dopóki nas Polaków krwią waszą nie zawojuje, a potem was za Białe jezioro przeniesie, a Ukrainę zasiedli swymi moskiewskimi chłopami”. Zgrabnie odwołał się też do argumentów wyznaniowych: „Co zachęciło lud ruski do Moskwy? Wiara? Ale Moskal ma odmienną i tę gwałci i tak wierzy jak car rozkaże. [...] Wy duchowieństwo szanujecie z oddzielną jurysdykcją dla kościoła, a car świecki potentat duchowieństwem według swej woli kieruje, metropolitów zrzuca i osadza [...] dochody kościelne zabiera”.

Ugoda hadziacka

Po przemówieniu Bieniewskiego nastąpiły pochwalne reakcje starszyny kozackiej: „Harazd howoryt”, z nimbem oratora. W efekcie ugoda została zawarta. Kozaczyna wracała na łono Rzeczypospolitej. Istnieje kilka zapisów tekstu paktów hadziackich. Największe znaczenie mają dwie wersje. Pierwotna, z podpisem m.in. Wyhowskiego, odzwierciedlająca wynegocjowane w Hadziaczu porozumienie – rzecz by można – ostateczna, ratyfikowana i zapisana w konstytucjach sejmu 1659 r. Pierwsza z nich zawierała ustalenia dotyczące powołania do życia Księstwa Ruskiego, co można było interpretować w kategoriach ustanowienia Rzeczypospolitej Trojga Narodów. Wpływ Bieniewskiego (i Jewłaszewskiego, reprezentanta Litwy) na sformułowanie tego tekstu był zapewne duży. Dokument ustanawiający trójstronną unię był w wielu miejscach niedopracowany i nie rozwiązywał wielu ustrojowych problemów. W niewielkim stopniu naśladował on akt unii lubelskiej, tworzącej wspólny organizm państwowy przy zachowaniu odrębności dwóch podmiotów równej federacji. Nie zostało zdecydowane, w jaki sposób umieścić w tym układzie m.in. szlachtę ruską, system sejmikowy, sądy ziemskie i grodzkie. Było to rozwiązanie częściowe, stanowiące raczej generalnie zarysowaną ideę niż akt o charakterze konstytucyjnym. Słabość dokumentu polegała także na tym, że pomieszano w nim ustalenia dotyczące Księstwa Ruskiego i całej Rzeczypospolitej. Łyżką dziegciu w beczce miodu okazało się ustalenie o likwidacji Kościoła unickiego w całym państwie polsko-litewskim. Trudno interpretować je inaczej niż jak fundamentalny błąd >>

» Bieniewskiego i Jewłaszewskiego, którzy powinni zdawać sobie sprawę z nieosiągalności realizacji tego postulatu. Cerkiew greckokatolicka stanowiła w tym czasie znaczącą społeczność, zdolną do konstruowania silnego politycznego oporu wobec zamysłów likwidacyjnych. I opór ów zaistniał przy poparciu Stolicy Apostolskiej, znacznej części episkopatu rzymsko-katolickiego, szlachty unickiej i części „rzymskiej”. W efekcie ustalenia z Hadziacza zostały okrojone i ostateczny kształt „unii” ratyfikowanej przez sejm 1659 r. przypominał raczej wcześniejsze ugody z „wojskiem zaporoskim” – zborowską, zwaniecką i białocerkiewską – niż

W 1660 r. wybuchła kolejna wojna, w czasie której wojska Rzeczypospolitej walczyły z koalicją moskiewsko-kozacką. Państwo polsko-litewskie odniosło sukces militarny na skutek zwycięskich bitew wojsk koronnych z armią kozacką pod Słobodyszczami i carską pod Cudnowem. Pokonany militarnie młody Chmielnicki chciał wrócić do ustaleń hadziackich, ale zwycięscy Koroniarze nie byli gotowi do takich ustępstw. Przy udziale Bieniewskiego zawarto ugodę, na mocy której Kozacyzna wracała pod jurysdykcję Rzeczypospolitej, ale o Księstwie Ruskim nie było w niej ani wzmianki. Umowa cudnowska nie przetrwała próby czasu i –

garnizonu carskiego w Kijowie. Bieniewski był świadom faktu, że jego ojczyzna znalazła się w niekorzystnej sytuacji wobec wzrastającego w siłę i agresywnego sąsiada. Dobrze znał Moskwę i w swoich relacjach rozwiewał złudzenia dworu królewskiego co do istotnych i długofalowych wyznaczników carskiej polityki. „Do upadku Rzeczypospolitej wszystkie swoje intentiones zaciąga, nie tylko ob metum (ze strachu), aby mu aliquando (czasami) nie wydarto cum fenere (pieniężmi), co iniuriōse possedit (bezprawnie posiada), ale też aby securius (bezpieczniej) Ukrainę i Ruś oderwać mógł”. Podkreślał również trwałość i intensywność wrogości Moskwy wobec religii katolickiej. „Sam tam przypatrywałem się [...] że nad wszystkie pogany graviori odio persecuntur Romanos (największą nienawiścią prześladowają rzymskich [katolików]). Po takim tedy chrześcijaninie quid speram boni? (na co dobrego mieć nadzieję) – nie widzę”. Realistycznie oceniając proporcje sił, pozostawał jednak zwolennikiem pokojowej polityki wobec Moskwy i zgodnie z tym założeniem doprowadził do utrwalenia rozejmu andruszowskiego.

Wojewoda czernihowski stał się w latach 60. XVII w. bardzo wpływowym senatorem i cenionym w społeczeństwie szlacheckim autorytetem. Na sejmie koronacyjnym 1669 r. wygłosił mowę, która rozślawiła go jako wielkiego oratora i męża stanu. Zawarł w niej pouczenia „jak Pan dobry ma rządzić w tym królestwie”. Była ona pochwałą „wolności szlacheckich” i republikańskiego ustroju państwa. W czasie elekcji po śmierci Michała Korybuta Wiśniowieckiego poparł kandydaturę Jana Sobieskiego i przyczynił się do jego wyboru. Pozostał w kręgu prominentnych senatorów w pierwszym okresie panowania Jana III. Zmarł na początku 1680 r. otoczony sławą „wielkiego statysty”.

Stanisław Kazimierz Bieniewski przeszedł do historii jako polityk-wizjoner, który był rzecznikiem strategicznego porozumienia z Kozacyzną, a ujmując rzecz w kategoriach geopolitycznych – z Ukrainą. Zdawał sobie sprawę, że słabnąca pozycja podmiotów tego kontraktu stanowi dostatecznie silny argument, by szukać porozumienia w imię obrony przed agresywnym graczem realizującym politykę imperialną. Nie znalazł jednak dostatecznego poparcia po żadnej z zainteresowanych stron.



„Obóz Zaporozców”, Józef Brandt, ok. 1880 r.

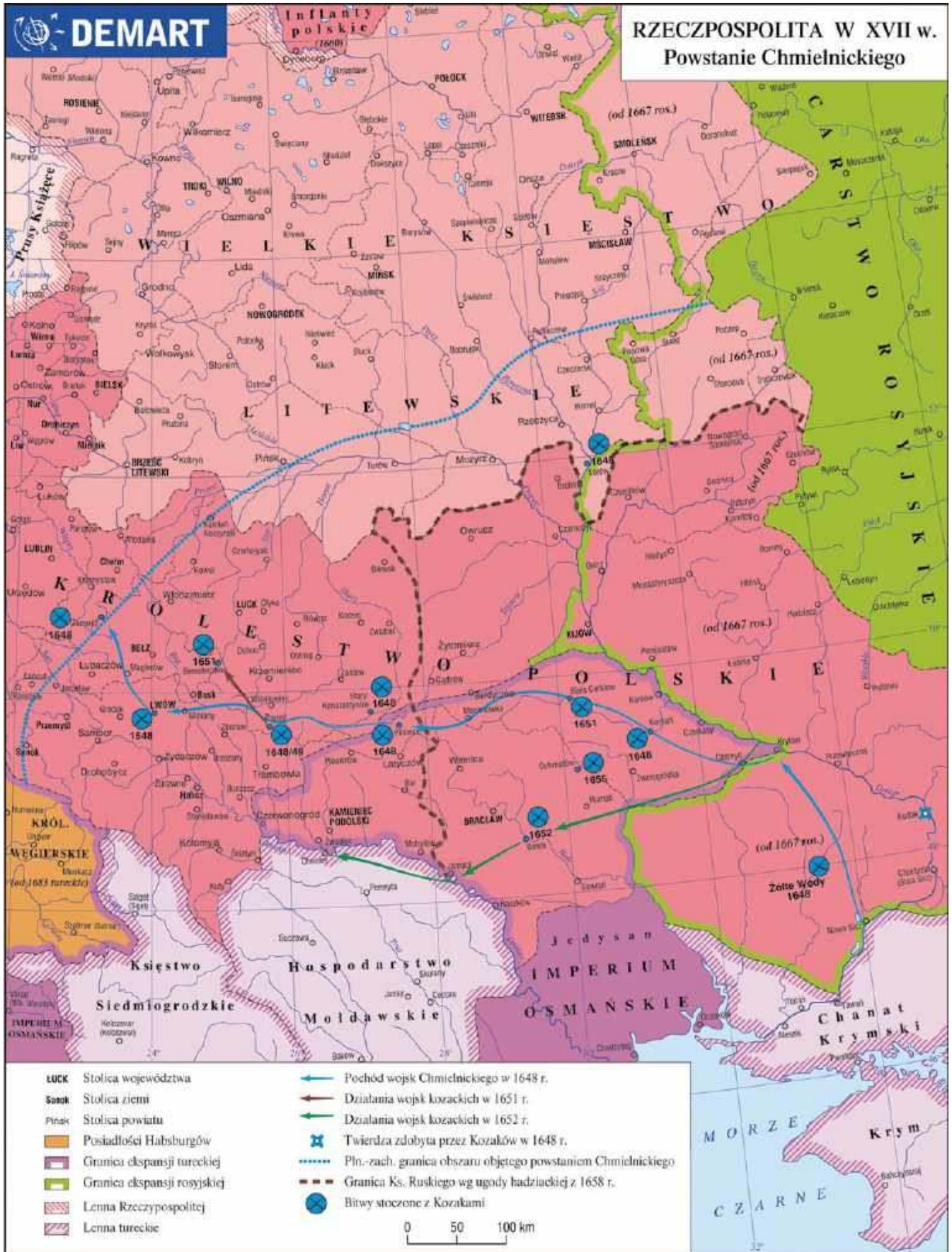
FOT. WILCZYŃSKI KRZYSZTOF/MUZEUUM NARODOWE W WARSZAWIE

traktat federacyjny. Ta wersja nie zadawała Kozacyzny i nie rozwiązywała problemów związanych z jej podmiotowymi ambicjami. Z kolei dla znacznej części społeczeństwa szlacheckiego stanowiła i tak zbyt daleko idące ustępstwo, wymuszone doraźną koniecznością, uwzględniającą dramatyczną sytuację państwa zagrożonego trwającą agresją szwedzką i chwilowo jedynie „zamrożoną” moskiewską. Idea Księstwa Ruskiego miała – jak się okazało – zbyt mało zwolenników po obu stronach. Bieniewski lojalnie usiłował „ratować” hadziacką wersję ustaleń, ale nie uzyskał dostatecznego poparcia. Rezultat był dalece rozczarowujący. Po stronie kozackiej nastąpiła reakcja, w efekcie której Wyhowski został zrzucony z urzędu hetmańskiego, a powołany na jego miejsce Jur Chmielnicki odnowił umowę perejaśławską z Moskwą i to na gorszych warunkach niż osiągnięte przez jego ojca.

jak trafnie określił to po wiekach Henryk Sienkiewicz – znowu „nienawiść zatrąła krew pobratymczą”. Kozacy z lewobrzeżnej Ukrainy pozostali w kręgu oddziaływania Moskwy. „Prawy brzeg” pod wodzą kolejnego hetmana, Petra Doroszenki, postawił na sojusz z Turcją.

Dyplomata wobec Moskwy

Bieniewski w 1660 r. zyskał awans na wojewodę czernihowski i z tym urzędem brał aktywny udział w działaniach dyplomatycznych Rzeczypospolitej w stosunku do Moskwy. Jego znaczącym osiągnięciem było poselstwo do Moskwy w 1667 r., kiedy uzyskał potwierdzenie przez cara Aleksego rozejmowego traktatu w Andruszowie, który kończył wojnę z Moskwą niestety na niezbyt korzystnych warunkach – ze zgodą Rzeczypospolitej na trwałą utratę Smoleńska i Zadnieprza oraz czasową obecność



JAZDA KOZACKA LUBO TEŻ PANCERNI

RZECZ O NAJBARDZIEJ UNIWERSALNEJ
JEŹDZIE DOBY STAROPOLSKIEJ

„Towarzysz pancerny”,
Józef Brandt, opracowanie
opisów B. Starękowski

- 1 Misiurka
- 2 Płaszcz Kopieniak
- 3 Ryngraf i ładunkarz
- 4 Karwasze
- 5 Tarcza Kałkan
- 6 Szabla
(prawdopodobnie kilidż)
- 7 Granatowy żupan
- 8 Buty z cholewą
- 9 Pistolet w olstrze
- 10 Kolczuga
- 11 Nadziak



POLSKIE FORMACJE KAWALERYJSKIE ZACIĄGU NARODOWEGO STANOWIĄ PO DZIŚ DZIEŃ DOSKONAŁĄ WIZYTÓWKĘ STAROPOLSKIEJ SZTUKI WOJENNEJ. OCZYWIŚCIE PRYM WIEDZIE W TYM SŁYNNNA HUSARIA, ALE NIE MOŻNA RÓWNIEŻ ZAPOMINAĆ O INNYCH FORMACJACH, JAK JAZDA KOZACKA, ZWANA PÓŹNIEJ PANCERNYMI



**BARTOSZ
STARĘKOWSKI**

Początków tej formacji można by doszukiwać się wśród oddziałów istniejących na przełomie XV i XVI w. Mamy wówczas tylko dwa typy jazdy: ciężką i lekką. Do tej pierwszej zaliczali się ciężkozbrojni kopijnicy-rycerze, których w przyszłości zastąpiła husaria. Do drugiej kategorii zaliczano strzelców konnych. Za upatrywaniem w nich protoplastów późniejszej jazdy pancerniej można uznać podobny rodzaj uzbrojenia, zadania wypełniane na polu bitwy czy też określenie „equi sagittari”, którym określano strzelców konnych, a później przez pewien czas również jazdę kozacką. Jako uzbrojenie ochronne strzelcy konni nosili napierśniki, rzadko pełny kirys, a czasem w ramach oszczędności dysponowali jedynie kolczugą lub koszulką kolczą. Ich głowę ochraniał hełm w postaci łebki lub kapalina, ale z czasem upowszechnił się bardziej wygodny kaptur kolczy. Podstawowym uzbrojeniem bojowym był samostrzał, czyli kusza, korzystali również z mieczy, a później szabli. W czasie bitwy, ustawieni na skrzydłach ciężkozbrojnych kopijników, razili nieprzyjaciela z broni strzeleckiej, by przerzedzić jego szeregi i osłabić przed szarżą swoich ciężko opancerzonych współtowarzyszy. Oprócz tego zapewniali osłonę podczas odwrotu oraz wykorzystywano ich do przeprowadzania zwiadu i zaplanowanych prowokacji.

Poza strzelcami konnymi inną formacją jezdnią, z której mogli brać wzorce pancerni, była lekka jazda litewska. Uzbrojona we włócznie, miecze i łuki oraz zbroje skórzaną i rzadziej kolczugi, bardzo przypominała to, co znamy z opisów późniejszej jazdy kozackiej. Jej siła

uderzeniowa nie dorównywała co prawda kopijnikom czy husarzom, jednakże braki te nadrobiła szybkością i elastycznością działań. Była to choćby zdolność atakowania w niemal każdych warunkach terenowych, przenikanie na obszary przeciwnika przez trudno dostępne tereny, organizowanie skutecznych zagonów i podjazdów oraz wyjątkowa skuteczność w zwalczaniu zagonów tatarskich. Oprócz tego krążyła o niej opinia jako o tej, która nie schodzi z pola bitwy ani się nie cofa.

Wraz z początkiem XVI w. rozpoczął się powolny proces redukcji uzbrojenia ochronnego i dostosowywania nowych środków walki do zmieniającego się otoczenia oraz reagowania na zagrożenia. To drugie niewątpliwie stanowili Tatarzy, którzy organizowali łupieżcze najazdy na południowo-wschodnie terytoria Rzeczypospolitej. Dlatego też polskie formacje zbrojne przeszły pewną niezbędną modernizację. Husaria przez chwilę stanowiła jazdę średnią, by następnie zastąpić ciężkozbrojnych kopijników. Jazdę lekką stanowili kozacy, by następnie, po wyodrębnieniu się lekkich znaków, stać się jazdą średnią.

Jazda kozacka w strukturach armii państwa polsko-litewskiego

Zwalczanie zagrożenia tatarskiego wymogło zmiany w rotach konnych strzelców. Kusze coraz powszechniej zaczął zastępować łuk jako szybszy i bardziej skuteczny. Napierśniki oraz hełmy zaczęły zniknąć na rzecz powszechnego użycia kolczug i kapturów kolczych. Coraz częściej na wyposażeniu lekkiej jazdy pojawiała się również broń drzewcowa w postaci włóczni i rohatyny. Procesy, które zachodziły, nie wyeliminowały całkowicie z armii konnych strzelców na rzecz jazdy kozackiej. Był okres, kiedy obie formacje istniały równocześnie, jednakże ich zadania i uzbrojenie było coraz bardziej analogiczne, wobec czego

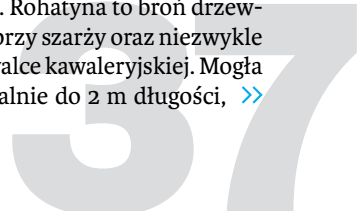
jazda kozacka coraz częściej zastępowała konnych strzelców aż do ostatecznego wchłonięcia strzelców w jej szeregi.

Wzmianki o pierwszych rotach pojawiają się w rachunkach sejmowych w latach 1563, 1564 i 1565. Jednymi z pierwszych były te dowodzone przez Bernarda Pretwicza, wysmienitego zagończyka i reformatora obrony potocznej, czyli stałej formacji zbrojnej utworzonej do obrony południowo-wschodnich kresów.

Warto zauważyć, że w XVI w., a nawet i w XVII w. określeniem „jazda kozacka” opisywano dość szeroką grupę jeźdźców. Klasyk polskiej historii wojskowości Konstantyn Górski podzielił kozaków na dwa typy: lekki Czemerysów, uzbrojonych w rohatyny i pancerze, oraz ciężiej opancerzonych kozaków właściwych. Chorągwie Lipkowskie również określano mianem Czemerysów, o czym pisze Jan Florian Drobysz-Tuszyński: „[...] na ten czas zaś siła Tatarów koło Korca mieszkało, to jest Lipków alias Czemerysów, którzy pod chorągwiami [...] służyli [...]”. Widać zatem, że w pewnym momencie istniało sporo formacji wojskowych mających podobne uzbrojenie i spełniających podobne zadania, więc nieprecyzyjne nazewnictwo nie powinno budzić zdziwienia. Na dodatek w Wielkim Księstwie Litewskim kozacy alias pancerni doczekali się własnej nazwy, czyli petyhorców. Co do samej zmiany nazwy z kozaków na pancernych, dokonała się ona w połowie XVII w. Najprawdopodobniej było to związane z chęcią odróżnienia formacji wojskowej od Kozaków zaporoskich, których rebelia rozpoczęła się w 1648 r.

Mobilna platforma uzbrojenia

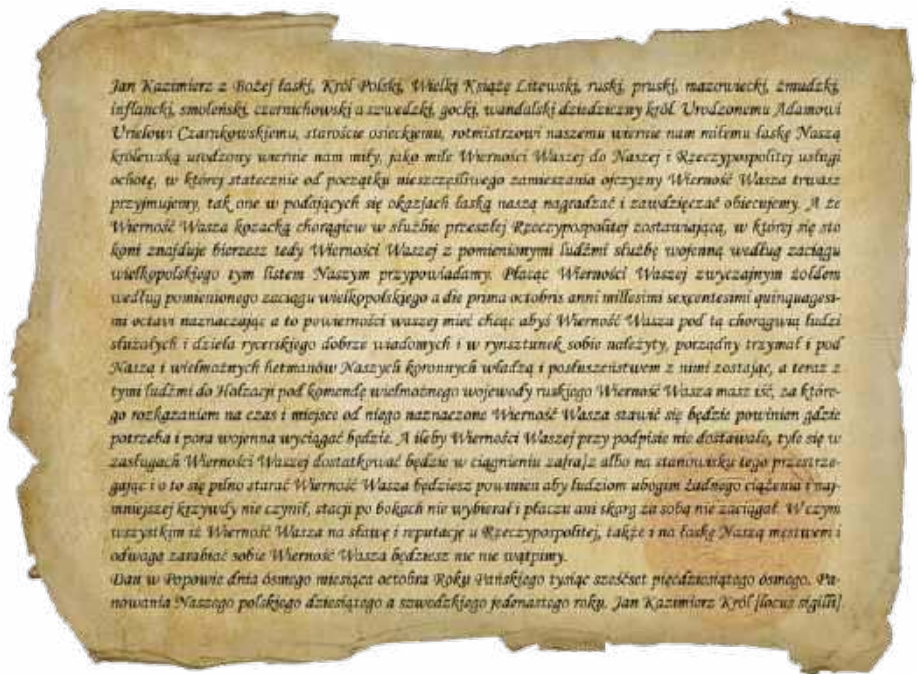
Skoro już o uzbrojeniu mowa, należy zauważyć, że jazda pancerna miała go zdecydowanie pod dostatkiem, najbardziej charakterystyczne to rohatyny i łuk z sahadakiem. Rohatyna to broń drzewcowa, istotna przy szarży oraz niezwykle użyteczna w walce kawaleryjskiej. Mogła mieć maksymalnie do 2 m długości, >>



>> z charakterystycznym grotem, często z kołcem tworzącym hak. Swoją popularność zdobyła jako broń myśliwska oraz na wyposażeniu rot strzelczych i konnych. Andrzej Maksymilian Fredro napisał o niej: „Trzeba przytem, aby w pierwszym szeregu pod kozackimi chorągiewami z długimi rohatynami siadano; bo rohatyny [...] miasto kopii można zażyć do potrzeby [...] bo dla lekkości tam i ówdzie łatwo się z nią obrócić [...]”. Przyjmuje się, że stanowiła praworzec dla lancy, którą zaadaptowały na swoje uzbrojenie formacje kawaleryjskie innych krajów.

O łuku z sahadakiem Jędrzej Kito-wicz napisał: „[...] pancerny włożył... do boku lewego ze strzałami rozmaicie pofarbowany sajdak [...] Towarzystwo [...] pancerne [...] używali na podjazdach przeciw hajdamakom strzał, iż naprzód strzała cicho raziła albo i na śmierć zabijała hajdamakę, bez wydania rażącego, w jakim dole lub chwaście ukrytego [...]”. Łuk refleksyjny był bronią zdecydowanie szybszą w obsłudze niż broń palna, toteż w przypadku szybkich działań czy walki z Tatarami sprawdzał się zdecydowanie skuteczniej. Ponadto łuk można było wykorzystać do manewru zwanego „tatarskim tańcem”, polegającego na dopadaniu raz po raz pod zastępy wroga, zasypywaniu go strzałami, a następnie wycofaniu, tworząc tym samym dogodnie pole dla szarży husarskiej. Łuk znajdował się na uzbrojeniu wspólnie z sahadakiem, czyli futerałem na przybory łucznicze, składającym się z łubia, czyli futerału na łuk, oraz kołczanu na strzały.

Poza wymienioną bronią na wyposażeniu zaczepnym znajdowały się również pistolety w olstrach, bandolety, rzadziej arkebuzi, szable różnego rodzaju, a wśród oficerów również koncerze, czyli broń kolna z rękojeścią przypominającą tę od szabli, charakteryzującą się długą głownią służącą do przebijania pancerza. Koncerza używano jako zamiennika broni drzewcowej. O ile w przypadku kopii husarskiej, która pękała po uderzeniu, koncerz stanowił element niezbędny, by ją zastąpić, o tyle w przypadku pancernych wyposażonych w trwałą broń drzewcową nie było takiej potrzeby. Stosowanie go zależało od preferencji użytkownika. Dodatkowo bogato zdobione pochwy koncerzy podkreślały zamożność i splendor noszącego. Była jeszcze jedna broń, a mianowicie nadziak – broń obuchowa, która z jednej strony posiadała kolec do przebijania pance-



rza, a z drugiej młot. Nadziak był też oznaką porucznika jazdy autoramentu narodowego.

W przypadku uzbrojenia ochronnego mamy kałkan i misiurkę. Kałkan to nie-duża, wypukła tarcza wykonana z koncentrycznie ułożonych prętów figowych w połączeniu z niemi wełnianymi lub jedwabnymi. Na środku znajdowało się metalowe umbo wzmacniające konstrukcję tarczy. Wykorzystania tarczy raczej nie trzeba nikomu tłumaczyć, wypada jednak wspomnieć, że w czasie walki noszono ją na plecach, by zabezpieczyć się przed atakiem z tej strony.

Misiurka to charakterystyczne ochronne nakrycie głowy, składające się z płaskiego dzwonu zwanego denkiem, do którego doczepiony był czepiec kolczy. Miała ona otwarty charakter, gdyż czepiec okrywał tylko kark i ramiona oraz czoło i uszy, a także nie ograniczała pola widzenia jeźdźcy. To kolejne dwa elementy wyróżniające pancernych spośród innych formacji kawaleryjskich.

Sama nazwa „pancerni” pochodziła od pancerzy, które zakładali na siebie jeźdźcy. Była to najczęściej kolczuga, ale zdarzały się przypadki, iż w jeździe kozackiej używano brygantyny. Była to zbroja skórzana, podbijana od wewnątrz metalowymi płytkami. Brygantyny występowały w jeździe kozackiej rzadziej niż kolczugi i to raczej we wcześniejszych okresach ich funkcjonowania. Ręce żołnierza ochraniały karwasze i skórzane rękawice. Oprócz tego pozostałe elementy ubioru pancernego to granatowy żupan,

spodnie szarawary, wysokie, jasne buty z cholewą oraz płaszcz zwany kopieniem. Często na wyposażeniu znajdowała się też ładownica zwana ładunkarzem.

Rynsztunek pancernych był bogaty i różnorodny, a przy tym uniwersalny, umożliwiając odnalezienie się w różnych sytuacjach podczas walki.

Zadania taktyczne i operacyjne

Podobnie jak w przypadku uzbrojenia, tak i w zakresie zadań operacyjnych oraz taktycznych pancerni mieli się czym pochwalić. Do ich podstawowych zadań należały zwiad i rozpoznanie terenu. Organizowanie podjazdów czy zagonów to w dużym zakresie ich domena. Najwybitniejsi zagonczycy w osobach Marka Gdeszyńskiego, Krzysztofa Koryckiego, Jerzego Bałabana, Aleksandra Cetnera czy Jacka Szemberka byli rotmistrzami chorągwi kozackich/pancernych. Choćby Gdeszyński na czele swojej chorągwi przeprowadzał zwiad przed bitwą korsuńską, obserwując ruchy armii kozacko-tatarskiej w rejonie Taśmina. Dowodził też jedną z grup rozpoznawczych przed bitwą pod Zborowem. Grupy te prowadziła również Krzysztof Korycki, Stanisław Suchodolski i Stanisław Górski. Inną relację na temat działań zwiadowczych poznajemy z diariusza Albrychta Radziwiłła, kiedy to w 1634 r. wysłano rtm. Smolskiego na podjazd pod wojska rosyjskie: „Po onegdajszej utarczce hetman lit. widząc, że Moskale zwyczaju wojowania nie odmieniają, i że ich z obozu na

plac nie wywabi, umyślił ich ustawicznymi ekskursjami niepokoić; przeto 4go stycznia, wysłał rotmistrza kozackiego, Smolskiego, aby na nich napadłszy, przestraszył ich, i oraz aby się dowiedział, jeżeli owa warownia, która dla znoszenia dREW nieprzyjacieli był zbudował, jest opuszczona". Smolski przeprowadził udany rekonesans i przyniósł informacje o stanie obrony i liczebności straży moskiewskiej.

Oprócz działań zwiadowczych pancerni często stanowili ochronę konwojów i przemarszów wojskowych. W trakcie bitwy pod Zborowem zajmowali się ochroną taboru królewskiego. Rok wcześniej w czasie starcia pod Korsuniem do zadań strażnika wojskowego Stanisława Marusza Jaskólskiego należała ochrona przemarszu taboru. Zadbać miała o to jego 60-konna chorągiew kozacka. Oprócz ochrony taborów pancerni pełnili też rolę straży osobistej konkretnych osób. Piotr Potocki wraz ze swoją chorągwią kozacką stanowili taką gwardię hetmana wielkiego koronnego Mikołaja Potockiego. W czasie zborowskich negocjacji z Chanem tatarskim pancerni byli obecni również jako ochrona kanclerza wielkiego koronnego Jerzego Ossolińskiego. Pancerni czy też petyhorcy dbali o bezpieczeństwo poselstw lub ważnych uroczystości państwowych z udziałem głowy państwa.

Jazda tej formacji była bardzo popularna wśród wojsk powiatowych, czyli formacji zbrojnej zaciąganej przez samorząd szlachecki. Żołnierz powiatowy oprócz wsparcia armii państwowej stanowił obrońcę najbliższego terytorium. W ramach systemu obrony domowej ta formacja wojskowa była zaciągana bardzo często.

Na polu bitwy kozacy alias pancerni stanowili zarówno bezpośrednie wsparcie dla szarży husarskiej, kiedy walczyli w hufie zwanym „posiłkowym”, jak i pośrednie, czyli poprzez ostrzał wroga. Przygotowywali tym samym dogodnie pole do przeprowadzenia rozstrzygającego natarcia. Czasem też odwracali uwagę nieprzyjaciela i wiązali go walką. Taki manewr zastosowali hetmani Jan Zamojski i Stanisław Koniecpolski pod Buczyną i Trzycianą. W obu przypadkach jazda kozacka odciągnęła uwagę wroga i związała go walką, by husaria mogła przeprowadzić właściwe natarcie. Pancerni mogli również ubezpieczać wycofujących się bądź przejmować cię-

żar natarcia, w momencie gdy husaria przegrupowywała się i szykowała do kolejnej szarży. Widzimy zatem mnogość i uniwersalność podejmowanych działań operacyjnych i dużą skuteczność zarówno podczas działań zbrojnych, jak oraz samych bitew.

Służba w „pancernych” znakach

Przez służbę w jeździe pancerniej przejawiało się wielu żołnierzy różnego pochodzenia. Służyli tu magnaci, szlachta średnia, uboga, a nawet osoby pochodzenia plebejskiego (w XVIII w. było to zjawisko powszechne). Tak czy inaczej, dla szlachty służącej konno była to doskonała szkoła wojskowa. Dzięki nabraniu doświadczenia w średnich znakach można było następnie rozpocząć służbę w elitarnej husarii. Magnateria bardzo często utrzymywała również swoje własne prywatne chorągwie pancerne. Wówczas rotmistrzami byli oni tylko z nazwy, a w ich imieniu komendę nad chorągwią

„Rotmistrz chorągwi pancerniej”,
Juliusz Kossak, 1886 r.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

sprawował wskazany porucznik czy namiestnik. Niemniej jednak i młodzi magnaci bardzo często nabywali pierwszych doświadczeń, dowodząc właśnie chorągwiami pancernymi. Trzeba nadmienić, że chorągwi kozackich/pancernych było licznie najwięcej spośród wszystkich innych, wobec czego było tam łatwiej rozpocząć służbę niż w innych jednostkach kawaleryjskich. Oczywiście ogromną rolę wpływającą na tę liczebność odgrywały relatywnie niskie koszty. Mniejsze były również same poczty towarzyskie, które liczyły przeważnie po dwie osoby.

Zmierzch autoramentu narodowego

Mimo wszystkich zalet pancernych, podobnie jak i inne formacje autoramentu narodowego, dotknął kryzys w XVIII w. Rekrutowanie jazdy ze stanu mieszczańskiego i chłopskiego stało się powszechne, a oficerami zostawały osoby, które tylko nominalnie sprawowały swoje funkcje. Liczebność jazdy pancerniej została drastycznie ograniczona po reformach sejmu w 1717 r., a ostatecznie w 1776 r. formację całkowicie zlikwidowano. Na jej miejsce wprowadzono kawalerię narodową.

Po wspaniałości jazdy polskiej pozostało jedynie wspomnienie, którego nostalgiczność doskonale oddają słowa Jędrzeja Kitowicza: „Pancerne chorągwie w powadze i szacunku w narodzie nie ustępowały znakom usarskim; tak się do nich dobijano jak i do usarskich; jedno obyczaje, jeden regulament trybu żołnierskiego, jeden rygor albo raczej jeden nie rygor u obydwóch znaków; przeto, co się pisało względem konsystencji, marszu i parady chorągwi usarskiej, to wszystko służy pancernym [...]. Postać chorągwi w pancerze ubranej, w szyku stojącej, z daleka patrzącemu wydawała podobieństwo deszczu rzęsisłego, co czyniły owe punkta próżne między kółkami i ogniwkami, cień między blask samych kółek i ogników polerowanych rzucające, oku z daleka krople grubego deszczu reprezentujące. W pół panowania Augusta III chorągwie pancerne zatrzymały tylko imię swoje, to jest imię pancernych. Pancerze zaś pozarzucali i na końcu panowania Augusta III nie było więcej chorągwi zażywających pancerzów, jak cztery w Koronie”.

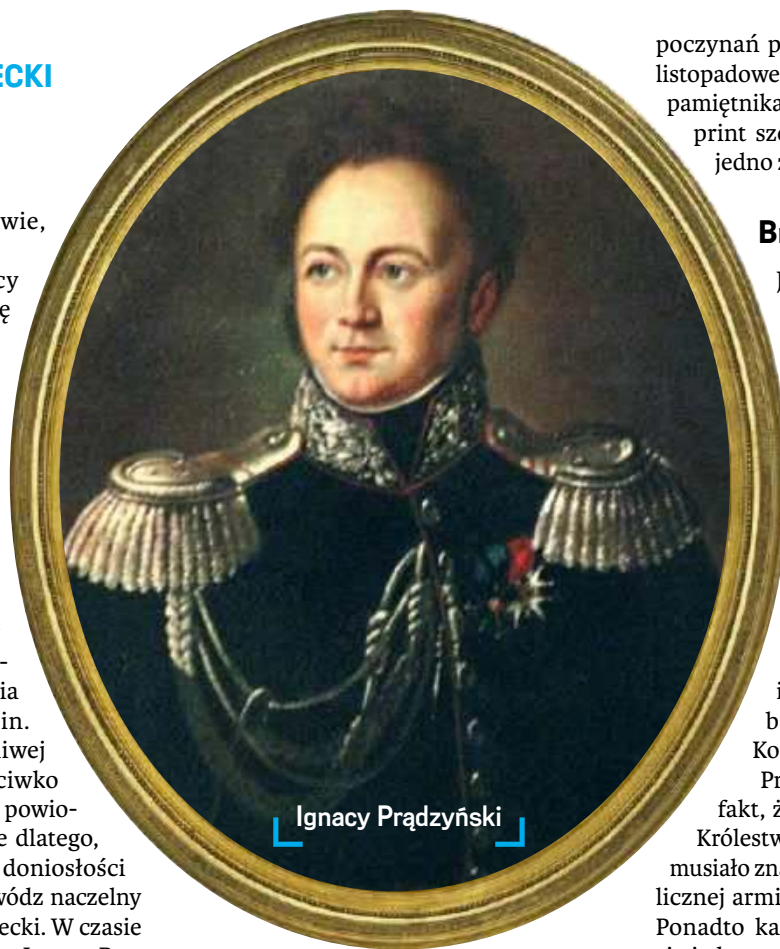
IGNACY PRĄDZYŃSKI O NOCY LISTOPADOWEJ

29 LISTOPADA 1830 r. WYBUCHŁO POWSTANIE LISTOPADOWE.
ROZPOCZĘŁO SIĘ OD NOCNYCH WYPADKÓW WARSZAWSKICH.
W TRAKCIE MARSZU PODCHORAŻYCH Z ŁAZIENEK POD ARSENAŁ
ICH OFIARĄ PADŁO SZEŚCIU GENERAŁÓW ODMAWIAJĄCYCH
NATYCHMIASTOWEGO PRZYSTĄPIENIA DO BUNTU



**PIOTR
ŚWIĄTECKI**

Starsi oficerowie, generałowie i pułkownicy przyłączyli się do młodzieży buntującej się przeciwko caratowi dopiero w następnych dniach. Do oficerów, którzy odegrali znaczną rolę w późniejszych działaniach wojennych, należał Ignacy Prądyński – weteran wojen napoleońskich, saper. Uważany jest za jednego z wybitniejszych oficerów powstania listopadowego. Był m.in. autorem planu błyskotliwej operacji zaczepnej przeciwko armii rosyjskiej, która nie powiodła się w pełni wyłącznie dlatego, że jej znaczenia, sensu i doniosłości nie zrozumiał ówczesny wódz naczelny polskiej armii gen. Skrzynecki. W czasie wiosennej ofensywy 1831 r. Ignacy Prądyński dowodził zwycięską bitwą pod Iganiami. Sukces ten wywarł tak wielkie wrażenie na przełożonych, że nigdy więcej nie dostał już samodzielnej komendy. Ten tekst nie jest jednak poświęcony relacji o operacji, która mogła zmienić losy



Ignacy Prądyński

wojny, lecz niestety nie powiodła się ze względu na brak wyobraźni tych, którzy mieli decydujący wpływ na działania Wojska Polskiego. W tekście skupiam się wyłącznie na relacji poglądów gen. Prądyńskiego na temat racjonalności

początną powstańców w czasie nocy listopadowej, zaprezentowanych w jego pamiętnikach udostępnionych jako re-print szerokiej publiczności przez jedno z krakowskich wydawnictw.

Brak perspektyw

Jedną z uznanych przyczyn buntu armii w noc listopadową jest poczucie braku perspektyw dominujące wśród kadry wojska polskiego. Formalnie posługujące się polską komendą i polskimi znakami, dowodzone przez polskich weteranów wojen napoleońskich, podporządkowane było zwierzchniemu nadzorowi nieobliczalnego, okrutnego i prymitywnego carskiego brata wielkiego księcia Konstantego.

Prądyński zwraca uwagę na fakt, że nieliczne wojsko polskie Królestwa Kongresowego wchłonąć musiało znaczną część kadry oficerskiej licznej armii Księstwa Warszawskiego. Ponadto kariera wojskowa wydawała się jedyną rozsądną drogą życiową dla znacznej części patriotycznej młodzieży szlacheckiej Kongresówki. W rezultacie w armii nastąpił liczny przerost kadry oficerskiej i podoficerskiej, który pociągał za sobą zamknięcie dróg awansu. Przez dziesięciolecia młodzi, wykształ-



FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Noc listopadowa”,
Wojciech Kossak, 1898 r.

ceni mężczyźni zajmowali stanowiska podoficerskie nieodpowiadające ich zdolnościom i aspiracjom, inni zaś spędzali wiele lat w warszawskiej szkole podchorążych – powtarzając turnusy szkolenia – w oczekiwaniu na możliwości awansu. W opinii Prądyńskiego stagnację w awansach mogli cierpliwiej znosić oficerowie starsi, generałowie czy dowódcy pułków, ustabilizowani życiowo i otrzymujący stosunkowo wysokie wynagrodzenia. Natomiast słuchacze szkoły podchorążych i młodszy oficerowie nie mogli pogodzić się ze swoją sytuacją życiową, materialną i przede wszystkim z brakiem perspektyw jej poprawy.

Decyzja o wybuchu

Prądyński polemizuje z klasyczną historią powstania listopadowego napisaną przez jednego z czynniejszych w jego czasie polityków, Maurycyego Mochnackiego. Zastrzega, że nie odnosi się do relacji na temat spisku młodych oficerów, bo w nim nie uczestniczył, przypomina również, że nie był świadkiem wybuchu powstania w Warszawie. Nie dyskutuje więc z relacją na temat faktów, lecz jedynie z opiniami. Prądyński uważa, że Maurycy Mochnacki świadomie stara się usprawiedliwiać działania spiskowców i insurgentów, a także stara się udowodnić, iż decyzje por. Wysockiego i innych spiskowców były roztropne. Tymczasem według generała obrona tej postawy jest w istocie

niemożliwa do przeprowadzenia. Uważa on bowiem, że patrząc z perspektywy polskich interesów, powstanie listopadowe wybuchło w najgorszym możliwym momencie. Osobiste cechy dwóch osób, którym car Aleksander powierzył władzę w Królestwie Kongresowym, czyli brata cesarskiego wielkiego księcia Konstantego i ministra Nowosilcowa, przyczyniły się oczywiście znacznie do wybuchu. Ich działania sprowadziły bowiem do absurdu założenia polskiej monarchii konstytucyjnej złączonej z Rosją unią personalną – monarchii, która podobno miała być w intencji cesarza poligonem doświadczalnym reform. Można więc uznać, że te dwa personalne błędy przyczyniły się znacznie do kosztownego dla Rosji wybuchu. Nie można jednak wielkiemu księciu Konstantemu i Nowosilcowowi przypisywać wyłącznego sprawstwa rewolty.

Inni szatani też byli tam czynni...

Kontekst międzynarodowy

Prądyński żałuje, że powstanie nie wybuchło wcześniej, w trakcie wojny tureckiej w latach 1828–1829. Zdecydowanie korzystniejsze okoliczności pojawiły się, gdy znaczna część rosyjskiej armii zaangażowana była w Turcji. Ale zwycięstwa Dybicza zakończone pokojem w Adrianopolu zawartym 14 września 1829 r. zmieniły ten stan rzeczy. Prawdopodobnie w 1828 r. byłoby też większe prawdopo-

dobieństwo wsparcia dla polskiej insurrekcji ze strony Francji, która potem została osłabiona rewolucją lipcową 1830 r. i realnie była zagrożona interwencją, do której parł carat. Francja nie mogła więc wesprzeć powstającej Polski, zaś polskie powstanie listopadowe prawdopodobnie przesądziło o tym, że nad Sekwaną nie pojawili się interwenci.

W latach 1828–1829 spisek nie był jeszcze wykryty i skompromitowany – brak więc było spiskowcom determinacji do działania. Natomiast jesienią 1830 r. było już oczywiste, że odkrycie sprzysiężenia jest tylko kwestią czasu. Spiskowcom podarował jeszcze kilka tygodni sam wielki książę Konstanty, który nie chciał uwierzyć, że jego ukochane wojsko polskie jest zdolne do spiskowania i buntu, bowiem nielojalność armii polskiej uderzała też w niego jako jej organizatora i dowódcę osobiście. Sprawność tajnych służb nie pozwalała jednak rachować na to, że rzeczywisty stan rzeczy da się długo ukrywać. Spiskowcy stanęli więc przed wyborem – zacząć walkę czy czekać na nieuchronne represje?

Swój czy obcy?

Współcześnie jednym z istotniejszych elementów wyposażenia samolotu bojowego jest urządzenie, które pozwala odróżnić swoich od obcych. W wojnie domowej, za jaką można uznać pod pewnymi względami powstanie >>

» listopadowe, rozpoznawanie – kto może być z nami, kto bez wątpienia będzie przeciw nam – miało jeszcze większe znaczenie.

Ignacy Prądzyński dopatruje się w tym zakresie poważnych błędów spiskowców, krytycznie odnosząc się do dwóch spektakularnych wydarzeń nocy listopadowej. Pierwszym błędem był zupełnie jego zdaniem niepotrzebny i do tego jeszcze źle zaplanowany oraz przeprowadzony atak na stacjonujące w Warszawie tzw. pułki rosyjskie. Uznanie ich za zdeklarowanych przeciwników było błędem. Generał wskazuje, iż jednostki te, należąc do korpusu litewskiego, sformowane były z żołnierzy i podoficerów pochodzących z ziem zabranych, tj. z guberni wileńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, wołyńskiej i podolskiej oraz z obwodu białostockiego. Stacjonując długo w Warszawie, żyli się z kolegami z pułków polskich i ludnością stolicy. Również w kadrze oficerskiej dość licznie byli reprezentowani Polacy oraz Niemcy bałtyccy, jedynie oficerowie sztabowi zostali do tych jednostek skierowani z wojska rosyjskiego. W tych okolicznościach, zdaniem Prądzyńskiego, zamiast układać skomplikowany i w istocie niemożliwy do zrealizowania plan rozbicia tych jednostek, należało raczej doprowadzić do tego, by stanęły one po stronie powstańców. Byłoby to możliwe w sytuacji, gdyby udało się pozyskać dla spisku kogoś z polskiej generalicji o dostatecznym autorytecie, uznawanym w korpusie litewskim.

Nie znajduje również Prądzyński słów usprawiedliwienia dla zabójstw polskich generałów, dokonanych przez podchorążych w noc listopadową. Wspomina wcześniejsze zasługi ofiar gen. Blumera i Trębickiego. Podkreśla, iż dowodzący później powstaniem gen. Chłopicki, Skrzynecki czy Chrzanowski, gdyby znaleźli się na szlaku nocnego marszu podchorążych, również odrzuciliby niewątpliwie propozycję natychmiastowego przyjęcia dowództwa, a więc tylko przypadek zrządził o tym, iż nie padli wówczas ofiarą spiskowców. W wyniku tych nieprzemyślanych, motywowanych emocjami zabójstw zabrakło tych niewątpli-

wie doświadczonych i utalentowanych ludzi w późniejszej wojnie z Rosją (wśród zastrzelonych przez spiskowców znalazł się m.in. gen. Hauke – bohater-ski obrońca Zamościa w 1813 r., prадzia-dek króla Karola III; dwaj jego synowie brali udział w powstaniu listopadowym, a bratanek – w styczniowym). Co więcej, w opinii gen. Prądzyńskiego tej nocy armia utraciła to ważne spoiwo, jakim jest karne zaufanie między dowódcami a żołnierzami. Skutkiem tego były liczne późniejsze, kosztowne przypadki niesubordynacji na polu walki. Prądzyński uważał, że Stanisław Adam Trębicki, zastrzelony po sprzeczce z grupą Wysockiego przy kościele św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, opiekun i zasłużony reformator szkoły podchorążych, jeden z młodszych i zdolniejszych generałów Wojska Polskiego, mógł, gdyby nie ta niepotrzebna śmierć, stanąć na czele wojska i spisać się lepiej od tych generałów, którym przyszło w czasie wojny z Rosją nim dowodzić.

Quidquid agis, prudenter agas et respice finem

„Cokolwiek czynisz, czyń roztropnie i myśl o tym, do czego zmierzasz”. Brak planu działań, brak przygotowanych kadr, pozostawienie generalicji poza sprzyśnięciem doprowadziły zdaniem Prądzyńskiego do tego, iż rankiem, po listopadowej nocy, spiskowcy nieśmiało skupieni wokół warszawskiego Arsenału sami nie wiedzieli, co dalej czynić. Myśląc już tylko o obronie, „dla naśladowania wypadków paryskich” zbudowali kilka nędznych barykad. Powstanie przetrwało ten ranek tylko dzięki

niedołężstwu wielkiego księcia Konstantego.

Błędem było pozostawienie cesarskiego rządu. Szkodliwość tej powściągliwości był świadomy Maurycy Moch-nacki, nie odważył się jednak na energiczne polityczne działania, nie będąc w istocie człowiekiem czynu. Zabrakło wizji również innym przywódcom, z różnych zresztą względów. Osobiście znając Wysockiego, Ignacy Prądzyński twierdzi, iż „trudno sobie wystawić, jak daleko był ograniczony i jak łatwo

było nim powodować”. Skoro powstańcom zabrakło przywództwa z wizją, to działająca dotąd carska Rada Administracyjna „zdziwiona swoją wolnością” przejęła kontrolę nad wydaniami. Za paradoksalne uważa gen. Ignacy Prądzyński to, że to książę Lubbecki podejmował w pierwszych dniach decyzje przesądzające o przyszłości powstania, jak ta o umożliwieniu wielkiemu księciu Konstantemu wycofania się wraz z kontrolowanym przez niego wojskiem za Bug. Z Konstantym odmaszerowało także wielu oficerów i żołnierzy, których można było i należało pozyskać dla powstania.

Podsumowanie

Wybuch powstania listopadowego zastał ppłk. Ignacego Prądzyńskiego w Augustowie, przy budowie kanału niemieńskiego. Spędził tam półtora roku po zwolnieniu z więzienia, w którym spędził trzy lata (1826–1829) za udział w Towarzystwie Patriotycznym. Wezwany do stolicy i powołany na stanowisko kwatermistrza wojsk polskich należał do nielicznych generałów powstańczej armii realnie poszukujących sposobów pokonania przeciwnika. Jego błyskotliwe koncepcje nie znalazły zrozumienia, choć z perspektywy czasu jeszcze wyraźniej widać, iż przyjęcie planu Prądzyńskiego dałoby szansę rozbicia armii interwencyjnej. Pamiętniki Prądzyńskiego ukazują, że trzeźwo oceniał uczestników wydarzeń i ich decyzje. Widział błędy po polskiej stronie popełnione w noc listopadową, lecz ze wszystkich sił starał się doprowadzić do odwrócenia ich negatywnych skutków.



Wielki Książę Konstanty



1967 – czarni pułkownicy u władzy



**PAWEŁ
SKIBIŃSKI**

W historii Grecji 1967 r. stał się synonimem chaosu. Na czele państwa stał wówczas 26-letni król Konstantyn II Glucksburg. Kojarzony był głównie z tym, że jeszcze przed wstąpieniem na tron – w 1960 r. – zdobył złoty medal olimpijski w żeglarskim.

Od stycznia na czele rządu stał Ioannis Paraskevopoulos, zarządzający Bankiem Grecji. Kierował tymczasowym gabinetem, którego zadaniem było zażegnanie narastającego kryzysu politycznego i gospodarczego.

Główną przyczyną kryzysu była sprawa lewicowej konspiracji wojskowej o nazwie Aspida (gr. tarcza) w wojsku greckim, wykrętej dwa lata wcześniej. Ta złożona z oficerów organizacja była wspierana przez członka bardzo wpływowego lewicowo-liberalnego klanu politycznego Andreasa Papandreu. Ten profesor ekonomii na Berkeley pełnił funkcje ministerialne w rządzie swego ojca Georgiosa, centrowego polityka kierującego zarazem Unią Centrum, jedną z dwóch największych greckich sił politycznych. Obaj Papandreu mieli jednak wyraźnie lewicowe inklinacje – Georgios był przed II wojną światową założycielem Socjaldemokratycznej Partii Grecji, a Andreas po 1974 r. zostanie szefem socjalistycznej partii PASOK i z jej ramienia będzie premierem Grecji w sumie przez 11 lat.

Choć sąd wojskowy wydał w sprawie Aspidy stosunkowo łagodne wyroki, prawica naciskała na pozbawienie immunitetu poselskiego młodego Papandreu. Niemożność osiągnięcia kompromisu pociągnęła za sobą dymisję premiera Paraskevopoulosa. W tej sytuacji król próbował powołać do życia mniejszościowy gabinet prawicowej partii Narodowej Unii Radykalnej (ERE). W kwietniu wobec niemożności uzyskania przezeń wotum zaufania monarcha zdecydował się rozwiązać parlament i rozpisać nowe wybory.

Do tego nie doszło, bowiem 21 kwietnia miał miejsce wojskowy zamach stanu.



Przywódcy zamachu stanu z 1967 r., od prawej: brygadier Stilianos Patakos, płk Georjos Papadopoulos i płk Nikolaos Makarezos

Zamachowcy aresztowali głównych przywódców wszystkich partii politycznych – od prawicowej ERE do lewicowej EDA. Liderem zamachowców był płk Georgios Papadopoulos. Służył on w greckim wywiadzie i odpowiadał za kontakty z CIA. Uznano więc za logiczne, że jeśli nawet Amerykanie nie zlecili mu przeprowadzenia zamachu, to w każdym razie zamachowcy będą cieszyć się ich poparciem. Na biografii Papadopoulosa cieniem kładła się jego wojenna przeszłość, bowiem pułkownik należał do kolaboranckich pronazistowskich formacji paramilitarnych, a na stronę popieranego przez zachodnich aliantów króla przeszedł w 1944 r.

Czarni pułkownicy – bo taka nazwa przylgnęła do nowych władz w inspirowanej lewicowo historiografii głównego nurtu – zajęli jednoznacznie antykomunistyczne stanowisko i opowiedzieli się za wprowadzeniem porządku w kraju. Ich zamach został przez Greków przyjęty z apatią, a żadna z głównych sił politycznych nie była w stanie sprzeciwić się autorom puczu. Na czele nowego rządu stanął niezwiązany dotychczas z polityką prokurator Konstantinos Kollias. Rząd nie spotkał się z aprobatą sojuszników Grecji z NATO, a USA wstrzymały nawet pomoc wojskową dla Aten. Premier Kollias rozpoczął populistyczną politykę gospodarczą, a jednocześnie władze wszczęły surowe represje polityczne i obywatelskie (co szokowało obserwatorów zewnętrznych). Zakazano np. noszenia długich włosów przez mężczyzn oraz minispódniczek przez kobiety.

W tej sytuacji w połowie grudnia Konstantyn II – popierany przez Kolliasa – podjął próbę opanowania sytuacji. Wezwał

wojsko do wypowiedzenia posłuszeństwa pułkownikom, jednak jego kontrzamach nie powiódł się. Wojsko pozostało bowiem lojalne wobec autorów kwietniowego puczu, a król i premier w ciągu doby zmuszeni zostali do opuszczenia kraju.

Pułkownicy zdeponizowali Konstantyna II, choć początkowo nie znieśli monarchii. Na czele rządu stanął osobiście płk Papadopoulos, a regentem został gen. Georgios Zoitakis, weteran II wojny światowej i wojny domowej z komunistami w latach 40. XX w.

Papadopoulos szybko odzyskał zaufanie zachodnich sojuszników i utrwalił swoją władzę. Jednocześnie z czasem doprowadził on do ogłoszenia w 1973 r. republiki, której pierwszym prezydentem został on sam. Utracił władzę rok później na skutek przedłużających się zamieszek studenckich, wspartych ostatecznie przez wojsko. Został osądzony i skazany na karę śmierci przez nowy republikański reżim demokratyczny. Wyrok ten został zamieniony na dożywotnie więzienie. Lider czarnych pułkowników zmarł w więzieniu w 1999 r.

Obalony przez wojskowych król Konstantyn II pozostał na emigracji przez niemal 40 lat, oskarżany przez większość rodaków o odpowiedzialność za polityczny chaos w kraju. Wrócił do ojczyzny w 2013 r. i spędził w niej ostatnie 10 lat życia. Zmarł w styczniu br.

Georgios Papandreu zmarł w 1968 r. w areszcie domowym w Atenach. Natomiast jego syn Andreas był jednym z głównych emigracyjnych krytyków junty Papadopoulosa i po 1974 r. stał się na kilkanaście lat główną postacią odrodzonej greckiej demokracji. Zmarł w 1996 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dom rodzinny Marcinkiewiczów
we wsi Cimoszka, stan obecny

HISTORIA RODZINY MARCINKIEWICZÓW W CIENIU PUSZCZY KNYSZYŃSKIEJ



Józef Marcinkiewicz,
genialny matematyk

16 STYCZNIA 1898 r. KLEMENS MARCINKIEWICZ POŚLUBIŁ ALEKSANDRĘ Z CHODAKIEWICZÓW W NEOGOTYCKIM KOŚCIELE ŚW. JERZEGO W JANOWIE. WKRÓTCE NA ŚWIAT PRZYSZŁY ICH DZIECI: STANISŁAWA (1903), MIECZYŚŁAW (1904), EDWARD (1908), JÓZEF (1910) I KAZIMIERZ (1913), KTÓRE OCHRZCZONO W TEJ SAMEJ ŚWIĄTYNI



**ALICJA
OWCZARCZUK**

W Cimoszce stoi dom przypominający szlachecki dwór. Otaaczają go pola i łąki, które na nieodległym horyzoncie łączą się ze ścianą dawnej Puszczy Grodzieńskiej, dzisiaj Knyszyńskiej. Kolonia Cimoszka styka się z Rudawką,

wsią położoną ok. 50 km na północny wschód od Białegostoku. Dom wybudował na przełomie XIX i XX w. Klemens Marcinkiewicz. Pracowitością i otwartym umysłem przyczyniał się do rozwoju gospodarstwa, rodziny i najbliższej okolicy. W efekcie swoich starań powiększył majątek do 40 ha. Oprócz kilkuhektarowego sadu i stawu rybnego na zmeliorowanych łąkach wysiewał bardzo dobre gatunki traw. Był inicjatorem pierwszej w regionie mleczarni, szkoły w Rudawce i Kasy Stefczyka. Dzięki stolarskiej pasji wykonał całą stolarkę do nowego domu i wszystkie meble na jego wyposażenie.

Gdy 14 stycznia 1863 r. Rosjanie ogłosili stan wojenny w powiecie sokólskim, ruch partyzancki był już rozwinięty i przygotowany. Pierwsza potyczka odbyła się pod Czarną Wsią. Powstanie utrzymało się do jesieni 1864 r. i było najdłuższe ze wszystkich zrywów. Słabo uzbrojone i niedoszkolone oddziały nie miały szans z największą potęgą militarną ówczesnej Europy. Represje, jakie po upadku powstania spadły na polską ludność – więzienia, egzekucje, wywózka na Syberię i konfiskata mienia – okrzyły naród żałobą. Liczne krzyże i groby do dziś można znaleźć w Puszczy Knyszyńskiej. Świadomość rodziny kształtowała się dzięki

opowieściom o działalności przodków, których za udział w powstaniu styczniowym i wspieranie powstańców zesłano na Sybir. Wincenty Chodakiewicz z zsyłki powrócił po kilkunastu latach, a ks. Jan Chodakiewicz życie zakończył na Syberii.

Józef

Po 123 latach niewoli w listopadzie 1918 r. przyszła upragniona wolność. Zanim jednak to nastąpiło, tereny Puszczy Knyszyńskiej poddane zostały grabieżczej działalności okupanta rosyjskiego i niemieckiego. Rok 1920 przyniósł cud nad Wisłą, który rzeźbił charaktery Marcinkiewiczów. Ogromne znaczenie dla świadomości rodziny miała postać ks. Józefa Marcinkiewicza, brata Klemensa. Charakteryzowała go „duża pobożność, wyjątkowa przedsiębiorczość i aktywność społeczna”, w czasie II wojny światowej współpracował z AK, czym naraził się UB w Sokółce.

Pierwsze szkoły polskie na Sokółszczyźnie zaczęto organizować w okresie I wojny światowej. W powołanym w 1921 r. Gimnazjum Koedukacyjnym w Sokółce kształcił się przyszły geniusz matematyki Józef, przedostatni z rodzeństwa Marcinkiewiczów. Był dzieckiem chorowitym, stąd też jego początkowa edukacja miała miejsce w domu pod okiem matki. Kolejne lata to nauka w prestiżowym Gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Białymstoku. Talent matematyczny Józefa rozwijał się pod okiem nauczycieli tego przedmiotu z białostockiego gimnazjum – Zenona Krasowskiego i Konstantego Kosińskiego. Wydział matematyczno-przyrodniczy na Uniwersytecie im. Stefana Batorego w Wilnie to kolejny etap edukacji Józefa Marcinkiewicza, gdzie bardzo szybko zauważono jego zdolności. Cechowała go niezwykła pracowitość, konsekwencja, umiejętność skupienia i wyjątkowa pamięć. Jego talent wzbudzał szacunek nie tylko wśród studentów, lecz także wśród profesorów. Zaliczał się do nich jeden z najwybitniejszych polskich matematyków, przedstawiciel warszawskiej szkoły matematycznej prof. Antoni Zygmund. Marcinkiewicz był na tyle zdolny, że w ciągu trzech lat ukończył studia pierwszego i drugiego stopnia, a jego praca magisterska wzbudziła ogromne zainteresowanie również za granicą.

Pomimo zaleczonej gruźlicy zgłosił się do wojska, by odbyć roczną służbę,

którą jako podchorąży ukończył celując w 1934 r. Cały czas pracował naukowo, przygotowując rozprawę doktorską pod kierunkiem prof. Zygmunta. Wkrótce po obronie pracy w 1935 r. otrzymał stypendium Funduszu Kultury Narodowej powołanego przez Józefa Piłsudskiego. W lwowskim UJK zetknął się ze słynną szkołą matematyczną i pozostawił wpis w tzw. Księdze Szkockiej. W 1937 r. otrzymał tytuł docenta matematyki. Kolejne stypendium FKN to staż na Sorbonie we Francji i w Cambridge w Londynie. W wieku 29 lat przyjął propozycję objęcia katedry matematycznej na Uniwersytecie Poznańskim wraz z tytułem profesora nadzwyczajnego. W rewelacyjnie krótkim czasie opublikował 55 prac naukowych, które do dzisiaj inspirują matematyków na całym świecie, a jego oryginalne pomysły są wykorzystywane nie tylko w informatyce. Katedry nie zdążył przejąć, nadszedł wrzesień 1939 r. Józef Marcinkiewicz mógł pozostać bezpieczny za granicą, ale wyruszył do Lwowa, gdzie stacjonował jego batalion. Armia Czerwona oficerów Wojska Polskiego wziętych do niewoli, w tym Józefa, wywoziła do Katynia, Kozielska i Starobielska. Strzałem w tył głowy NKWD zamordowało blisko 22 tys. polskiej inteligencji.

Mieczysław

Najstarszy Mieczysław przejął gospodarstwo po ojcu. We wrześniu 1939 r. zgłosił się jako ochotnik do obrony kraju przed wrogiem, po okresie internowania na Litwie powrócił do Cimoszki. W obliczu zagrożenia ze strony NKWD opuścił ponownie swój dom rodzinny i przedarł się do Prus Wschodnich, gdzie pracował jako robotnik. Po ataku Niemiec na ZSRS w 1941 r. powrócił i wstąpił do Związku Walki Zbrojnej, potem Armii Krajowej. Wraz z najmłodszym bratem Kazimierzem działał w konspiracji na terenie okolicznych miejscowości. Bracia byli też członkami lokalnej partyzantki podlegającej AK z Sokółki. W Puszczy Knyszyńskiej mieli ziemiankę, w której przechowywali broń oraz ukrywali „spalonych” żołnierzy. W domu Mieczysława spotykali się kursanci Konspiracyjnej Szkoły Podchorążych oraz przedstawiciele Komendy Obwodu AK-AKO Sokółka. Przygotowywali się do akcji „Burza”.

W 1945 r. Mieczysław poślubił Irenę Oniškę, którą brutalnie pobiło UB przy próbie aresztowania jej męża. On sam

zdołał się ukryć, a następnie wyjechał na tzw. Ziemie Odzyskane, gdzie osiedlił się wraz z żoną na stałe. Sprzedał gospodarstwo i do rodzinnej wsi już nie powrócił. Wiadomo, że w 1947 r. ujawnił się w ramach amnestii.

Kazimierz

Kazimierz Marcinkiewicz, najmłodszy z rodzeństwa, kształcenie rozpoczął od nauki w Szkole Powszechnej w Janowie, następnie było to Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie w Grodnie.



**Kazimierz Marcinkiewicz
po wkroczeniu armii sowieckiej
wraz z braćmi działał w Armii
Krajowej Obywatelskiej**

Inteligentny i ambitny syn Klemensa i Aleksandry Marcinkiewiczów w Grodnie ukończył kurs podchorążych, uzyskał maturę i rozpoczął studia prawnicze w Warszawie. Gdy wybuchła wojna we wrześniu 1939 r., udał się do Lwowa i podobnie jak najmłodszy Józef walczył w obronie miasta i został wzięty do sowieckiej niewoli. Prawdopodobnie wtedy widział brata po raz ostatni. Udało mu się zbiec i powrócić do Cimoszki. Po powrocie wstąpił do ZWZ-AK, a po wkroczeniu Armii Sowieckiej wraz z braćmi działał w Armii Krajowej Obywatelskiej współpracującej z okręgiem sokólskim. W Warszawie ożenił się z Ireną Kukullescą, którą sprowadził do rodzinnej Cimoszki. Na miejscu, wraz z żoną >>

>> i teściową, prowadził tajne nauczanie, jednocześnie studiując na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W 1945 r., zaraz po wyzwoleniu, zorganizował we współpracy instytucji z Białegostoku gimnazjum w Janowie, którego z czasem został dyrektorem. Działalność konspiracyjna nie uszła uwadze UB, która zorganizowała obławę na dyrektora gimnazjum. 3 maja 1946 r., podczas Święta Konstytucji 3 maja, Kazimierz Marcinkiewicz został zastrzelony przez funkcjonariuszy UB.

Stanisława

Stanisława Marcinkiewiczówna, najstarsza z dzieci Klemensa i Aleksandry, jako pierwsza dążyła do solidnego wykształcenia. Po ukończeniu gimnazjum w Białymstoku rozpoczęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim, nie dostała się na wydział matematyczno-przyrodniczy. Podczas studiów poślubiła Kazimierza Lewickiego z sąsiedniego Teolina, który był pilotem 2. pułku w Krakowie i brał udział w przewrocie majowym, podczas którego został poważnie ranny. Stanisława po trzech latach studiów zrezygnowała z nauki, aby zająć się chorym mężem. Zamieszkali w Grodnie, gdzie utrzymywali się z renty wojskowej Kazimierza, urodziło im się dwoje dzieci. Po wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. Kazimierz nie został zmobilizowany, ale zgłosił się na ochotnika do obrony Grodna. Po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną został internowany na Litwie, skąd zdołał uciec. Przeniósł się do rodzinnych stron, gdzie wytropiło go NKWD i po aresztowaniu osadziło w więzieniu w Brześciu, skąd ponownie zbiegł. W tym czasie Stanisława wraz z dziećmi dotarła do Cimoszki, gdzie zajęła się działalnością konspiracyjną, lecz i ona musiała uciekać. Najpierw dzięki opłaconym przewodnikom przedarła się do Suwałk okupowanych przez Niemców i pracowała tu przez kilka miesięcy fizycznie. Zagrożona aresztowaniem kontynuowała ucieczkę, tym razem znalazła się w Ostrowi Mazowieckiej. Dzięki dobrej znajomości języka niemieckiego dostała pracę kasjerki w niemieckim kinie. W 1941 r., jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, powróciła wraz z dziećmi do Cimoszki. Została zaprzysiężona w ZWZ i od tej chwili zajmowała się prasą oraz pocztą konspiracyjną. Działalność podziemną kontynuowała również po wojnie wraz z mężem, oboje nie ujawnili się pod-



Grób rodzinny
Marcinkiewiczów

czas amnestii. Kazimierz prowadził tajne nauczanie w rodzinnym Teolinie, potem w Sokółce uczył matematyki. Oboje zostali odznaczeni, Stanisława – Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczcami i Odznaką Białostockiego Okręgu AK, a Kazimierz – Odznaką Pilota, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski.

Edward

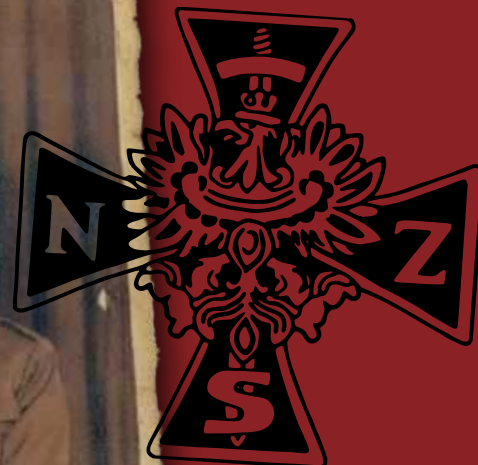
Edward Marcinkiewicz po domowym kształceniu pod okiem matki rozpoczął naukę w Gimnazjum Męskim im. Króla Zygmunta Augusta w Białymstoku, ale nauki nie ukończył. Kontynuował ją w Grodnie po rocznej pracy w gospodarstwie. Zdał maturę i ukończył kurs nauczycielski, po którym uczył w szkołach w rodzinnych stronach. Naukę kontynuował w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Ukończył ją z bardzo dobrym wynikiem i zdobył tytuł nauczyciela szkół specjalnych. Był ambitny i stanowczy. Wojna w 1939 r. spowodowała, że znalazł się w 29. Pułku Artylerii Lekkiej jako dowódca plutonu. Podobnie jak bracia został internowany na Litwie. Po anektowaniu Litwy przez ZSRS polskich żołnierzy wywieziono do obozu w Kozielsku, gdzie wcześniej krótko przebywał brat Edwarda Kazimierz.

Po zawarciu układu Sikorski–Majski wstąpił do 6. Pułku Artylerii Lekkiej i przeszedł szlak bojowy 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa. Awansowany do stopnia porucznika objął dowodzenie 2. baterii. Pod Monte Cassino walczył w randze zastępcy dowódcy I dywizjonu. Szlak bojowy zakończył w stopniu kapitana w północnych Włoszech niedaleko Bolonii 21 kwietnia 1945 r. Smak zwycięstwa i zakończenia wojny zatruwało rozgoryczenie zdradą aliantów, którzy Polskę oddali Sowieciom. Po wojnie wyjechał do Stanów Zjednoczonych, ożenił się z Włoszką, z którą miał dwójkę dzieci. Dwukrotnie odznaczony Krzyżem Walecznych, pamiątkowym Krzyżem Monte Cassino, dwoma brytyjskimi odznaczeniami Italy Star oraz Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczcami i Medalem Wojska.

Rodzice

78-letniego Klemensa i 62-letnią Aleksandrę Marcinkiewiczów 20 czerwca w 1941 r. wywieziono na wschód do Kazachstanu. 24 grudnia w „Dolinie Śmierci” zmarli z głodu i wycieńczenia.

W Cimoszce niedaleko Puszczy Knyżyńskiej wciąż stoi dom, który zbudował Klemens Marcinkiewicz dla swojej rodziny. Chociaż podupadły i zniszczony, nadal przypomina szlachecki dworek. ■



DZIAŁALNOŚĆ ANTYKOMUNISTYCZNA I ŚMIERĆ „EUSTACHEGO” Z NSZ

WRAZ Z POWSTANIEM NARODOWYCH SIŁ ZBROJNYCH WE WRZEŚNIU 1942 r. SVOJĄ DZIAŁALNOŚĆ ROZPOCZĘŁY ODDZIAŁY PARTYZANCKIE. SKŁADAŁY SIĘ ONE Z ŻOŁNIERZY SZKÓŁ PODCHORAŻYCH I PODOFICERÓW ORAZ OSÓB TZW. SPALONYCH. DO ICH GŁÓWNYCH ZADAŃ NALEŻAŁO WYKONYWANIE AKCJI DYWERSYJNYCH, ZDOBYWANIE BRONI, ZAOPATRZENIA ORAZ W SPOSÓB SZCZEGÓLNY OCHRONA LUDNOŚCI CYWILNEJ PRZED BANDAMI RABUNKOWYMI I KOMUNISTYCZNYMI



**KAMIL
SULEJ**

Nasz bohater Edward Wróbel urodził się 7 listopada 1911 r. w Żdanowie, pow. zamojskim, w rodzinie katolickiej, był synem Franciszka i Franciszki z d. Szypper.

Uczęszczał do Państwowego Gimnazjum Męskiego im. hetm. Jana Zamoyskiego w Zamościu, które ukończył 13 czerwca 1932 r., otrzymując egzamin dojrzałości. Następnie ze stopniem podchorążego ukończył Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy 27 DP przy 24. Pułku Piechoty w Łucku. Decyzja o powrocie na Lubelszczyznę zbiegła się z podjęciem studiów na Wydziale Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Niestety wybuch II wojny światowej uniemożliwił „Eustachemu”

ukończenie studiów. Objęty mobilizacją i powołany do czynnej służby walczył podczas walk kampanii wrześniowej 1939 r. i obrony Warszawy. Ranny podczas bitwy, trafił do szpitala św. Łazarza w Warszawie. Następnie w wyniku ewakuacji szpitala postanowił powrócić w rodzinne strony do miejscowości Stróża, w której mieszkała jego żona Maria wraz z rodziną. Pragnąc zapewnić bezpieczeństwo i utrzymanie rodziny, zapisał się na kurs ogrodniczy w celu podniesienia kwalifikacji i znalezienia pracy. >>

W walce

Ówczesna Lubelszczyzna, na terenie której znajdowała się rodzinna miejscowość Stróża, była obszarem działalności licznych band komunistycznych. Dostrzegając szerzący się bandytyzm i rabunki wobec bezbronnej ludności wiejskiej, Edward Wróbel założył siatkę samoobrony wiejskiej, która składała się z miejscowych gospodarzy. Ich działalność polegała na zabezpieczeniu gospodarstw i majątku. Podjęte działania dość szybko zostały dostrzeżone przez narodowe struktury konspiracyjne, które następnie wpłynęły na rozpoczęcie współpracy z NSZ i przyjęcie konspiracyjnego pseudonimu „Eustachy”.

Powiat, w którym działał „Eustachy”, w dokumentacji konspiracyjnej oznaczony był cyfrą 2. Swym zasięgiem obejmował terytorium przedwojennego powiatu janowskiego, którego siedzibę Niemcy ulokowali w Kraśniku. Powiat nr 2 w strukturach NSZ należał do najliczniejszych powiatów w całej Polsce. Należy zaznaczyć, że był jednym z niewielu, gdzie liczba żołnierzy NSZ zdecydowanie przewyższała liczbę żołnierzy ZWZ-AK. Komendant Powiatu Kazimierz Koźma „Baca” stwierdził, iż liczba żołnierzy nie była mniejsza niż 3 tys. Komenda Powiatu, która formalnie powstała na przełomie 1942 i 1943 r., składała się z zaprzysiężonych żołnierzy NOW – AN.

Struktura powiatowa została podzielona na pięć rejonów. W jednym z nich, oznaczonym literą „A”, obowiązki komendanta pełnił ppor. Edward Wróbel „Eustachy”. Działalność wojskowa wymagała ogromnego doświadczenia oraz umiejętności konspiracyjnych ze względu na specyfikę i dużą liczbę band występujących na Lubelszczyźnie. Warto zaznaczyć, iż był to teren, który jako pierwszy zetknął się z dwiema okupacjami. Wymagało to ogromnej precyzji w wykonywaniu zadań przez żołnierzy NSZ, aby nie doprowadzić do strat osobowych oraz dezorganizacji struktur. „Eustachy” cieszył się wśród miejscowej ludności ogromnym zaufaniem i uznaniem. Jego działalność konspiracyjna skoncentrowana była na obronie lokalnej ludności cywilnej, zwalczaniu band rabunkowych i komunistycznych, wyszkoleniu żołnierzy oraz prowadzeniu skutecznej propagandy.

W lutym 1944 r. ppor. „Eustachy” został powołany na dowódcę kompanii K 209 o kryptonimie „Kawa” rozkazem Kazimierza Koźmy „Bacy”. W rozkazie został odpowiedzialny za stan i gotowość jednostki. Należy zwrócić uwagę, iż rejon dowodzony przez ppor. Edwarda Wróbla „Eustachego” dość szybko rozwinął swoją konspiracyjną działalność. Świadczą o tym liczne przedsięwzięcia konspiracyjne mające na celu podniesienie umiejętności wyszkolenia pod-

DOSTRZEGAJĄC SZERZĄCY SIĘ BANDYTYZM I RABUNKI WOBEC BEZBRONNEJ LUDNOŚCI WIEJSKIEJ, „EUSTACHY” ZAŁOŻYŁ SIATKĘ SAMOOBRONY WIEJSKIEJ, KTÓRA SKŁADAŁA SIĘ Z MIEJSCOWYCH GOSPODARZY

ległych żołnierzy oraz podniesienia ich morale. Dowódca zwracał szczególną uwagę na zachowanie najwyższego poziomu zakonspirowania, ponieważ rejon działalności objęty był walką zarówno z Niemcami, jak i komunistami. Zagrożenie dla jego podwładnych wynikało także z zaangażowania lokalnej ludności w struktury komunistyczne, która regularnie przekazywała informacje o ruchach oddziałów niepodległościowych. Istotnym czynnikiem dekonspiracji było także pochodzenie żołnierzy podziemia NSZ i komunistów z tych samych miejscowości. W tym celu prowadził szkolenia ideowe. Żołnierze NSZ regu-

larnie uczestniczyli w nabożeństwach oraz odmawiali modlitwę Narodowych Sił Zbrojnych, których tekst zachował się w rodzinnym archiwum. Dowódca podnosił morale swojego oddziału za pośrednictwem prasy konspiracyjnej, która była wydawana na terenie powiatu kraśnickiego i janowskiego. Wśród zachowanych tytułów można chociażby wymienić pismo pt. „Narodowiec”. Docierała tam też prasa z innych okręgów, m.in. „Naród. Organ Narodowych Sił Zbrojnych”, „Głos Narodu Polskiego”, „Wolna Polska”, „Wielka Polska”, „Walka”, „Szaniec”, „Żołnierz Wielkiej Polski”, „Technika w gospodarce narodu”, „W Natarciu”. Ideowe zaangażowanie Wróbla potwierdzały licznie organizowane pogawędki dla gospodarzy na tematy patriotyczno-religijne.

Wokół komunści

Jego działalność nie mogła pozostać obojętna dla grasujących komunistów. Grupa związana z PPR w miejscowości Słodków III w nocy z 6 na 7 marca 1944 r. napadła po raz kolejny na dom rodzinny „Eustachego”. Nie mając możliwości schwytania komendanta, pobili jego brata i bratową.

W zachowanym meldunku z 31 maja 1944 r. por. „Eustachy” zameldował Komendantowi Powiatu 2 Kazimierzowi Koźmie „Bacy”: „W dniu 25 maja o godz. pierwszej patrol prowadzony przeze mnie w sile 1+3 wpadł na zasadzkę bolszewicko złodziejską i ostrzelany z bliska ogniem kb. Jeden ranny z moich został odstawiony do szpitala w Janowie. Dochodzenie wykazało nie zabicie, że miejscowy złodziej i rabuś Sulowski Tadeusz »Brzoza« [działał w grupie »Kiełbasy« i Mazurów a później »Cienia« w AL] z kol. Stróża razem z innymi których znam bardzo dobrze dokonał tego zamachu. Tenże Sulowski Tadeusz był ostatnio w oddziale Zagłoby AK i przyjechał tu rzekomo na urlop. Wywiad wykazał nie zabicie że ten:

1. dalej pracuje w PPR i prowadzi robotę szpiegowską w AK
2. dalej z miejscową komuną rabuje
3. świadomie i celowo na polecenie PPR wykonał rozkaz likwidacji.

Proponuje Sulowskiego Tadeusza aresztować, wy badać wszystkie okoliczności wyż. wym. a przede wszystkim kto w nocy z 25 – 26 maja razem z nim dokonał ostrzelania mego patrolu. Podpisał kom. Eustachy”.



Edward Wróbel ukończył w 1932 r. naukę w Gimnazjum im. hetm. Jana Zamojskiego w Zamościu. Porucznik NSZ „Eustachy” spoczywa na cmentarzu w rodzinnej Stróży. Data śmierci wyryta na nagrobku nie odpowiada prawdzie.

Według ustaleń autora został on zamordowany 25 lipca 1944 r.

Zachowane materiały archiwalne nie pozostawiają złudzeń, że jednym z wielu zadań żołnierzy służących pod dowództwem por. „Eustachego” było prowadzenie wywiadu, mającego na celu ściganie osób służących komunistom. Materiały archiwalne potwierdzają liczne grabieże, pijaństwo w szeregach komunistów oraz zachęcanie gospodarzy do wstępowania w szeregi Armii Ludowej.

W dniu 12 czerwca 1944 r. por. „Eustachy” sporządził meldunek, w którym relacjonował swoje spotkanie z 9 czerwca z PPR-owcami ze Śłódkowa III w celu ich przemarszu przez teren, na którym stacjonowały oddziały NSZ: „Spotkanie odbyło się przez kol. »Szarego«. Podczas rozmów zostały także »rzekomo« wyjaśnione kradzieże przez PPR. [...] Tego samego dnia kiedy były prowadzone rozmowy około godz. 23 nieznani ludzie urządzili zasadzkę przy głównej drodze do kol. Stróży, która zakończyła się niepowodzeniem.

Następnego dnia 10 czerwca 1944 r. około godz. 19:00 pięciu uzbrojonych w broń krótką i granaty członków PPR ze Śłódkowa III dokonało napadu na dom Domańskiego Mieczysława ze Stróży, który ostrzelali. W wyniku czego zabili krowę i ranił Glišńskiego Józefa »Wichra« lekko raniąc. Ranny został także, Jackowski Władysław ze Śłódkowa III oraz jeszcze jedną raną osobę zabrali ze sobą. Podczas

przesłuchania Jackowski odpowiedział, że dostał rozkaz do Sulowskiego Tadeusza aby zamordował, Glišńskiego, Wróbla, Nalepe. Całe wydarzenie zostało zgłoszone Żandarmerii w Kraśniku uwzględniając, że Jackowski został zabity w strzelaninie. Por. »Eustachy« zameldował o konieczności zlikwidowania oddziału jeśli nie przestanie bandytyzmu”.

Odpowiedzią na ataki był rozkaz wydany 17 czerwca 1944 r. przez komendanta „Bacę” o zorganizowaniu oddziału w sile od 20–30 ludzi, pod dowództwem por. „Eustachego”, który miał zwiększyć bezpieczeństwo w tym rejonie. Następnie 22 czerwca 1944 r. komendant „Bacą” wydał kolejny rozkaz dotyczący zorganizowania oddziału Pogotowia Akcji Specjalnej w rejonie „A” z uwzględnieniem następujących wytycznych: „PAS w rejonie A stanowi pluton w składzie, dowódca, z-ca dowódcy plutonu i 3 drużyny strzeleckie, 1+1+57=59 ludzi. Dowódca plut – podch. Jowisz, z-ca d-cy sierż. Kosa. Kompania 208 odkomenderować do plut PAS 2, drużyny strzeleckie, 2–1 km z kompletnym uzbrojeniem. Komp. 209 przydzielić 1 drużynę uzbrojoną. Dowódców drużyny wyznaczyć d-cy Komp 208 i 209 w porozumieniu z por. Eustachym i por. Jowiszem. Na alarm plut., PAS występuje jak na »Mob« ale bez zbędnego obciążenia głowy do marszu i walki. Organizację i postanowienie



w stan ostrego pogotowia. PAS należy ukończyć 5:00 dnia 23.VII.44. Meldunek i wykonaniu ma być na punkcie meldunkowym o godz. 8:00 [dnia] 23. VII 44. Za wykonanie powyższego czynię odpowiedzialnym w pierwszym rzędzie por. Eustachego i pchor. Jowisza”. Por. Edward Wróbel „Eustachy” według rozkazu Komendy Powiatu 2 zorganizował jedną drużynę szturmową w składzie 20 ludzi włącznie z dowódcą.

Zemsta oprawców

Napięta sytuacja w rejonie wynikająca ze wzmożonej działalności konspiracyjnej oraz precyzyjnego wywiadu prowadzonego przez podwładnych „Eustachego” skutecznie uniemożliwiała grasowanie band komunistycznych. Ponadto żołnierze NSZ w tym rejonie wykazywali się ogromną skutecznością w rozwoju struktur wojskowych i cywilnych. Prawdopodobnie precyzja wykonywanych rozkazów oraz bezkompromisowość Edwarda Wróbla „Eustachego” przyczyniła się do przeprowadzenia na jego życie zamachu.

Wspomnienia rodzinne wskazują, iż 25 lipca 1944 r. otrzymał meldunek wyzywający go na rozmowy z PPR, na które postanowił się udać. Został schwytany i torturowany przez ludzi z bandy dowodzonej przez Bolesława Kaźmiraka „Cienia”. Następnie został zastrzelony przez Józefa Ulbrychta „Florka” strzałem w głowę. Został pochowany na cmentarzu rodzinnej miejscowości Stróży.

JEGO MOTTEM BYŁA SŁUŻBA



75. ROCZNICA ŚMIERCI PŁK. STANISŁAWA KASZNICY

FOT. IPN

**BYŁ DZIECKIEM POLSKI NIEPODLEGŁEJ.
NAJSTARSZYM SYNEM PROF. STANISŁAWA
KASZNICY, PRAWNIKA I DWUKROTNEGO
REKTORA UNIWERSYTETU POZNAŃSKIEGO**



**KRZYSZTOF
DZIADZIUSZKO**

Urodził się 25 lipca 1908 r. we Lwowie jako Stanisław Józef Bronisław Kasznica. Od początku swojej edukacji był związany z obozem narodowym, a jego wzorem i punktem odniesienia był ojciec. Maturę zdał w 1927 r. w Gimnazjum im. Marcinkowskiego w Poznaniu, a studia ukończył w 1933 r. na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Poznańskiego. Jeszcze w okresie studiów odbył służbę wojskową w Szkole Podchorążych Artylerii w Włodzimierzu Wołyńskim, a następnie w 7. Wielkopolskim Dywizjonie Artylerii Konnej w Poznaniu. Podczas

studiów należał do Zarządu „Bratniej Pomocy” na Uniwersytecie Poznańskim oraz Korporacji Akademickiej „Helionia”.

Młody narodowiec

Po skończonej nauce wybrał karierę polityczną i działał w Obozie Wielkiej Polski. Od 1934 r. swoje losy związał z Obozem Narodowo-Radykalnym, a po jego delegacji włączył się w pracę w konspiracyjnej strukturze o nazwie ONR-ABC w Poznaniu, gdzie od 1938 r. kierował jej poczynaniami. W trakcie swojej działalności był członkiem Organizacji Polskiej (OP), tajnej, kilkustopniowej i we-

wnętrnie zakonspirowanej struktury kierowniczej ONR. Należy w tym miejscu wspomnieć, że w 1936 r. awansował na poziom „C”, a prawdopodobnie w 1939 r. na poziom „Z”.

Po skończonych studiach rozpoczął pracę w kancelarii przyjaciela swojego ojca – dr. Ignacego Weinfeldta. W 1935 r. powrócił w rodzinne strony, gdzie został radcą prawnym w garbarni Alfreda i Ericha Rogowskich w Gnieźnie. W ciągu sześciu miesięcy pracy zdał egzamin adwokacki i wrócił do Warszawy, do kancelarii dr. Weinfeldta. Tam też poznał swoją przyszłą żonę Reginę Niedziałkowską, którą poślubił w grudniu 1939 r., a owo-

cem ich miłości była jedyna córka – Zofia. Co ciekawe, jeszcze w 1938 r. na prośbę Tadeusza Gluzińskiego, Kasznica miał kandydować do rady miasta Poznania. Ale ze względu na słabe poparcie i działanie kół sanacyjnych wejście do miejskich struktur okazało się niemożliwe.

W czasie kampanii wrześniowej w 1939 r. jako ppor. rez. był dowódcą I plutonu 2 baterii w 7. Dywizjonie Artylerii Konnej, który walczył w składzie Wielkopolskiej Brygady Kawalerii pod dowództwem gen. Romana Abrahama. Uczestniczył w bitwie nad Bzurą, gdzie walczył na pierwszej linii pod Laskami (tam zginął jego brat Jan) i Sierakowem. Za męstwo na polu walki został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V klasy.

W trakcie niemieckiej okupacji był działaczem tzw. Grupy „Szańca”, wywodzącej się ze struktur ONR-ABC, a na przełomie lat 1939 i 1940 walczył w ramach Organizacji Wojskowej Związku Jaszczurczego i działał w Komisariacie Cywilnym. Był to organ, który przygotowywał kadry i struktury dla przyszłej administracji wyzwolonych ziem. W ramach Grupy „Szańca” pod ps. Piotr Straża w 1941 r. napisał „Piastowy Szlak”. Tematem książki było kompleksowe opracowanie ustroju państwa polskiego z dogłębną analizą społeczno-prawną II RP. Po narodzinach córki Kasznica, prócz zadań konspiracyjnych, pracował w okupowanej Warszawie. Był m.in. riksarzem, handlowcem i przez rok pracował jako majster piekarski.

Po scaleniu we wrześniu 1942 r. organizacji narodowych w Narodowe Siły Zbrojne (NSZ) zaczął pełnić funkcję szefa Administracji Ogólnej Służby Cywilnej Narodu (SCN). Był ponadto pomysłodawcą powstania tzw. Obrony Narodowej, która miała pełnić rolę policji SCN. Od lipca 1943 r. wszedł w skład Prezydium Tymczasowej Narodowej Rady Politycznej, organu, który kierował poczynaniami NSZ. W tym czasie został też włączony w struktury kierownicze Organizacji Polskiej: Komitetu Wykonawczego i Komitetu Politycznego OP.

W lipcu 1944 r. objął funkcję szefa I Komendy Głównej NSZ. Otrzymał rozkaz zabezpieczenia archiwum SCN. Jednak ta misja nie powiodła się i większość archiwum spłonęła podczas powstania warszawskiego. Sam Kasznica walczył na Ochocie wraz z ok. 30 żołnierzami. Jednak po trzech dniach z braku amunicji rozpuścił swój oddział.

Wobec nowego wroga

Po wydostaniu się z centrum Warszawy Kasznica 10 sierpnia 1944 r. wraz z rodziną trafił do obozu przejściowego tzw. Zieleniaka, a następnie do obozu w Pruszkowie. W połowie sierpnia 1944 r. przyjechał do Częstochowy. Początkowo mógł korzystać z kontaktów miejscowych działaczy OP. W związku z tą sytuacją Komenda Główna NSZ powierzyła Kasznicy od września 1944 r. funkcję komendanta Okręgu VIII (śląsko-częstochowskiego), którą pełnił do kwietnia 1945 r. Został też komendantem I Okręgu NSZ (pomorskiego) i p.o. II Okręgu NSZ (poznańskiego). W tym czasie przewodniczącym Komitetu Wykonawczego OP był dr Bolesław Sobociński. Kasznica współpracował w tym okresie z komendą Obszaru Zachód „Nie” i pełnił funkcję zastępcy komendanta mjr./ppłk. Jana Kamińskiego ps. Konar. W lutym 1945 r. powrócił do Poznania, gdzie wraz z Lechem Karolem Neymanem utworzył dwie organizacje – Armię Polską oraz Pokolenia Polski Niepodległej, która miała za zadanie penetrować środowiska akademickie Poznania i Gdańska.

Kasznica w sierpniu 1945 r. wszedł w skład Rady Inspektorów i został również p.o. Komendanta NSZ. Od czerwca 1946 r. był szefem wywiadu OP, zastępując na tym stanowisku Sobocińskiego. W czasie swojego pobytu w Poznaniu próbował wrócić do normalnego życia. Jednak czując na karku „oddech” NKWD i UB, podjął się w Krosinku pracy w Milicji Obywatelskiej pod przybranym nazwiskiem Borowski. Zimą 1945/1946 próbował uporządkować swoje życie prywatne, nie utrzymując tak intensywnych kontaktów z kolegami z OP. Założył nawet w tym celu przedsiębiorstwo.

Jeszcze w marcu 1945 r. rozpoczęło się stopniowe przenoszenie Komendy Głównej NSZ z Warszawy do Łodzi. Próbował przenieść KG do Poznania, ale to się nie udało.

Podczas swojej pracy jako szef wywiadu OP czerpał doświadczenie ze swojej pracy w Służbie Cywilnej Narodu. Sam niejednokrotnie, z uwagi na słabe zaangażowanie działaczy OP, pisał raporty i materiały wywiadowcze, przekazując je mjr. Kamińskiemu i organizacji „Nie”.

Gdy z Polski ostatecznie wyjechali Kamiński i Sobociński, Kasznica przejął kierownictwo Komitetu Politycznego OP. Na przełomie 1945 i 1946 r. wszedł wraz

z NSZ w struktury Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW) i wszystko wskazuje na to, że podporządkował NSZ tej organizacji.

Trudy konspiracji przysporzyły Stanisławowi Kasznicy nie lada problemów, zwłaszcza zdrowotnych. Latem 1946 r. trafił do szpitala, gdzie przeszedł operację, co unieruchomiło go na okres trzech miesięcy. Ale nawet wówczas starał się kierować OP ze szpitalnego łóżka. Od połowy 1946 r. zamieszkał w Zakopanem, gdzie kontynuował działalność konspiracyjną.

Tymczasem trwały intensywne poszukiwania Kasznicy przez UB i NKWD, o czym na bieżąco był informowany sam Ławrientij Beria – szef NKWD.

Ostatni etap

Do aresztowania ostatecznie doszło rankiem 15 lutego 1947 r. w Zakopanem. W obecności żony i córki funkcjonariusze UB zaczęli go bić, a następnie rozpoczęli kilkugodzinną rewizję. Został wojskowym samolotem przetransportowany do Warszawy do więzienia przy ul. Rakowieckiej. Wedle relacji współwięźniów z sąsiednich cel Kasznica był nieludzkowo torturowany. Zastosowano wobec niego wielogodzinne przesłuchania, zawsze przy ostrym świetle, a bicie było częścią zmniejszania Kasznicy. Podczas widzenia z bliskimi opowiadał, że często musiał stać lub siedzieć w lodowatej wodzie czy siedzieć na odwróconym stołku. Skutki takiego traktowania skończyły się zapadnięciem na gruźlicę. Współosadzeni zauważyli ogoloną głowę, co było wynikiem wrywania włosów podczas przesłuchań. W celi Kasznicy często umieszczano przestępców, donosicieli i osoby chore psychicznie. Rucie Czaplińskiej opowiadał, że Józef Goldberg-Różański miał mu niejednokrotnie sugerować fałszowanie zeznań za cenę życia. Jednak Kasznica nie uległ namowom, zachowując godną postawę do końca.

Stanisław Kasznica był sądzony w procesie pokazowym wraz z Lechem Neymanem i innymi w dniach 11 lutego – 2 marca 1948 r. Został skazany na karę śmierci, którą wykonano 12 maja 1948 r. o godz. 21.30 w więzieniu przy ul. Rakowieckiej. Został zastrzelony „metodą katyńską” przez dowódcę plutonu egzekucyjnego Piotra Śmietańskiego. Ekshumowano go w 2012 r., a 11 maja 2013 r. został pochowany z najwyższymi honorami. ■

TRAGICZNY ŚLUB W KOŚCIELE ŚW. ALEKSANDRA

BRAK OSTROŻNOŚCI DOPROWADZIŁ DO LIKWIDACJI PRZEZ
NIEMCÓW NAJBARDZIEJ ELITARNEGO I SKUTECZNEGO
ODDZIAŁU W HISTORII POLSKIEGO PODZIEMIA DO 1943 r.



**MARIUSZ
OLCZAK**

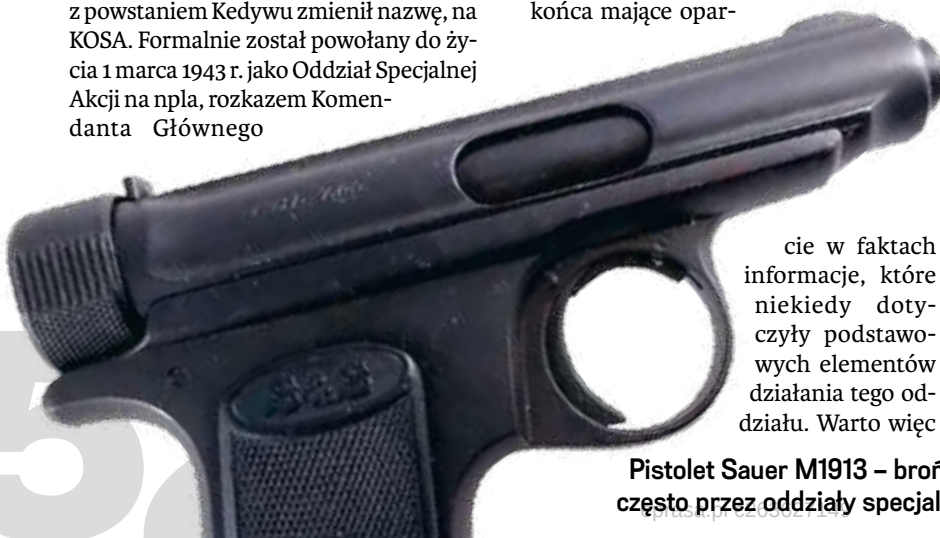
To jedna z największych, jeśli nie największa porażka Kedywu KG AK w okresie wojny. Warto jednak na początku powiedzieć cokolwiek więcej o samym oddziale. Uformował się on z działającego od 1941 r. w strukturach Związku Odwetu oddziału OSA. Skrót ten prof. Tomasz Strzembosz rozwiązywał jako Organizacja Specjalnych Akcji Bojowych. Oddział prowadził akcje likwidacyjne i sabotażowe oraz był podporządkowany komendantowi KG AK. Wraz z powstaniem Kedywu zmienił nazwę, na KOSA. Formalnie został powołany do życia 1 marca 1943 r. jako Oddział Specjalnej Akcji na npla, rozkazem Komendanta Głównego

AK. Trudno jednoznacznie odpowiedzieć, jaki wyraz oznacza dodana litera K. KOSA nie była podporządkowana bezpośrednio komendantowi głównemu AK, ale komendantowi Kedywu KG AK. Głównym jej celem miało być organizowanie i przeprowadzanie, jak to wówczas ujęto, terroru oraz akcji likwidacyjnych w stosunku do Niemców, które zlecone były przez KG AK. Zadania były więc podobne do OSY. O KOSIE i jego żołnierzach wiemy bardzo mało. Pośrednio wynika to z faktu, że w przyjętych metodach pracy i regulaminie sprawy służbowe zdecydowano załatwiać osobiście, zaś w kontaktach pośrednich miano posługiwać się ustnymi zleceniami i pamięcią. Niezbędne zaś dokumenty szyfrowano i starannie ukrywano. W różnych publikacjach podawano więc często nie do końca mające opar-

cie w faktach informacje, które niekiedy dotyczyły podstawowych elementów działania tego oddziału. Warto więc

na podstawie zachowanego, oryginalnego regulaminu wewnętrznego i dokumentów przedstawić choć podstawowe informacje. Sama nazwa oddziału używana w oficjalnych dokumentach brzmiała Kosa lub Kosa 30. Spotkałem także formę Kossa, ale dopisaną w dekretacji przez kogoś z Kedywu KG AK. Oddział składał się z: 1. komendanta, 2. sztabu, 3. oddziałów wykonawczych, które z kolei dzieliły się na dwie części: Kosę krajową – kryptonim „Kra” i Kosę zagraniczną „Zagra” oraz komórki terrorystyczne (dywersyjno-likwidacyjne) przy poszczególnych okręgach AK. KOSA Kra, jak i KOSA Zagra miały swoje komórki w „Linie” (Warszawa) i „Gobelinie” (Kraków). KOSA Kra w „Linie” 5 i w „Gobelinie” 2, zaś KOSA Zagra w „Linie” 1 i tyleż w „Gobelinie”. Komendantem KOSY był płk Józef Franciszek Szajewski „Philips”, który od 1 maja 1942 r. pełnił funkcję komendanta oddziału OSA. Jego pierwszym zastępcą był Zdzisław Pacak-Kuźmierski „Andrzej”, a następnie Jan Papieski „Jerzy”. Drugim zastępcą był szef sztabu oddziału Mieczysław Kudelski „Wiktor”. 5 lipca 1943 r. stan oddziału wynosił ogółem 45 żołnierzy, w tym 8 ze sztabu, 23 z KOSY Kra, 13 z KOSY Zagra. Według innych stanów z 1943 r. liczba ta wahała się pomiędzy 40 a 51 żołnierzy. Budżet oddziału wynosił 170 tys. zł i 10 tys. marek, z czego 107 tys. zł stanowiły wydatki personalne.

Pistolet Sauer M1913 – broń wykorzystywana często przez oddziały specjalne Armii Krajowej



Jedynie silni i twardzi

Rekrutacja do tego oddziału była chyba najbardziej selektywna i staranna spośród rekrutacji do oddziałów dywersyjnych i likwidacyjnych podległych w czasie wojny zarówno Kedywowi, jak i kontrwywiadowi. Jak sami określili: „Nadawać się tu będą jedynie ludzie silni i twardzi, typy ryzykantów, obdarzeni zimnym i jednym umysłem, sprężystą i zdecydowaną wolą, ruchliwi, przedsiębiorczy i sprytni, w stosunku do wroga pozbawieni wszelkich momentów litości i miłosierdzia, karni, bez reszty oddani: służbie, przełożonym i kolegom”. To były nieco inne typy żołnierskie i osobowe niż ci późniejsi wywodzący się z Szarych Szeregów. Nie musieli przechodzić podstawowego szkolenia wojskowego, gdyż takowe już przeszli przed rozpoczęciem wojny oraz, co ważniejsze, ostrzelali się podczas wojny obronnej we wrześniu 1939 r. Zdecydowanie wyeliminowano z naboru jednostki słabe. Nie mogli to być ludzie, jak określono wówczas: „miękczy, chwiejni, nerwowi, lekkomyślni, gadatliwi, wszelkiego rodzaju nałogowcy, moralnie napiętnowani itp.”. Nawet po zwolnieniu do rezerwy lub też wydaleniu obowiązywało żołnierzy KOSY zachowanie tajemnicy, z której nawet po wojnie mogła ich zwolnić tylko KG AK. Żołnierze KOSY mieli być wyposażeni w nóż sprężynowy, kastet i pistolet, a także w granaty, materiał wybuchowy, chemiczny i specjalny. Budżet KOSY zatwierdzał Kedyw KG AK i obejmował zarówno pokrycie wydatków na uzbrojenie i amunicję, jak i etaty, przejazdy, łączność i inne koszty ponoszone w czasie akcji. A akcje oddział wykonywał spektakularne, jak zamachy na niemieckich dworcach w Berlinie i we Wrocławiu oraz próby likwidacji czołowych przedstawicieli niemieckich władz bezpieczeństwa, w tym 20 kwietnia 1943 r. zamach na SS-Obergruppenführera Friedricha Wilhelma Krügera w Krakowie.

Feralny ślub

Te dobrze zapowiadające się działania oddziału przerwał zaplanowany wbrew podstawowym zasadom konspiracyjnym ślub jednego z żołnierzy. Na sobotę, 5 czerwca 1943 r., na godz. 12.00, wyznaczili swoją ceremonię ślubną w kościele św. Aleksandra na pl. Trzech Krzyży w Warszawie były marynarz zatopiony

przez niemieckie samoloty stawiacza min ORP Gryf Mieczysław Uniejewski „Marynarz”, „Matros”, który wówczas był dowódcą jednej z warszawskich komórek KOSY Kra, oraz siostra jego kolegi z oddziału Teofila Suchanek, córka malarza marynisty Antoniego Suchanka (1901–1982). Na ślub zaproszono wielu żołnierzy oddziału zarówno z Warszawy, jak i z Krakowa, co było – co warto ponownie podkreślić – elementarnym złamaniem zasad konspiracji. Nie wiemy do końca, jak mocno zorientowani w tych planach byli dowódcy oddziału i poszczególnych komórek. Wiemy natomiast, że zaraz po rozpoczęciu ceremonii kościół otoczyła niemiecka policja oraz służby bezpieczeństwa, które zablokowały również wyjścia z placu.

Temat aresztowania w czasie ślubu w kościele św. Aleksandra stał się już jednym z klasycznych tematów dyskusji historyków, badaczy, dziennikarzy i pasjonatów historii. Jednym z podstawowych, zadawanych pytań było to, kto zdradził. Wypowiadali się na ten temat sami świadkowie: Aleksander Kunicki, Emil Kumor, Leon Wanat oraz m.in. prof. Tomasz Strzembosz. Według ustaleń Kunickiego wśród aresztowanych w kościele św. Aleksandra zatrzymano samego „Marynarza” wraz z żoną Teofilą Suchanek, Jana Papieskiego „Jerzego”, Władysława Welweta „Misia”, trzech innych o ps. Władek, Mietek i Andrzejek – Pomian, z grupy krakowskiej: Tadeusza Batteka „Górala”, innych o ps. Czesław, Jurek i Niusiek oraz łączniczki Aleksandrę Sokal „Władkę” i inną o ps. Basia.

Dezorientacja

W Warszawie wśród struktur konspiracyjnych zapanowała dezorientacja, nie wiadomo dokładnie, co się stało. Posiadano informacje o ślubie i zatrzymaniu zgromadzonych tam osób, jednak były zasadnicze różnice odnośnie do liczby aresztowanych, związków z konspiracją i przyczyn aresztowania. Wywiadowca „Gotlieb”, pracujący dla kontrwywiadu

Obszaru Warszawskiego AK, podawał: „Rzekomo w tym wypadku miała miejsce wyspa przez jakąś kobietę, która zameldowała w Gestapo, że na ślubie będzie dużo osób z organizacji”. Inny informował, że „w kościele odprawiane było nabożeństwo w związku ze świętem jednego pułku podziemnego wojska polskiego”. Kolejny twierdził, że „aresztowano w kościele św. Aleksandra p. Raczynskiego (krewnego ambasadora) podczas ślubu z neofitką. Niemcy twierdzą, że to był wybitny aktywista.

O jakimkolwiek zaangażowaniu p. P. w pracy konspiracyjnej nic nie wiadomo. Razem z nim aresztowano także dwie osoby z delegatury, które były świadkami pana Młodego. Ich nazwisk jeszcze nie wiadomo”. Jak widać, rozbieżności były dość duże, co – biorąc pod uwagę ówczesne warunki i trudności w zdobywaniu informacji – było dość typowe.

Dochodzenie

Co istotne, czerwiec 1943 r. był to tragiczny czas nie tylko dla samej AK. Bo w 19 czerwca zmarł zakażony przez Niemców na Szucha Delegat Rządu RP Jan Piekałkiewicz, 30 czerwca aresztowano Stefana Roweckiego „Grotę”, a 4 lipca 1943 r. w Gibraltarze zginął gen. Władysław Sikorski. Te fakty wyostrzyły dyscyplinę i z pewnością miały wpływ na prowadzenie kontrwywiadowczych śledztw oraz podejmowanych decyzji. Obawiano się zdrajców i dalszych wysp w strukturach. Śledztwo w ramach KOSY prowadził Aleksander Kunicki „Rayski”, który swoje ustalenia przedstawił szefowi Sztabu Kedywu KG AK Bolesławowi Janaszkowi „Bolkowi” w obszernym meldunku z 21 sierpnia 1943 r. Czterostronicowy meldunek nie był cytowany w dotychczas przeprowadzanych analizach dotyczących akcji. Potwierdza rolę Kunickiego w dochodzeniu. W preambule bowiem „Rayski” przyznał, że otrzymał polecenie przeprowadzenia śledztwa w sprawie wyspy w Kosie 30. Zwróćmy uwagę, że mimo iż Kunicki był szefem >>



Aleksander
Kunicki
ps. Rayski

» wywiadu KOSY, to nie miał dostępu do danych personalnych jej żołnierzy. Znał je i to tylko częściowo w postaci pseudonimów. Co ciekawe, meldunek datowany jest dopiero na 21 sierpnia 1943 r. Najważniejsze jednak, że Kunicki przekazał w nim informację zdobyte od jednego z aresztowanych w kościele, a następnie po ośmiu tygodniach wypuszczonego. Były to informacje o przybyłej na Pawiak w towarzystwie gestapowców kobiecie, która jeszcze w dniu aresztowania, tj. 5 czerwca 1943 r., w godzinach późnopołudniowych miała na zapytanie funkcjonariuszy gestapo wskazywać spośród wszystkich zatrzymanych w kościele św. Aleksandra wybrane osoby – najpierw czterech mężczyzn, a następnie dodatkowo trzech. Później wskazała na kobiety. Ich wszystkich wyodrębniono z grupy aresztowanych. Kunicki podał również jej rysopis: „Kobieta lat około 30, wzrostu średniego, miała być blondynką, dość zgrabną, o twarzy pulchnej, w jasnym płaszczu”. Nie zdołał ustalić jej personaliów – ale jak przekazał – na Pawiaku mówiono, że jest to była narzeczona „Marynarza”. Śledztwo prowadzone przez Kunickiego poszło w kierunku kobiet, z którymi miał styczność sam „Marynarz”. Widocznie w tym upatrywał on przyczyny wyspy w kościele św. Aleksandra. Meldował, że będzie rozpracowywał kobietę, która w czasie przebywania „Marynarza” w obozie jenieckim wysyłała mu paczki żywnościowe oraz listy. Podobnie miał zdobyć dane o mężatce w wieku lat 35, szczupłej i niskiej, u której „Marynarz” mieszkał po przyjeździe do Warszawy z obozu. Pisał, że „Marynarz” przed ślubem z Suchankówną był zaręczony z Marią Babińską, z którą planowany był ślub w czasie Wielkanocy 1943 r. Meldował, co dodatkowo komplikowało sytuację, że rodzina Suchanków mieszkała u Babińskiej, u której zimą 1942/1943 r. zamieszkał również „Marynarz”, gdzie też poznał swoją przyszłą żonę. Mimo zerwania zaręczenia z Babińską Suchankowie nadal u niej mieszkali. Kunicki wskazywał, że Babińska cieszyła się dobrą opinią i – według relacji osób dobrze ją znających – nie wyspałaby „Marynarza”. Kunicki podawał rysopis Babińskiej: wzrost średni, przystojna, zgrabna, elegancka, twarz okrągła, brunetka, lat ponad 20. Meldunek zakończył „Rayski” natomiast ważnym zdaniem: „Wiktor” (szef sztabu „Kosy”) oraz pracownik] ps. „Hel” zostali w czasie kontaktu dnia 12/VII 43 około g. 18 aresz-

towani w okolicy Kruczej i Nowogrodzkiej.” „Rayski” nie wskazał w meldunku bezpośredniego sprawcy wyspy, podobnie jak nie podzielił się wiadomościami z meldunku później w swoich wspomnieniach. Trudno rozsądzić, dlaczego tak się stało. Czy 21 sierpnia 1943 r. nie dysponował jeszcze tymi informacjami i czy jeszcze wówczas nie miał „Hala” na kontakcie, a do zlikwidowania tego ostatniego doszło już po wystaniu meldunku? Brak jest również zachowanych dalszych meldunków dotyczących śledztwa prowadzonego w Kedywie KG AK.

SPRAWĘ JASTERA NAZWANO NAWET W TOKU DYSKUSJI NAJWIĘKSZĄ ZAGADKĄ CZY TEŻ POMYŁKĄ POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO, CO UWAŻAM ZA DUŻĄ PRZESADĘ

Sprawa Jastera

W każdym razie Kunicki w swoich wspomnieniach „Cichy front” w rozdziale zatytułowanym „Zdrajca” jednoznacznie wskazał na Stanisława Jastera jako tego, który wyspał zarówno uczestników ślubu w kościele św. Aleksandra, jak i później próbującego odbudować oddział Mieczysława Kudelskiego „Wiktora”. W przypadku Stanisława Jastera trudno dziś o nową analizę sprawy jego śmierci. Mimo nowych ciekawych publikacji, filmów dokumentalnych nie pojawiły się nieznanne wcześniej źródła, które mogłyby jednoznacznie wskazać na okoliczności jego śmierci, jak i dać odpowiedź na pytanie, czy został niesłusznie oskarżony o zdradę. Nie znajdujemy w dokumentach z okresu wojny odpowiedzi na pod-

stawowe pytania dotyczące tej sprawy. Nie ma akt śledztwa, nie ma rozkazu wykonania wyroku. Nie wiemy, kiedy dokładnie, w jaki sposób i gdzie został zlikwidowany. Najważniejsze informacje posiadamy z powojennych relacji i publikacji. W jego obronie stanęli już po wojnie żołnierze „Parasola” Janusz Kwiatkowski i Wiesław Raciborski oraz w 2014 r. Daria Czarnecka. Sprawę Jastera nazwano nawet w toku dyskusji największą zagadką czy też pomyłką Polskiego Państwa Podziemnego, co uważam za dużą przesadę.

Skutki

Najważniejsze, że dowództwo AK wyciągnęło wnioski z tej ewidentnej wpadki. Jeszcze przed swoim aresztowaniem Stefan Rowecki wydał opublikowany przez KG AK 1 lipca 1943 r. rozkaz nr 712/I, który zaczynał się od słów bezpośrednio odnoszących się do zdarzeń w kościele św. Aleksandra: „Zdarzają się wypadki, że żołnierze PZP, obchodzą uroczystości rodzinne – własne, przyjaciół lub znajomych, w licznym gronie zaproszonych gości. Inicjatorzy tych uroczystości lekceważą warunki bezpieczeństwa osobistego i zbiorowego. Nie zdają sobie sprawy z tragicznych skutków, jakie pociągają za sobą liczne zebrania, urządzone w czasach obecnych”. I dalej: „Zakazuję – bez dopuszczenia wyjątków – urządzania lub brania udziału w zebraniach rodzinnych i towarzyskich z okazji: urodzin, chrztów, zaręczyn, ślubów, pogrzebów, imienin, świąt i to zarówno w domach prywatnych, jak i miejscach publicznych”.

Co ważniejsze, zdecydowano, że oddziałem, który zostanie sformowany na nowo, pokieruje dowódca gwarantujący dyscyplinę Adam Borys „Pług”, cichociemny, znający Warszawę, ale pochodzący z Wielkopolski i – co ważne – o kilka lat starszy od swoich podkomendnych. Trzymającemu w oddziale twardą dyscyplinę pozwalało to zapanować nad gorącymi niekiedy głowami młodych podkomendnych. Do pomocy dostał szefa wywiadu OSY-KOSY Aleksandra Kunickiego „Rayskiego”, która to nominacja pokazuje, że dowództwo Kedywu KG AK miało do niego zaufanie. Tak narodził się oddział o kryptonimie AGAT, później używający kryptonimu PEGAZ, a następnie najbardziej znany pod kryptonimem PARASOL. Zapisał się on jako jeden z najlepszych oddziałów dywersyjnych w historii okupowanej Europy. ■

„Z DUBELTÓWKĄ W JEDNEJ,

A LEGITYMACJĄ PARTYJNĄ W DRUGIEJ RĘCE”

SPRAWA KARNA PROKURATORA WITOLDA ROZWENSA (1978–1980)

W SIERPNIU 1978 r. W MIEJSCOWOŚCI SZADEK (WOJ. BIALSKOPODLASKIE)
WYSOKI RANGĄ FUNKCJONARIUSZ PROKURATURY GENERALNEJ
W WARSZAWIE, ZAWODOWY OFICER LUDOWEGO WOJSKA
POLSKIEGO, ŚMIERTELNIE POSTRZELIŁ TRZYLETNIE DZIECKO



**ELŻBIETA
ROMANOWSKA**

Instytut Pamięci
Narodowej w Warszawie

Witold Rozwens urodził się 22 marca 1931 r. w Pabianicach. Już 22 marca 1947 r. jako 16-letni chłopiec, uczeń

Gimnazjum Ogólnokształcącego w Pabianicach, wstąpił do Związku Walki Młodych. W 1948 r. był już kandydatem na członka partii komunistycznej (jeszcze PPR). Rok później, 28 sierpnia 1949 r., dostał się do Oficerskiej Szkoły Prawniczej w Jeleniej Górze, którą ukończył w lutym 1951 r. w stop-

niu podporucznika. Wybrał on drogę zawodowego wojskowego i, jak się okazało, wybrał dobrze: „klasowo blisko”, ideowo lojalny, pracowity i zdolny – takie przymiotniki padają w jego aktach osobowych. W latach 1951–1973 Rozwens pracował w organach prokuratury wojskowej. W 1959 r. ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. 10 lat później, w 1969 r., otrzymał stopień pułkownika i w tym samym roku Rada Państwa powołała go na stanowisko prokuratora Oddziału I Organizacyjno-Inspektorskiego Naczelnej Prokuratury Wojskowej. 24 czerwca 1970 r. pełnił już obowiązki szefa tego Oddziału. 1 marca 1972 r. prokuratorem generalnym został Lucjan Czubieński, który rok później powołał Rozwensa na stanowisko prokuratora prokuratury generalnej, a następnie powierzył mu

pełnienie funkcji szefa swego gabinetu. Rozwens miał wspaniałe oceny, w opinii służbowej wychwalano jego „zdolności organizatorskie oraz umiejętność politycznego podejścia do stawianych przed nim zadań”, postrzegano go jako „pryncypialnego w podejmowaniu decyzji”, podkreślano, że jest „aktywnym działaczem partyjnym i społecznym”.

Jako pryncypialny komunista w 1976 r. w „Dzienniku Telewizyjnym” udzielił głośnego wywiadu, w którym więzionych uczestników robotniczych protestów nazwał „pospolitymi przestępcami”, a zamordowanego w Krakowie studenta Stanisława Pyjasa usiłował przedstawić jako ofiarę porachunków kryminalnych. W 1978 r. Rozwens został dyrektorem Departamentu Profilaktyki w Prokuraturze Generalnej PRL. Funkcję tę pełnił do 18 sierpnia 1978 r.

»

Polowanie „wyższego przeznaczenia”

W okresie od 5 do 11 sierpnia 1978 r. prokurator Rozwens wraz z partnerką przebywał na urlopie wypoczynkowym w gajówce Szadek w okolicach Białej Podlaskiej. Przyjechał na polowanie na zaproszenie Koła Łowieckiego „Akteon”. Następnego dnia odstrzelił w swoim obwodzie łowieckim kozła, z którego zdjął skórę i oddzielił głowę z porożem w celu zachowania jako trofeum i przedstawienia władzom Polskiego Związku Łowieckiego do oceny. Skórę i czaszkę kozła wraz z porożem po wstępnym spreparowaniu umieścił na podwórzu gajówki. 11 sierpnia 1978 r. ok. godz. 21.00 wyszedł z pomieszczeń gajówki i stwierdził, że na stole stojącym na podwórzu nie ma czaszki kozła łącznie z porożem. Fakt ten wzmocnił u prokuratora przekonanie, że czaszkę zabrał pies, wobec czego postanowił psa lub psy przychodzące na teren posesji zastrzelić. Spodziewając się napotkania psów, załadował swoją strzelbę dwoma nabojami śrutowymi, położył na krześle, a obok rozpoczął rozpalać ognisko. W tym czasie usłyszał dochodzące od bramy wjazdowej na teren gajówki szczekanie co najmniej dwóch psów. Kiedy spojrzał w tym kierunku, zobaczył stojącego psa. Wówczas wziął z krzesła strzelbę, wymierzył do psa i oddał strzał. Po strzale pies wydał skowyt i uskokzył w bok od bramy w kierunku krzaków. Za uciekającym psem Rozwens oddał drugi strzał następnie rozładował strzelbę, wyrzucił łuski i wszedł do wnętrza gajówki, aby zapalić światło na zewnątrz budynku. Po wykonaniu tej czynności udał się na miejsce, w którym według jego przekonania znajdował się pies w czasie oddania do niego strzałów i tam pod krzakiem znalazł leżące dziecko. Rozwens przeniósł niezwłocznie dziecko do samochodu osobowego, stojącego na terenie gajówki, do którego przyszła jego partnerka jako kierowca, a następnie ojciec dziecka. Wszyscy wymienieni pojechali do szpitala w Białej Podlaskiej. Na pomoc było jednak już za późno.

Rozwens był prawnikiem, wiedział, że jeżeli zostanie peczęniem przestępstwa umyślnego – w przypadku udowodnienia mu winy – może skutkować skazaniem na czas nie krótszy od 3 lat, na kary dodatkowe oraz środki zabezpieczające.

O zaistniałym zdarzeniu powiadomiono prokuraturę generalną oraz wojewódzką w Białej Podlaskiej.

W obronie niepraworządności

Śledztwo przeciwko Rozwensowi zostało wszczęte 12 sierpnia 1978 r. przez prokuratora Zbigniewa Kałużę z Departamentu Postępowania Karnego Prokuratury Generalnej w Warszawie. Nadzór nad śledztwem sprawował prokurator generalny oraz Wydział Administracyjny PZPR z kierownikiem Teodorem

SĘDZIOWIE SĄDU NAJWYŻSZEGO PODKREŚLILI, ŻE UNIEWINNIE PROKURATORA ROZWENSA BĘDZIE STANOWIĆ DLA POKRZYWDZONYCH RODZICÓW DZIECKA „PEWNE ZADOŚĆUCZYNIENIE”

Palimająką na czele. Sprawa Rozwensa była od początku objęta nadzorem służbowym prokuratury generalnej, który polegał na zapewnieniu dopływu systematycznych informacji pisemnych lub telefonicznych o przebiegu i wynikach toczącego się śledztwa.

Bardzo ważną rolę w postępowaniu karnym odgrywał zgromadzony materiał dowodowy. „Przed wyjazdem na miejsce zdarzenia wezwałem do lokalu Prokuratury lekarza z Pogotowia Ratunkowego, który pobrał krew od dyrektora Rozwensa celem zbadania na zawartość alkoholu. Fiolkę z pobraną krwią i wypełnionym protokołem przekazałem przybyłemu nocą do Prokuratury Wojewódzkiej w Białej Podlaskiej dyrektorowi Departamentu II tow. Ludomirowi Andersowi” – informował prokurator

Puszkarski. Prokuratura generalna doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że ten kluczowy dowód w sprawie stanowić będzie główną podstawę oskarżenia. Jak się później okazało, wynik badania laboratoryjnego przeprowadzonego w Zakładzie Medycyny Sądowej w Warszawie na zawartość alkoholu we krwi u Rozwensa był zerowy. Natomiast protokoły przesłuchania świadków wskazują wyraźnie, że przy zabezpieczeniu materiału dowodowego i jego analizie mogło dojść do nieprawidłowości. Tak 12 sierpnia 1978 r. zeznawała partnerka Rozwensa, która została pouczone o odpowiedzialności karnej za złożenie fałszywych zeznań: „W tej leśniczówce tj. (10 sierpnia 1978 r.) w godzinach wieczornych spożyliśmy kolację. [...] W trakcie tej kolacji piliśmy również koniak [...], który posiadaliśmy w leśniczówce. Ponadto przy tej kolacji pan Karol B. – [pracownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych] również pił wódkę [...], którą także częstował i pozostałe osoby. [...] Następnego dnia około godziny 11 przyjechał do nas do leśniczówki prokurator wojewódzki z Białej Podlaskiej i jego zastępca. [...] Ponieważ na stole znajdował się pozostały po kolacji dnia poprzedniego koniak [...], zdecydowaliśmy się do śniadania wypić po kieliszku! Po spożyciu takiej [...] ilości koniaku jeden z przybyłych prokuratorów, postawił na stole kwadratową butelkę z zielonego szkła z polskim winiakiem. [...] Winiak ten został nalany [...] do kieliszków wszystkich osób. Wydaje mi się, że później dolewano tego winiaku jeszcze do kieliszków. [...] Około godziny 16.00 [...] wypito chyba tylko jedną butelkę piwa [...]”. Picie alkoholu u Rozwensa potwierdzają również inni świadkowie. Prokurator Rozwens został przesłuchany 17 sierpnia 1978 r., a więc sześć dni po zdarzeniu. Zdążył już usystematyzować swoje zeznania. Podkreślał, że w chwili popełnienia czynu był trzeźwy.

Podstawowym problemem wymagającym rozstrzygnięcia był zakres odpowiedzialności Rozwensa, a mianowicie czy powinien on odpowiadać za zabójstwo umyślne z zamiarem ewentualnym, jak wnioskował pełnomocnik rodziców śmiertelnie postrzelonego Mariusza Chacewicza, adwokat Witold Lis-Olszewski, czy – jak żądała prokuratura generalna – za zabójstwo nieumyślne. Prokuratura dążyła, aby Rozwens nie został ukarany, a sprawa nie nabrała rozgłosu i nie przedostała się do opinii publicznej.

Początkowo nawet planowano rozpoznać sprawę w Warszawie. Dlatego już 9 września 1978 r. prokurator Kałuża, zapewne na polecenie swoich przełożonych, wydał postanowienie o zamknięciu śledztwa. „Gdzie odbędzie się sprawa, [przed] chwilą mówiono mi, że w Warszawie, a przepisy prawa mówią, że sprawa winna być rozpatrywana na terenie tym, gdzie zaistniało przestępstwo” – pytał w skardze skierowanej do Biura Politycznego KC PZPR 26 września 1978 r. Zygmunt Chacewicz, ojciec śmiertelnie postrzelonego chłopca.

Wyrok

Zebrany w sprawie Rozwensa materiał dowodowy całkowicie potwierdzał jego winę. Z protokołu oględzin wynika, że zdarzenie miało miejsce poza terenem łowieckim, na polanie. Mieścił się tam też drugi dom, który zamieszkiwał Zygmunt Chacewicz wraz z żoną i trójką małych dzieci. Zatem strzelając do psa, Rozwens nie mógł wiedzieć, że pies lub psy są bez człowieka, strzelał w ciemności bez rozpoznania celu, w kierunku drogi publicznej, na której mogli znajdować się też ludzie. Jeżeli w tych okolicznościach zdecydował się strzelać, wykazał rażącą lekkomyślność i brak zdrowego rozsądku, co nie stanowiło okoliczności łagodzącej. Dlatego zebrane w tej sprawie dowody nie pozwoliły na odparcie zarzutów przeciwko podejrzanemu. Wniesienie aktu oskarżenia do Sądu Rejonowego w Białej Podlaskiej uznano za słuszne.

31 października 1978 r. przed Sądem Rejonowym w Białej Podlaskiej stanął 47-letni prokurator Witold Rozwens. Po odczytaniu aktu oskarżenia Rozwens przyznał się do winy i oświadczył, że chce złożyć wyjaśnienia. Podejmuje procesową walkę, nie tylko o wymiar kary, lecz także o godność zawodową, którą – jak informował z patosem – cenił sobie najwyżej: „Ja w swoich zawodach nie pracuję dwa miesiące. To jest śmierć przed skonaniem. Proszę o pełne zrozumienie. Przyjęcie do rozumu, jeśli do serc to nie trafia, że ta tragedia ma swoje złożone oblicza”. Podkreślił, że w chwili popełnienia czynu był trzeźwy. Żalił się, że został zwolniony z organów prokuratury w trybie art. 13 jako ten, który nie daje rękojmi należytego wykonywania obowiązków prokuratora. „Nie znam przykładu, aby w ten sposób zwolniono człowieka, którego spotkała tragedia” – tu Rozwens miał na

myśli własną złamaną karierę zawodową. Zwolniono go z wojska, jak twierdził, po 30 latach służby. „Odszedłem gorzej niż prosty szeregowiec”. Przypomniął, że wiernie służył partii komunistycznej „Przez 32 lata nie otrzymałem w partii żadnego upomnienia, a teraz otrzymałem najwyższą karę, jaką członek może otrzymać poza wykluczeniem – naganę z ostrzeżeniem”. Na zakończenie powiedział, że chciałby ocalić twarz zwykłego człowieka. „Chciałbym, aby wierono, że jestem człowiekiem uczciwym”.

Prawo pozwala na łagodne potraktowanie oskarżonego „w związku z okolicznościami sprawy”. Adwokat Lis-ttOlszewski wykazał, że oskarżony w całym swoim postępowaniu stawiał się ponad prawem, uznając za swój przywilej bezmyślne lekceważenie podstawowych przepisów prawa, o czym doskonale wiedziała prokuratura. Zakwestionował też wyjaśnienie oskarżonego, iż w czasie popełnienia przestępstwa był trzeźwy. Protokoły przesłuchań świadków wyraźnie świadczyły, że Rozwens nie tylko sam pił alkohol, lecz także częstował nim podległych sobie służbowo prokuratorów, będących w tym czasie na służbie. Adwokat zwrócił uwagę, że Rozwens jako doświadczony myśliwy nie trafił z kilkunastu metrów do dużego psa. Być może zaistniały u niego czynniki ograniczające możliwość obiektywnej oceny sytuacji.

Sąd Rejonowy w Białej Podlaskiej skazał Rozwensa na trzy lata pozbawienia wolności i zasądził od oskarżonego na rzecz Skarbu Państwa 4,2 tys. zł opłaty sądowej oraz koszty postępowania w sprawie. W uzasadnieniu sąd stwierdził, że „działanie oskarżonego było lekkomyślne. Jeśli uwzględnimy stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu oskarżonego [...], jaką jest życie ludzkie, a w szczególności życie dziecka, oraz stopień wykazanej in concreto lekkomyślności zaostrzonej, tym, że od oskarżonego jako prawnika należałoby wymagać większej niż przeciętnej staranności i obowiązku przewidywania”. Zdaniem sądu orzeczonej karą była „odpowiednią mimo nienagannego dotychczas trybu życia oraz położonych w pracy społeczno-politycznej i zawodowej zasług”.

Od wyroku sądu adwokat Rozwensa, Władysław Pocię, złożył rewizję z wnioskiem o zmianę zaskarżonego wyroku i uniewinnienie oskarżonego od stawianego mu zarzutu, ewentualnie o zmianę zaskarżonego wyroku w części doty-

czącej kary przez jej wydatne złagodzenie przy jednoczesnym warunkowym zawieszeniu wykonania orzeczonej kary pozbawienia wolności. 14 lutego 1979 r. Sąd Wojewódzki w Białej Podlaskiej z tymczasową siedzibą w Radzyniu Podlaskim orzeczoną wobec Rozwensa karę pozbawienia wolności warunkowo zawiesił na okres czterech lat oraz obok kary pozbawienia wolności orzekł karę grzywny w wysokości 30 tys. zł.

Zabrakło odwagi

Zapewne pod wpływem opinii publicznej, która w sprawie Rozwensa zarzucała, „iż polski system prawny tradycyjnie broni swoich ludzi”, prokurator generalny Lucjan Czubski złożył rewizję nadzwyczajną od wyroku sądu wojewódzkiego na niekorzyść prokuratora Rozwensa. W ten sposób usiłował ukazać obiektywizm prokuratury PRL. Jednak Sąd Najwyższy wyrokiem z dnia 10 listopada 1979 r. nie uwzględnił rewizji. W uzasadnieniu wskazał, że uniewinnienie Rozwensa ma również aspekt psychologiczny. „Chodzi tu o wpływ jaki orzeczonej karze powinna wywrzeć w kierunku ugruntowania w społeczeństwie prawidłowych ocen prawnych i stosownego do tych ocen postępowania, o potwierdzenie przekonania, że w walce z przestępczością zwycięża praworządność, a sprawcy są sprawiedliwie karani” – tłumaczyli sędziowie Sądu Najwyższego. Podkreślono również, że uniewinnienie prokuratora Rozwensa będzie stanowić dla pokrzywdzonych rodziców dziecka „pewne zadośćuczynienie”. 4 października 1978 r. Rozwens przekazał rodzicom tragicznie zmarłego Mariusza Chacewicza 10 tys. zł z przeznaczeniem na nagrobek dla ich syna.

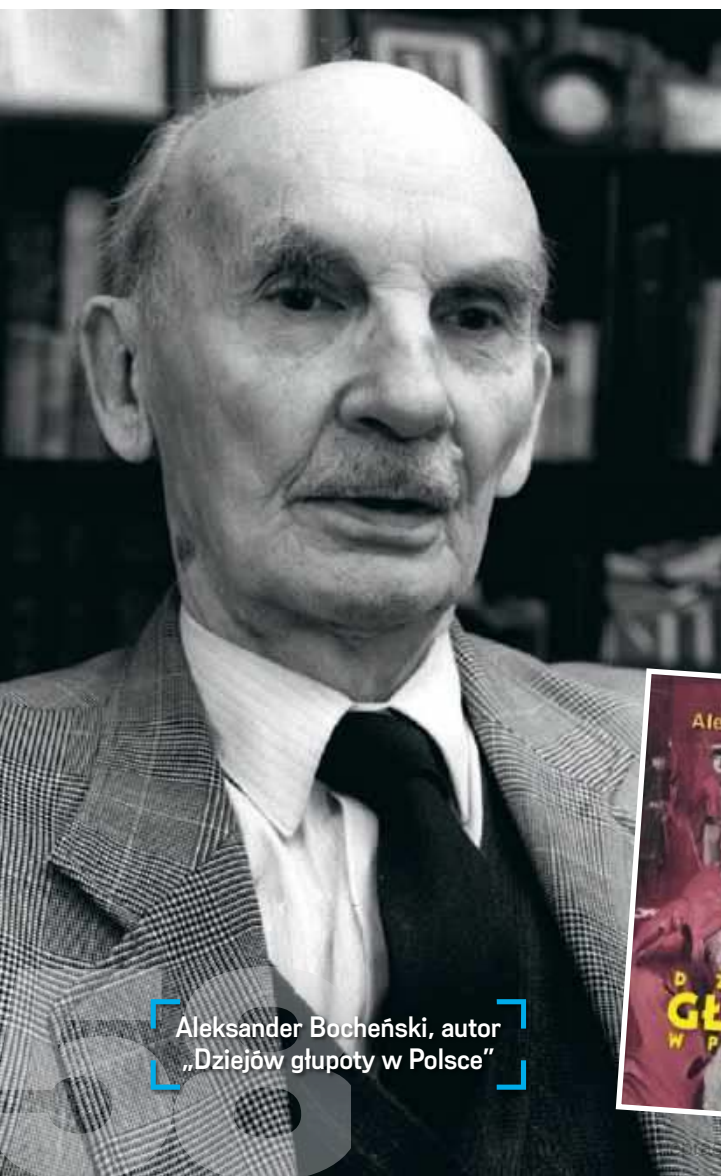
* * *

Powołana w 1950 r. instytucja do przestrzegania prawa w Polsce, prokuratura PRL, stała ponad prawem. W latach 1950-1989 prokuratura nie wywiązywała się bowiem ze stawianych przed nią zadań strzeżenia praworządności. Obowiązująca w jej działaniu zasada hierarchicznego podporządkowania przekształcona została w praktyce w regułę całkowitej i bezkrytycznej dyspozycyjności podwładnych wobec przełożonych. Spowodowało to specyficzne „ubezwłasnowolnienie prokuratorów” i prokuratury PRL jako całości.

POZORNA ZGODA

REALIZMY POLITYCZNE ŚRODOWISK KATOLICKICH MIĘDZY 1945 A 1948 r.

TRADYCJA REALIZMU POLITYCZNEGO PRZEŻYWAŁA W POLSCE
RENESANS W NASTĘPSTWIE WIELKICH NARODOWYCH KLĘSK.
SZCZEGÓLNICIE UPADKU POWSTAŃ NARODOWYCH, KTÓRE W XIX w.
WIĄZAŁY SIĘ Z KOLEJNYMI FALAMI PRZEŚLADOWAŃ I REPRESJI



Aleksander Bocheński, autor
„Dziejów głupoty w Polsce”



PRZEMYSŁAW
PAZIK

Wieloletnie więzienie, zsyłki, konfiskata majątku prowadziły do dalszego osłabienia wykrwawionej walkami powstańcami tej części narodu, która aktywnie zabiegała o odbudowę państwa polskiego. Podobnie było i po 1945 r., kiedy to łamy prasy katolickiej wypełniła dyskusja na temat tego, czym powinien być polski realizm.

W cieniu Jałty

Dyskusję otworzył Ksawery Pruszyński, wydając książkę o margrabim Wielopolskim (w Polsce ukazała się ona w 1946 r., wcześniej jednak, w 1944 r., pojawiło się wydanie londyńskie). Pruszyński stawiał sobie za cel „przemalowanie galerii narodowych wielkości”, przeciwstawiając jej wzorzec polityka pragmatycznego i – co szczególnie istotne – zorientowanego na Rosję.

Entuzjastycznie na publikację zareagował Antoni Gołubiew, pisząc o powstaniu warszawskim jako kulminacji XIX-wiecznej tradycji insurekcyjnej. Upadek zarówno zrywu, jak i całej tradycji odpowiadał za próżnię ideową oraz polityczną w kraju, ale jednocześnie silnie zjednoczył naród. W tej sytuacji Polacy powinni poszukać nowych tradycji politycznych. „Chodzi o zdanie sobie sprawy z konieczności szukania takich rozwiązań, które by były dla narodu najmniej kosztowne, a najbardziej korzystne. Na tym polega ów – przez wielu tak bardzo pogar-



dzany i piętnowany – realizm polityczny” – przekonywał publicysta na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

Stefan Kisielewski, włączając się w tę dyskusję, apelował: „Dziś jak nigdy potrzebujemy politycznego realizmu, ale zharmonizowanego z dążeniami społeczeństwa, z tego społeczeństwa bezpośrednio wyrastającego. Realizmu, który chcąc dobra narodu, nie byłby przez naród dezawuowany”.

Kisiel konfrontował dwie postawy: patriotyzm realistyczny, wywodzony z myśli Bobrzyńskiego, Studnickiego, a zwłaszcza Dmowskiego, i patriotyzm powstańczy jako odruch psychologiczny, który opanował latem 1944 r. społeczeństwo Warszawy. Stało się tak dlatego, że społeczeństwo pozbawiono rzetelnej informacji o rzeczywistym stosunku sił i koniunkturze politycznej. Kisielewski

Częściową krytykę tez zawartych w zbiorze esejów przedstawił Antoni Gołubiew. Wskazywał on – podobnie jak Hanna Malewska – że Bocheński myśli w kategoriach minionej epoki. W obliczu okrucieństwa II wojny światowej – przekonywał autor „Bolesława Chrobrego” – konieczne jest wprowadzenie globalnie obowiązujących norm. Jednocześnie recenzent wspierał Bocheńskiego w jego pracy odbarczania historiografii, która zbyt często „wzniosła miała za dobre”.

Rzecznikami realizmu politycznego był przede wszystkim Aleksander Bocheński i wtórujący mu Wojciech Kętrzyński oraz Stefan Kisielewski i Hanna Malewska. Tym drugim blizszy był realizm całkowicie pozbawiony heroicznego elementu. Co szczególnie warto podkreślić, debata o realizmie jest przypadkiem szczególnej rotacji autorów. Kętrzyński czy Bocheński – kojarzeni z zespołem „Dziś i Jutro” – teksty o realizmie publikowali w „Tygodniku Powszechnym”; Kisielewski i Malewska, związani ze środowiskiem krakowskim, gościli na łamach chadeckiego „Tygodnika Warszawskiego”.



liczył na to, że dyskusja powojenna doprowadzi do syntezy „pomiędzy Trauguttem a Wielopolskim, [...] Piłsudskim a Dmowskim”.

Rozbudowaną argumentację na rzecz realizmu dał Aleksander Bocheński w „Dziejach głupoty w Polsce” wydanej w 1947 r. Krytykując naiwność historyków wcześniejszych epok, autor chciał wpłynąć na sposób myślenia o polityce. Bocheński aluzyjnie dawał do zrozumienia, że aktualne położenie Polski jest jego zdaniem podobne do tego z początku XVIII w.: „Istnieją koniunktury geopolityczne, w których naród i jego przywódcy mają do wyboru: utratę samodzielności drogą związku z innym organizmem państwowym, w którym mogliby odgrywać rolę i rozwijać siły – z jednej strony – i odrzucenie wszelkiej innej koncepcji jak tylko mocarstwowości z drugiej strony”.

Realizm

postępowy i jego krytycy

Entuzjazm wokół realizmu katolików zamierzał wykorzystać Bolesław Piasecki. Lider środowiska „Dziś i Jutro” zaproponował koncepcję realizmu odważnego i zaangażowanego. Miał on kontrastować z realizmem opartym na przekonaniu o konieczności wycofania się katolików z polityki. Piasecki dowodził: „Z polityki realistycznej uczyniono linię pełną rezygnacji, zgadzania się z silniejszym



Stefan Kisielewski, 1962 r.

i niewiary w [...] przyszłość [...], któż bowiem przy takich określeniach chciałby być politycznym realistą. [...] Polityka realistyczna wymaga, aby skutki własnej działalności politycznej istotnie służyły celom narodowym czy społecznym [...]. Polityka realistyczna wymaga myślenia, intuicji oraz świadomości, czemu i komu służy się własną działalnością. [...] Określenie realistyczne zawsze będzie stanowić najwyższą pochwałę dla prawdziwie wielkiej, skutecznej linii politycznej”.

Realizm Piaseckiego wykraczał poza ramy dotychczasowej dyskusji publicystów, koncentrującej się do tego momentu wokół problemu przeprowadzenia klęski i ostrzegania przed zgubnymi skutkami łatwego szafowania krwią Polaków. Realizm polityczny zaproponowany przez lidera grupy „Dziś i Jutro” polegał na podporządkowaniu >>

>> linii politycznej środowiska jednemu celowi – osiągnięciu maksymalnego wpływu na kształt „rewolucji polskiej”. Prowadziło to do popierania rozwiązań, które stały w sprzeczności z nauczaniem Kościoła.

Upolitycznienie kwestii realizmu ściągnęło na promotorów tego pojęcia krytykę. Ks. Jan Piwowarczyk, jeden z czołowych publicystów „Tygodnika Powszechnego”, przed zamknięciem pisma w 1953 r. pisał: „Ostatni krzyk mody stanowi dziś mówienie o »realizmie politycznym«. A mówią o nim i tym terminem posługują się pisarze tak marksistowscy, jak i katoliccy, nie zawsze przestrzegając granic, które wykreśla moralność chrześcijańska. To sprowadza zamieszanie pojęć”. Realizm, tłumaczył duchowny, jest dopuszczalny tylko wtedy, gdy bierze pod uwagę prymat prawa naturalnego i objawionego.

W krytyce jeszcze dalej poszedł Jerzy Braun, identyfikując realizm Piaseckiego jako „apoteozę Hachy, potępienie heroizmu i romantyzmu”. Pisząc o książce Bocheńskiego, Braun zarzucał posłowi na Sejm, że „potępia samą ideę przewodnią naszych dziejów, zarzuca Polsce, że uwierzyła w mit wolności, honoru i moralności chrześcijańskiej, podczas gdy w polityce panuje i zawsze panować będzie prawo dżungli, idea potęgi i przemocy, zasada siły”.

Z kolei Wiesław Chrzanowski zwracał uwagę, że źle rozumiany realizm prowadzi do zerwania więzi ze społeczeństwem w imię realizowania abstrakcyjnej i bezosobowej racji stanu. Publicysta przekonywał: „Atrakcyjne i schematyczne sformułowanie »racja stanu« służy do dalszych, abstrakcyjnych, logicznych operacji, których wyniki zwie się realizmem. Jest to specyficzny przykład ucieczki od życia, od nierozwikłanych problemów rzeczywistości”. Chrzanowski widział istotę problemu w tym, że tzw. realistyczna postawa zrywała więzi społeczne między elitami a resztą społeczeństwa. „Przedmiotem polityki, działalności społecznej, o ile nie jest nihilistyczną grą ambicji i walką o władzę, jest w ostateczności wychowanie, kształtowanie postawy społeczeństwa”. Realisci zdaniem Chrzanowskiego nie chcieli pracować z ludem i dla niego. Realizm pozbawiony zakorzenienia społecznego prowadził do wyobcowania elit: „Ten



»firmowy realizm« [...] pogłębiać musi przepaść między takimi realistami a społeczeństwem, przepaść niezrozumienia”.

Maksymaliści i minimaliści

Krytyka ks. Piwowarczyka, Brauna i Chrzanowskiego nie była skierowana wyłącznie przeciwko tezom Bocheńskiego czy polityce Piaseckiego. Nie mniej ważnym celem krytyki była postawa minimalizmu głoszonego przez Stanisława Stommę, który zakładał wycofanie się katolików z życia politycznego po to, by uniknąć – najprawdopodobniej z góry przegranego – konfliktu na polu społecznym i politycznym. Braun łączył minimalizm z defetyzmem typu Hachy i z przyjęciem myśli francuskiej, prześląkniętej psychozą kłęski. Chrzanowski przekonywał, że oderwanie się od ludu nie pozwala inteligencji katolickiej reprezentować jego potrzeb i interesów.

Linie minimalistyczną zmodyfikował Jerzy Turowicz, próbując uratować autonomię kultury: „Głosimy nadrzędność kultury w stosunku do polityki [...]. A zatem nie żądamy zabarwienia katolickiego, żądamy natomiast humanistycznego (To nie jest minimalizm – to jest natomiast realizm i personalizizm)”. Realizm jest tutaj z jednej strony wyborem drogi działania, która byłaby zarówno możliwa do realizacji, jak i dawała się pogodzić z katolickim oglądem świata, z drugiej – to realizm metafizyczny, zakładający realne istnienie człowieka, społeczeństwa i różnych, autonomicznych sfer ludzkiej aktywności. Takie podwójne rozumienie realizmu umożliwiało porzucenie polityki i podjęcie walki o autonomię kultury.

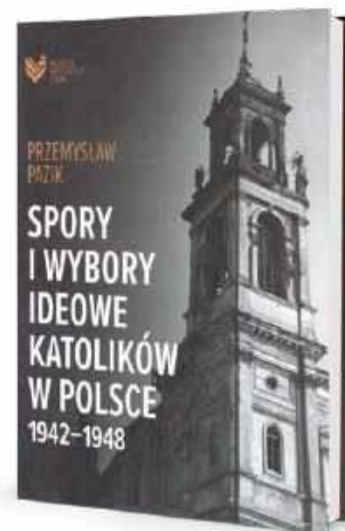
Realizm nakazywał też Turowiczowi przestrzegać przed rozpaczą w artykule pisany już po zamknięciu „Tygodnika Warszawskiego” i aresztowaniu wię-

szości jego redakcji. „Walczymy więc o realizację w życiu zasad naszej wiary. Ale stwierdzając to, raz jeszcze podkreślamy, że rzetelne rozumienie naszych obowiązków tudzież wzgląd na dobro kraju każą nam wyraźnie opowiedzieć się przeciwko wszelkiej »polityce odruchów«, akcji nielegalnej i rozlewowi krwi polskiej”. Odrzucenie działalności zbrojnej (właściwe wszystkim legalnie działającym środowiskom katolickim) prowadziło do sformułowania programu pozytywnego: „[...] spokojna [...] wytrwała praca,

praca pozytywna, praca organiczna dużo skuteczniej i głębiej może wpłynąć na losy naszego narodu niż jakiekolwiek, choćby z najlepszej intencji płynące, awanturnicze koncepcje polityczne”.

Podsumowując, po wyborach 1947 r. wzrosły koszty uprawiania polityki zakładającej kierowanie się realistycznymi pobudkami. Jedynym środowiskiem skłonny pójść na daleko idące kompromisy w stosunku do linii władzy wobec Kościoła i wiernych – po to, by uzyskać formalny wpływ na politykę państwa – była grupa skupiona wokół „Dziś i Jutro”. Pozostałe środowiska porzuciły tak rozumiany realizm polityczny. Moda na realizm, tym razem stosowany w praktyce, wróciła w środowisku krakowskim po 1956 r., kiedy to na łamach przywróconego „Tygodnika Powszechnego” Stanisław Stomma podjął kwestię „Pozytywizmu od strony moralnej”. ■

Tekst jest zmodyfikowanym fragmentem książki „Spory i wybory ideowe katolików w Polsce 1942–1948”, wydanej nakładem IDMN i wydawnictwa Neriton



NARODOWY DUCH W DROZDOWSKIM DWORZE



„ATMOSFERA DUCHOWA DWORU W DROZDOWIE, W KTÓRYM MIESZKAŁA RODZINA LUTOSŁAWSKICH, TCHNĘŁA WIELKĄ WEWNĘTRZNĄ HARMONIĄ I PŁYNĄCYM Z GŁĘBOKIEJ WIARY SPOKOJEM, NAWET W CHWILACH NAJGORSZEJ NIEPEWNOŚCI... NIERAZ MIEWAŁY TAM MIEJSCE DŁUGIE I OŻYWIONE DYSKUSJE. ALE NIE DOTYCZYŁY ONE NIGDY SPRAW PRYWATNYCH RODZINY, A ZAWSZE TYLKO PRACY POLITYCZNEJ, SPOŁECZNEJ CZY DOBROCZYNNEJ” – PISAŁ W PIERWSZYM TOMIE „PAMIĘTNIKÓW” STANISŁAW GRABSKI (WARSZAWA 1989 r.)



**JAROSŁAW
KOSSAKOWSKI**

Dwór rodziny Lutosławskich w Drozdowie, gmina Piąt-nica, w powiecie łomżyńskim, wpisany ostatnio został przez wojewódzkiego konserwatora zabytków na listę podlaskich zabytków. Zachowane wartości odnoszące się przede wszystkim do wybitnych przedstawicieli rodziny Lutosławskich, a także osoby Romana Dmowskiego, skłoniły władze województwa do otoczenia dawnego założenia dworsko-parkowego szczególną opieką. Uwzględniono też pewne wartości artystyczne zarówno oryginalnej architektury dworu, jak i jego wnętrza. Zabudowania dworskie w Drozdowie składają się z dwóch podstawowych budowli: starego dworku i części willowej, której autorem był znany przedwojenny architekt Franciszek Lilpop (1870–1937).

Dwór stary, wzniesiony z drewna modrzewiowego jeszcze w XVIII w., w latach 1978–1984 został częściowo rozebrany i zrekonstruowany. Obecnie jest to budowla dalej parterowa, murowana, zbudowana na planie prostokąta z użytkowym poddaszem, podpiwniczona i przykryta dachem gontowym czterospadowym. Elewacja wschodnia posiada główne drzwi poprzedzone tarasem z balustradą, zaś na taras prowadzi kilka murowanych stopni kamiennych schodów. Nad pięćoosiową elewacją w połaci dachowej widać cztery lukarnowe okna przykryte niewielkimi daszkami. Natomiast do elewacji południowej dworku bezpośrednio przylega część willowa, wzniesiona w końcowych latach XIX w.

Architekt Franciszek Lilpop, autor tak znanych w Warszawie budynków jak Dom Towarowy Braci Jabłkowskich, zabudowania Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu z kościołem św. Józefa Oblubieńca przy ul. Czerniakowskiej czy domy mieszkalne przy Alei Róż, na zlecenie właściciela ziemskiej posiadłości w Drozdowie Mariana Józefa Lutosławskiego (1871–1918) zaprojektował w 1895 r. przylegającą do niego willę w stylu neo-renesansowym, ale już skanalizowaną i posiadającą sieć elektryczną. Całość zabudowań dworskich otoczona była

parkiem i częściowo zasłoniętą przed oczami mieszkańców częścią ogrodowo-gospodarczą wraz z oranżerią. Dalej widać było zabudowania browaru i budynki gospodarcze. Po przeciwnej stronie drogi prowadzącej z Drozdowa do Łomży znajdowały się czworaki wzniesione dla pracowników rolnych i zatrudnionych w browarze, a jeszcze dalej rozciągał się dość rozległy sad. Kilkuhektarowy park zaprojektowany był początkowo na wzór racjonalnych parków francuskich, później przekształcony został w parkowe założenie angielskie o charakterze krajobrazowym z dwoma stawami i klombem kwiatowym na widokowej osi. Po 1945 r. ziemie należące do dworu w Drozdowie zostały rozparcelowane, natomiast po 1980 r. sam dwór zaadaptowano na potrzeby zorganizowanego tu Muzeum Przyrodniczego.

Z herbem „Jelita”

Wywodzący się z ziemi sieradzkiej ród Lutosławskich herbu Jelita od 1786 r., kiedy to Franciszek Lutosławski, syn Jana, po ślubie z Antoniną Burską herbu Jastrzębiec przeniósł się na Podlasie, za główne gniazdo rodzinne tej linii rodu uznał majątek ziemski w Drozdowie. Syn Jana i Antoniny z Burskich Lutosławskich,

Maria i Marian Lutosławscy



Wincenty Jakób (1793–1855), był absolwentem Szkoły Prawa i Administracji, a po małżeństwie z Józefą Grabowską herbu Pobóg, z którą miał czwórkę dzieci, gospodarzył do śmierci w Drozdowie. Kolejnym dziedzicem majątku w Drozdowie został jego młodszy syn Franciszek Dionizy (1830–1891), wykształcony i zamiłowany rolnik, dynamiczny przedsiębiorca, ale i utalentowany muzyk, grający świetnie na fortepianie.

Zwiedzając rolnicze wystawy w Anglii i Szkocji, Franciszek Dionizy, ciekawy wszystkich związanych z rolniczym przemysłem nowości, poczynił liczne „Notatki”, które ukazały się drukiem w 1862 r. Pisał w nich m.in.: „Siły nasze nie do nas wyłącznie, a do kraju przede wszystkim należą, tak nabyta wiedza obszerne czy maluczka, nie naszą a ogółu jest własnością; z ogółem też ją wedle sił dzielić uważam za obowiązek”. Franciszek Dionizy nie tylko notował zagraniczne spostrzeżenia i popularyzował nowoczesną wiedzę rolniczą, lecz także starał się ją stosować w swoim ziemskim gospodarstwie w Drozdowie. Dbał zarówno o plony rolne, jak i dobrze wykorzystywał cały wiejski inwentarz, budując mleczarnie, gorzelnię, fabrykę krochmalu i maki ziemniaczanej, tartak parowy, młyn oraz browar, w którym warzone piwo zdobywało złote medale na międzynarodowych rolniczych wystawach w Filadelfii, Paryżu, Moskwie, Wiedniu i Londynie.

Dwukrotnie żonaty (z Marią, a potem z jej siostrą Pauliną Szczygielskimi herbu Nowina) Franciszek Dionizy Lutosławski pozostawił sześciu synów, z których każdy okazał się nieprzeciętnie utalentowaną osobowością w różnych dziedzinach życia naukowego, gospodarczego i społecznego kraju. Dwaj najstarsi synowie Wincenty i Stanisław urodzili się z pierwszego małżeństwa, zaś Marian, Jan, Kazimierz i Józef to dzieci ze związku małżeńskiego zawartego po śmierci pierwszej żony z jej młodszą siostrą Pauliną.

Najstarszy syn Franciszka Wincenty Lutosławski (1863–1954) z małżeństwa z hiszpańską poetką Sofią Casanova miał trzy córki, które zapamiętane zostały w dziejach polskiego okresu międzywojennego jako oddane przyjaciółki i opiekunki wybitnego polityka tego czasu, Romana Dmowskiego (1864–1939), jednego z ojców polskiej niepodległości (pozostali to m.in. Józef Piłsudski i Ignacy Jan Paderewski). Na uniwersytecie w Dorpacie Wincenty Lutosławski ukończył studia

chemiczne i filozoficzne, a tytuł docenta nauk filozoficznych – ustalił chronologię wszystkich dzieł Platona – otrzymał w Hiszpanii. Wyniki swoich filozoficznych badań i ich metody opisał Lutosławski w dziele pt. „The Origin and Growth of Plato's Logic”, wydanym w Londynie w 1897 r. Po powrocie do kraju osiadł w Krakowie, gdzie wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także założył stowarzyszenie religijno-naukowe Eleuteria oraz wydawał pismo „Eleusis” głoszące ascezę i obowiązek samodoskonalenia, ale propagujące również myśl niepodległościową. Lutosławski twierdził, iż droga do niepodległości ojczyzny prowadzi przez niepodległość jednostki.

W Krakowie dom Lutosławskich był miejscem stałych spotkań działaczy narodowych, artystów i pisarzy, zaś sam Wincenty został aktywnym członkiem Ligi Narodowej. Z wykładami podróżował po licznych krajach, a w czasie traktatu wersalskiego dla polskiej delegacji opracowywał ważne ekspertyzy. W Polsce niepodległej został profesorem Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie, po przejściu na emeryturę powrócił do Krakowa, gdzie jeszcze po II wojnie światowej wykładał filozofię na UJ.

Młodszy brat Wincentego, Stanisław Lutosławski (1864–1937), był z wykształcenia rolnikiem. Studia rolnicze ukończył w Halle, a po śmierci ojca rozpoczął zarządzanie majątkiem ziemskim w Drozdowie. Okazał się też być aktywnym działaczem społecznym, założył w Łomży średnią szkołę handlową i syndykat rolniczy, stał na czele Łomżyńskiego Banku Ziemian, a w Drozdowie zorganizował ochronkę dla miejscowych dzieci.

Utalentowani bracia przyrodni

Najstarszym z synów Franciszka Dionizego z drugiego jego małżeństwa był urodzony w Drozdowie Marian Lutosławski (1871–1918), wybitny inżynier elektryk. Studia skończył na Uniwersytecie Technicznym w Darmstadt w Niemczech, potem zamieszkał w Warszawie, gdzie zbudował pierwszą w Polsce elektrownię uruchomioną w Hotelu Bristol. Pierwszy zaprojektował i wprowadził w użycie w polskim budownictwie konstrukcje żelbetowe. Oprócz pracy zawodo-



Portret Wincentego Lutosławskiego
autorstwa Olgi Boznańskiej

wej zajmował się aktywnie działalnością polityczno-społeczną, należąc do Ligi Narodowej i będąc członkiem zarządu Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego. W czasie I wojny światowej i bolszewickiej rewolucji Marian Lutosławski wraz z bratem Józefem przebywali w Rosji, gdzie działali na rzecz polskich oddziałów zbrojnych. Aresztowani w 1918 r. pod zarzutem działań kontrrewolucyjnych, bez sądu zostali rozstrzelani w masowej egzekucji pod Moskwą.

Urodzony także w drozdowskim dworze Jan Lutosławski (1875–1950) po studiach rolniczych w Rydze, Lipsku i Halle obronił tytuł doktora nauk rolniczych. Wzorowo gospodarował w nabytym majątku Pączkowizna, równocześnie redagując „Gazetę Rolniczą” – tygodnik poświęcony technice rolniczej i obronie interesów gospodarczych ziemian. Po II wojnie opracował plany zagospodarowania Ziem Odzyskanych, jednak jego pochodzenie społeczne nie pozwoliło w Polsce Ludowej na ich szerszą realizację. Jego młodszy brat Kazimierz Lutosławski (1880–1924) – doktor medycyny, ksiądz, był współtwórcą polskiego harcerstwa i jego wieloletnim instruktorem. Zaprojektował zatwierdzony i ogólnie znany krzyż harcerski. Od 1919 r. dzia-

łał społecznie i politycznie jako niezwykle aktywny poseł na Sejm Ustawodawczy z ramienia Związku Ludowo-Narodowego. Zmarł, zarażony się szkarlatyną.

Najmłodszy z dzieci Franciszka Dionizego Józef Lutosławski (1881–1918), jak już wspomniano, został w czasie sowieckiej rewolucji wraz z bratem Marianem bezprawnie zamordowany jako kontrrewolucjonista. Był wykształconym filozofem i jak pozostali bracia aktywnym działaczem narodowym. Po wybuchu sowieckiej rewolucji został przedstawicielem Centralnego Komitetu Obywatelskiego w Riazaniu, aresztowany w kwietniu 1918 r., a już we wrześniu rozstrzelany. Z małżeństwa z Marią Olszewską miał trzech synów: Jerzego, Henryka i znanego na całym świecie, wybitnego kompozytora Witolda (1913–1994), który choć na świat przyszedł w Warszawie, wiele wakacji i letnich miesięcy spędził we dworze w Drozdowie.

Przyjaciół rodziny

Wybitny polski dyplomata, polityk i działacz narodowy Roman Dmowski (1864–1939) w majątku Lutosławskich Drozdowo był wielokrotnie. Z Wincentym Lutosławskim poznał się w Krakowie w 1900 r., gdy zaproszono go kiedyś do domu Lutosławskich, gdzie odbywały się spotkania czołowych działaczy Ligi Narodowej. Do dworu w Drozdowie Dmowski przyjechał po raz pierwszy w 1911 r. jako ojciec chrzestny Katarzyny Niklewiczówny, córki Marii Lutosławskiej i Mieczysława Niklewicza (Maria Lutosławska 1888–1979 była córką Wincentego Lutosławskiego), swojego bliskiego współpracownika.

Od tamtej pory Roman Dmowski w Drozdowie był wielokrotnie, również utrzymywał przyjacielski kontakt z tą rodziną w Warszawie. Gdy sprzedał swoją wiejską posiadłość w Chłudowie i przeniósł się do Warszawy, zamieszkał właśnie u Niklewiczów. Zdrowie niestety bardzo już schorowanemu Dmowskiemu nie dopisywało, więc zaniepokojeni Niklewiczowie zabrali go w czerwcu 1938 r. do rodzinnego dworu w Drozdowie. Tu w otoczeniu najbliższych przyjaciół Roman Dmowski spędził ostatnie pół roku swojego życia. Zmarł w Drozdowie 2 stycznia 1939 r. ■

OSOBA, KTÓRA ZAINSPIROWAŁA MNIE DO STWORZENIA RUCHU OBRONY ŻYCIA DZIECI NIENARODZONYCH, BYŁ WALENTY MAJDAŃSKI. ZAPOZNAŁ MNIE Z NIM JÓZEF KOSSECKI. JEŚLI WIERZYĆ JEGO DONOSOM DO BEZPIEKI, 3 GRUDNIA 1970 r. PAN MAJDAŃSKI BYŁ ZDECYDOWANYM PRZECIWNIKIEM USTAWY O WARUNKACH DOPUSZCZALNOŚCI PRZERYWANIA CIĄŻY Z 17 KWIETNIA 1956 r.



ŻYCIE DLA POLSKI



MARIAN
BARAŃSKI

Jest to ogromny cios dla Polski, gdyż może zginąć nawet więcej Polaków niż w czasie ostatniej wojny. Uświadomiłem sobie, że aczkolwiek byłem zawsze przeciwnikiem mordów dzieci nienarodzonych, to jednak, jak dotychczas, nic w tym zakresie nie zrobiłem. Postanowiłem wesprzeć pana Walentego w jego wysiłkach. Doszedłem do wniosku, że tylko akcja zbiorowa, np. prawników, da jakiś skutek, bo wiem jak dotychczas takiej inicjatywy nie było. Przypomniałem sobie, że przecież jest list Episkopatu z 1970 r., który wzywa do podejmowania podobnych inicjatyw, a że ich dotychczas nie było, to świadczy niestety tylko o poziomie polskiego społeczeństwa, które nie potrafiło zdobyć się na akcję samoobrońną.

Inicjatywa legislacyjna

Pan Walenty wyposażył mnie w argumenty przeciwko ustawie, więc nie miałem trudności z napisaniem „Przyczyn i celów petycji”, liczącej 12 stron

maszynopisu, wraz z projektem ustawy, zawierającej 15 artykułów, zatytułowanej „Ustawa z dnia [...] o ochronie życia i zdrowia dziecka nienarodzonego oraz o ochronie macierzyństwa”. Natomiast natrafiłem na ogromne trudności przy zbieraniu podpisów wśród prawników. Obrażano mnie wielokrotnie, pytając kim jestem albo sugerując, że jestem z wiadomego resortu. Zaciśkałem zęby i zbierałem dalej podpisy. W tym czasie pan Walenty zachorował. Odwiedziłem go na kilka dni przed śmiercią w szpitalu w Warszawie. Rozmawialiśmy o kryzysie w Kościele, o tym, że po śmierci chciałby pracować z o. Maksymilianem Kolbe. Pan Walenty umarł na zapalenie płuc 10 grudnia 1972 r. Byłem zrozpaczony i postanowiłem złożyć memoriał w sprawie ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży oraz projekt ustawy jak najszybciej, by uczcić jego pamięć. Pamiętam, że zostałem życzliwie potraktowany przez prawników przy prymasie Stefanie Wyszyńskim, którzy złożyli kilkanaście podpisów. 21 grudnia 1972 r. złożyłem memoriał adresowany do marszałka Sejmu PRL i do wiadomości – posłów PRL, Komisji Zdrowia i Kultury Fizycznej, podpisany przez 51 prawników.

W marcu 1976 r. zainicjowałem zbiórkę podpisów do Episkopatu Polski z wezwaniem do przeprowadzenia

jednomiesięcznej kampanii uświadamiającej na kazaniach – podkreśliłem szkodliwość, nienormalność i antypolskość ustawy oraz wezwałem do zorganizowania we wszystkich parafiach akcji zbierania podpisów. Jednocześnie wskazywano w wezwaniu na potrzebę wprowadzenia ustawy o ochronie macierzyństwa. Zebrano 976 podpisów wśród młodzieży akademickiej, której delegacja złożyła dokument na ręce księdza prymasa. Episkopat nie podjął tych propozycji, natomiast zachęcał do działania we własnym zakresie.

9 września 1976 r. w „Życiu Warszawy” ukazał się artykuł ks. Tadeusza Wołynowicza CM (właściwe nazwisko – Tadeusz Dzięgiel) z Bydgoszczy pt. „2+4”. W artykule, który odbił się dość szerokim echem, wskazał on na zagrożenie demograficzne Polski, podważał zasadność ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży i wezwał do posiadania co najmniej czworga dzieci w rodzinie.

Na ścieżkę nielegalną

Wczesną wiosną 1977 r. postanowiłem zainicjować ruch obrony wartości moralnych, w tym nade wszystko obrony życia dzieci nienarodzonych oraz instytucji rodziny, wychodząc z założenia, iż



Od przekazania przez Episkopat Polski 18 czerwca 1970 r. Memoriału do Rządu PRL w sprawie zagrożeń biologicznych i moralnych narodu polskiego środowiska katolickie podejmowały próby nacisku społecznego na zmianę ustawodawstwa PRL w sprawie dopuszczalności aborcji. Na zdjęciu plansze i grafiki antyaborcyjne w gablocie kościoła św. Krzyża, Warszawa, lata 80.

stanowią one fundament właściwie pojmowanej niepodległości wewnętrznej narodu. Formowanie organizacji, którą nazwałem Polski Komitet Obrony Życia i Rodziny, rozpocząłem od ks. Dzięgiela. Nie zawiodłem się, bez chwili wahania podpisał oświadczenie inicjujące działalność, a na dodatek zwerbował swego konfratry – ks. Bogusława Jerzyckiego z Bydgoszczy. W ten sposób na liście członków Komitetu miałem już dwóch księży. Jak się potem okazało, bardzo oddanych sprawie.

PKOŻiR powstał 28 maja 1977 r. Odezwe z tego dnia podpisało 10 osób, w tym m.in. ks. Stanisław Tworowski, znany wielu Polakom jako żarliwy narodowiec, wielki zwolennik Romana Dmowskiego, kapłan, który towarzyszył mu w ostatniej drodze z Drozdowa do Warszawy.

11 grudnia 1977 r. Komitet rozpoczął zbiórkę podpisów przeciwko ustawie z 1956 r. Walkę z ustawą o przerywaniu ciąży uznaliśmy za sprawę narodową i za nowe zadanie dla ruchu narodowego. Wniosek w tej sprawie skierowany do Sejmu PRL brzmiał:

„My, niżej podpisani Polacy – świadomi tego, że ustawa o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży:

- zezwala na bezkarne zabijanie niewinnych i bezbronnych nienarodzonych dzieci;
 - rozkłada naszą moralność i nasz Naród;
 - umożliwia lekarzom pobieranie wynagrodzenia za zabijanie,
- domagamy się;
- zniesienia tej nieludzkiej i szkodliwej dla Polski ustawy wraz ze wszystkimi przepisami wykonawczymi;

- uchwalenia na jej miejsce ustawy o ochronie macierzyństwa”.

Mimo trudnych warunków atmosferycznych, w ciągu niedzieli, 11 grudnia, zebrano w samej tylko Warszawie 2,6 tys. podpisów. Podpisy były zbierane również i poza stolicą. Akcja ta spotkała się z powszechnym, spontanicznym poparciem ludzi. Wielu wyrażało radość z podjęcia tej inicjatywy. Pierwsze podpisy do Sejmu PRL 21 grudnia 1977 r. złożył dr Tadeusz Dworak, który napisał:

„Działając w oparciu o art. 86 Konstytucji PRL, imieniem Polskiego Komitetu Obrony Życia i Rodziny, składam wniosek obywatelski, podpisany przez trzy tysiące sto trzydzieści osób, o treści następującej >>

» (tu następuje treść wymieniona wyżej). W załączeniu:

1. osiemdziesiąt dwie listy z 2526 podpisami
2. dwa ponumerowane skoroszyty z 63 podpisami
3. księga »Kronika« z 531 podpisami”.

Księga „Kronika” zawierała podpisy osób z Kalisza i okolicy, co świadczyło o rozwoju inicjatywy Komitetu. Tadeusz Dworak poinformował podczas audiencji u prymasa Stefana Wyszyńskiego o przeprowadzonej akcji. Prymas zaproponował dodanie do nazwy Komitetu słowa

środowiska katolickie, które wniossek o zniesienie ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży skierowały do Rady Państwa PRL. Komitet starał się zbierać podpisy także w środowisku lekarzy i prawników, którzy mogliby odegrać ogromną rolę w tej akcji. Ostatecznie zebrano ponad 12 tys. podpisów domagających się zniesienia ludobójczej i antypolskiej ustawy. Niektóre z osób zbierających podpisy były zatrzymywane i przesłuchiwane przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. W czerwcu 1978 r. nieznana bojówka zabrała

PKOŹIR POWSTAŁ 28 MAJA 1977 r. ODEZWĘ Z TEGO DNIA PODPISAŁO 10 OSÓB, W TYM M.IN. KSIĄDZ STANISŁAW TWORKOWSKI, ZNANY WIELU POLAKOM JAKO ŻARLIWY NARODOWIEC, WIELKI ZWOLENNIK ROMANA DMOWSKIEGO

„naród”. Oczywiście uwzględniliśmy jak najszybciej to życzenie prymasa i 2 marca 1978 r. zmieniliśmy nazwę na Polski Komitet Obrony Życia, Rodziny i Narodu.

W numerze drugim „Samoobrony Polskiej” z 20 maja 1978 r., pisma PKOŹRiN, wydawanego w tzw. drugim obiegu, informowaliśmy o przesłaniu do Sejmu PRL dwóch partii podpisów pod wnioskiem obywatelskim o zniesienie ustawy o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży. Pierwsza z 6 maja z Lublina zawierała 350 podpisów, druga – 806 z plockiego i sieradzkiego. W imieniu Komitetu listy z podpisami do Sejmu PRL złożył Marian Barański, czyli ja. Kolejne 610 podpisów przesłał do Sejmu PRL proboszcz parafii Stawiszyn k. Kalisza. W sumie do 20 maja 1978 r. przesłano listy z podpisami 8014 osób. Ze strony Sejmu PRL jedynie pośrednio potwierdzono 418 podpisów złożonych przez Janusza Bukowskiego, rzecznika PKOŹRiN.

Próby porozumienia

Akcja zbierania podpisów trwała nadal. Tym razem podjęły ją krakowskie

przed kościoła Matki Boskiej Loretańskiej w Warszawie, przy ul. Ratuszowej, kilkaset podpisów, które zostały podarte.

Polski Komitet Obrony Życia, Rodziny i Narodu zwrócił się do Klubów Inteligencji Katolickiej i ugrupowań opozycji demokratycznej o wsparcie naszej inicjatywy. Odpowiedział tylko KIK w Wrocławiu, który poinformował o wydaniu jakiejś publikacji na temat rodziny. O akcji zbierania podpisów poinformowano także w piśmie „Droga” – drugoobiegowym organie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Inicjatywę Komitetu poparł Edward Staniewski, rzecznik ROPCiO. Zatelefonowałem w tej sprawie do Jacka Kuronia z Komitetu Obrony Robotników, który powiedział, że na pisma obrażające KOR nie odpowiada. Niestety zupełny brak orientacji wykazywało duchowieństwo. Niektórzy z nich uznawali, że jest to walka z wiatrakami, ale byli i tacy, którzy w czasie mszy informowali wiernych o zbiorze podpisów przed kościołami. Dzięki temu podpisów było dużo, ale mogłoby być kilka razy więcej. ■

Marian Barański (ur. 29 sierpnia 1936 r.), prawnik, propagator idei narodowej oraz obrony życia poczętego, represjonowany działacz Ligi Narodowo-Demokratycznej, pierwszej po październiku 1956 r. opozycyjnej organizacji młodzieżowej odwołującej się do dziedzictwa obozu narodowego, założonej przez Przemysława Górnego.

Konspiracyjną działalność polityczną rozpoczął w latach 50. XX w. Organizator studenckiego ruchu samokształceniowego. Prezes i założyciel pierwszej po wojnie organizacji narodowej, Stowarzyszenia Narodowego im. Romana Dmowskiego, zarejestrowanego 17 stycznia 1989 r. Zaangażowany również w budowę Stronnictwa Narodowego „Szczerbiec”, którego został wiceprezesem. Represjonowany i szykanowany przez władze PRL. W 1965 r. został uwięziony pod pozorem napadu rabunkowego na ul. Jasnej w Warszawie. Po uwolnieniu, w latach 1977–1981, założył i prowadził Polski Komitet Obrony Życia, Rodziny i Narodu, przekształcony następnie w Komitet Samoobrony Polskiej. Był to pierwszy jawny projekt o charakterze narodowym. Początkowo nosił nazwę Polski Komitet Obrony Życia i Rodziny, jednak w marcu 1978 r. dodano słowo „naród”. U podstaw PKOŹRiN leżało dążenie do zniesienia aktu prawnego dopuszczającego aborcję – Ustawy z dnia 27 kwietnia 1956 r. o warunkach dopuszczalności przerywania ciąży (Dz. U. z 1956 r. Nr 12, poz. 61). Idea narodziła się w 1976 r. po ujawnieniu się Komitetu Obrony Robotników, co dało asumpt do powołania alternatywy dla tej organizacji. Celem było stworzenie ruchu obrony wartości moralnych, a przede wszystkim dzieci nienarodzonych oraz instytucji rodziny, która zdaniem założycieli była fundamentem niepodległości wewnętrznej narodu. Od 2020 r. członek Rady Programowej IDMN.



**GRZEGORZ
MAJCHRZAK**

Biuro Badań
Historycznych IPN

Port Lotniczy Warszawa-Okęcie,
odprawa pasażerów, kontrola
celna bagażu, maj 1976 r.

**PIERWSZA AFERA NA OKĘCIU ROZEGRAŁA SIĘ
W KWIETNIU 1970 r., A JEJ „BOHATERAMI” BYLI
DWAJ PIŁKARZE STOŁECZNEJ LEGII, WŁADYSŁAW
GROTYŃSKI I JANUSZ ŻMIJEWSKI, PRZYŁAPANI
NA PRÓBIE NIELEGALNEGO WYWOZU DEWIZ**

PIERWSZA AFERA NA OKĘCIU, CZYLI PRZEMYTNICY Z LEGII WARSZAWA

W sezonie 1969/1970 Legia Warszawa, eliminując rumuński UR Arad, francuskie AS Saint-Étienne oraz turecki Galatasaray Stambuł, dotarła do półfinału Pucharu UEFA. Tam zmierzyła się z holenderskim Feyenoordem Rotterdam. Pierwsze spotkanie rozegrane 1 kwietnia 1970 r. na stadionie przy Łazienkowskiej (w obecności kompletu, ok. 30 tys. widzów) zakończyło się bezbramkowym remisem. Jak jednak twierdził – przynajmniej na łamach prasy – trener legionistów Edmund Zientara: „Nie wszystko jeszcze stracone”. Owszem, Holendrzy okazali się bardzo trudnym rywalem, ale warszawiacy wciąż mieli szanse na awans, choć te przed rewanżem trzeba – uczciwie przyznać – nie były największe.

Kiedy osiem dni później polscy piłkarze wyjeżdżali z kraju, doszło do wydarzeń brzemennych w skutki. U dwóch zawodników stołecznego klubu – bramkarza Władysława Grotyńskiego oraz napastnika Janusza Żmijewskiego – celnicy zakwestionowali nielegalnie wywożoną z kraju walutę.

Nie była to – jak na tamte czasy – suma mała. U pierwszego znaleziono 215 dol. amerykańskich, u drugiego >>

» zdecydowanie więcej, gdyż 2023 dol. W przypadku Żmijewskiego były to zresztą nie tylko jego pieniądze. Do dziś nie chce zdradzić, czyje jeszcze środki miał przy sobie. Poszlaki wskazują na to, że Kazimierza Deyny. Jak bowiem wynika z „protokołu zatrzymania wartości dewizowych”, 545 spośród 2023 dol., które przy sobie posiadał, „było umieszczonych w osobnej kopercie pocztowej”, zaadresowanej „K. Deyna – Warszawa ul. Łazienkowska 3 WKS Legia”. Jak się tłumaczył futbolista, kopertę tę miał rzekomo znaleźć na terenie klubu, w magazynie sprzętu sportowego. Tak na marginesie – tego wątku w śledztwie nie podjęto.

Wpadki można było zresztą spokojnie uniknąć. Do władz Legii Warszawa i jej piłkarzy bowiem dotarły ostrzeżenia o planowanej, „niespodziewanej” kontroli. Jak relacjonował po latach Lucjan Brychczy, który zazwyczaj podczas wyjazdów mieszkał w jednym pokoju z Grotyńskim: „Był na cenzurowanym, miał mało swobody, a jednak cały czas coś kombinował. Nawet tego dnia na Okęciu ostrzegano nas przed »niezapowiedzianą kontrolą«. Ktoś dostał chyba cynk i dano nam do zrozumienia, że może być nałot. Zwykle nas »nie czesali«, bo nie chcieli skandalu z udziałem sportowców reprezentujących nasz kraj. Władek wierzył więc, że jak zwykle mu się uda”.

Pechowa kontrola

Tym razem kontroli nie uniknięto. Jak potem szczegółowo opisywał Zbigniew Korol (zastępca sekretarza generalnego Legii Warszawa ds. organizacyjnych), który był naocznym świadkiem wydarzeń na Okęciu: „Odkryło się to w ten sposób, że bezpośrednio po odprawie celnej [...] oficer W[ojsk] O[chrony] P[ogranicza] poprosił na bok (do osobnego pomieszczenia) najpierw sierż. Żmijewskiego, od którego zażądał oddania posiadanej przy sobie obcej waluty. Żmijewski bez oporu, dobrowolnie wyjął z zewnętrznej kieszeni płaszcza dwa małe pakietki (zawiniątka) i wręczył je mnie, które schowałem do kieszeni. Zawartości tych pakietów nie sprawdzano w obecności Żmijewskiego. Po oddaniu tych dwóch pakietów, bez dokonywania przeszukania Żmijewski został zwolniony, a oficer ten [w stopniu kapitana – przyp. G.M.] poprosił z kolei do tego samego pomieszczenia sierż. Grotyńskiego, któremu

również powiedział, by oddał posiadane przy sobie obce waluty. Również Grotyński dobrowolnie wyjął z zewnętrznej kieszeni płaszcza jeden mały pakietek (zawiniątka w gazecie), który przekazał mnie. Tak samo jak poprzednio pakietek ten schowałem do swojej kieszeni bez sprawdzania w obecności Grotyńskiego co on zawiera. Grotyński po dobrowolnym oddaniu tego pakietku również został zwolniony bez przeszukania jego rzeczy i jego osoby”. Notabene – jak precyzował działacz stołecznego klubu – nie były to wszystkie środki walutowe, jakie posiadali pechowci piłkarze. Mieli również przy sobie „drobne sumy innej waluty, a to: lirów włoskich, funtów angielskich, koron szwedzkich, guldenów holenderskich i prawdopodobnie jeden banknot dolarów kanadyjskich”. Potwierdza to sporządzony na lotnisku protokół.

Piłkarzy przemytników – po długich naradach – ostatecznie wypuszczono z kraju. Zadziałał prezes stołecznego klubu gen. Zygmunt Huszcza, który nie tylko poręczył za obu zawodników, lecz także podjął działania w celu wyciszenia sprawy. Ostatecznie więc Władysław Grotyński i Janusz Żmijewski zagrali z Feyenoordem w Rotterdamie. Jednak zarówno oni, jak i ich koledzy zamiast skupiać się na – jak się później okazało – najważniejszym meczu w ich klubowej karierze, zastanawiali się, co będzie dalej z zawodnikami przyłapanymi na przemyśle niemałej w końcu kwoty dewiz. W efekcie Legia przegrała 0:2. Nie bez udziału zresztą bramkarza Legii, który mógł się zachować lepiej przy pierwszej bramce dla drużyny holenderskiej. „Już w trzeciej minucie stracili pierwszą bramkę. Przy rzucie wolnym Grotyński zrobił krok do przodu, ale natychmiast się cofnął. Bernard Blaut, który pilnował Wima van Hanegema, nie mógł tego przewidzieć. Sądząc, że bramkarz wypiąstkuje górną piłkę, nie wyskoczył i nie zablokował Holendra. Van Hanegem nie kalkulował i z bliska głową zdobył prowadzenie” – opisywał później okoliczności stracenia tego gola znakomity dziennikarz sportowy Stefan Szczepłak. Zresztą w jego ocenie: „Żmijewski też nie przypominał gracza, którego boją się obrońcy”. Nic zresztą dziwnego, skoro jak ten ostatni wspominał po latach: „Rozważaliśmy wszystkie możliwe scenariusze. Z więzieniem włącznie. W hotelu przed meczem gadaliśmy z Władkiem tylko o tym. Człowiek próbował się zmobilizować, skoncentrować na futbolu, ale mimo szczerych chęci myśli uciekały do zdarzenia na lotnisku”.

Sprawca nieznany

Gdyby Legia Warszawa awansowała do finału, to bardzo prawdopodobne, że PRL-owskie władze zapomniałyby o wydarzeniach z Okęcia. W końcu zwycięzców nikt nie sędzi, przegranych jednak już tak. 30 kwietnia 1970 r. wszczęto przeciwko Grotyńskiemu i Żmijewskiemu śledztwo – za popełnione przez nich przestępstwo groziła im kara do 3 lat więzienia oraz grzywna do 1 mln zł. Na ich korzyść przemawiał fakt, że obaj dobrowolnie wydali przemycane środki. Jak tłumaczył w czasie śledztwa Janusz Żmijewski: „Walutę tę wywoziłem za granicę w tym celu, by w czasie pobytu w Holandii, wpłacić ją tam na swoje konto w PKO w Polsce, a po powrocie do kraju wykupić za te pieniądze samochód Wołga lub Volkswagen. Nie chciałem tej transakcji załatwiać bezpośrednio w Warszawie, to znaczy wpłacać tu na miejscu do Banku PKO BP tej waluty, gdyż obawiałem się odpowiedzialności za nielegalne źródło nabycia części tej waluty [zakupionej na czarnym rynku – przyp. G.M.] oraz [ze względu na – przyp. G.M.] brak poświadczenia na legalne źródło nabycia pozostałej sumy tej waluty”. Z kolei Władysław Grotyński zeznał, że pieniądze zabrał do Holandii „w celu dokonania tam zakupu części zamiennych do posiadanego samochodu Ford Mustang, a w szczególności dwóch szyb samochodowych przedniej i bocznej oraz różnych drobniejszych”, których nie mógł – jak twierdził – zakupić w Polsce.

Nie wiadomo, komu obaj zawdzięczają wpadkę. Według Szczepłaka miał być to efekt rozgrywek między dwoma resortami siłowymi: spraw wewnętrznych oraz obrony narodowej, które rywalizowały między sobą. Problem w tym, że waluty u piłkarzy odkryli żołnierze WOP, podlegający w tym czasie pod MON, a nie MSW. Z kolei według Żmijewskiego miało być efekt donosu cinkciarzy, u których kupował walutę. Oznaczałoby to, że za całą aferą stała Służba Bezpieczeństwa. W tym przypadku jednak – podobnie jak w pierwszym – należy postawić pytanie, skąd funkcjonariusze SB wiedzieli, że Janusz Żmijewski będzie nielegalnie wywozić walutę akurat w tym dniu, skoro kupował ją już od dłuższego czasu? A tym

bardziej skąd czerpali wiedzę na temat Władysława Grotyńskiego?

Bardziej prawdopodobna wydaje się wersja ze służbami, ale nie cywilnymi, lecz wojskowymi. Otóż stołeczny klub podlegał „operacyjnej ochronie” Wojskowej Służby Wewnętrznej, a ta nie przepadała bynajmniej za zawodnikami, których tryb życia niezmiennie często odbiegał – i to nieraz bardzo mocno – od ideałów „trepów”. To właśnie oficerowie WSW – dzięki agenturze wśród piłkarzy, trenerów i działaczy Legii Warszawa – mieli największe możliwości uzyskania danych o planowanym przemyśle. Być może – pojawiają się i takie sugestie – ktoś z tego grona (raczej działacz niż piłkarz) chciał po prostu odwrócić uwagę od siebie.

Łagodny wyrok, do czasu

Obaj piłkarze stanęli 1 października przed Sądem Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Wstawił się za nimi klub, „w imieniu całego stanu osobowego oficerów i podoficerów klubu, szerokiego kolektywu sportowców”. „Ostro osądzając” postępowanie obu zawodników, „zważywszy jednak na ich dotychczasowe nienaganne zachowanie się i wieloletnią systematyczną pracę nad sobą w zakresie stałego podnoszenia poziomu sportowego, dzięki czemu z mało znanych zawodników stali się reprezentantami naszego kraju”, a także „uznając, że popełnione przez nich czyny stanowią sporadyczny przypadek w ich dotychczasowym życiu”, Legia zwróciła się do sądu „o wyrozumiałość i wielkoduszność przy rozpatrywaniu ich sprawy, a szczególności warunkowe umorzenie postępowania karnego” przeciwko nim. Obiecywano również otoczenie sierż. Grotyńskiego oraz sierż. Żmijewskiego „szczególną opieką wychowawczą”, aby ci „już nigdy więcej nie dopuścili się żadnego wykroczenia, mogli nienaganną postawą i wzorowym zachowaniem oraz dobrymi wynikami sportowymi zasłużyć na pełne zaufanie kolektywu, które mocno swym występkiem nadużyli”.

Proces był błyskawiczny – trwał zaledwie jeden dzień. Prokurator zażądał dla Janusza Żmijewskiego za każdy z sądzonych czynów po 10 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na 2 lata oraz grzywny w wysokości 10 tys. zł, a dla Władysława Grotyń-

skiego 5 tys. zł grzywny. Wyrok został ogłoszony 2 października. I był on łagodny – Żmijewski został skazany łącznie na 15 tys. zł grzywny oraz przepadek na rzecz Skarbu Państwa zakwestionowanych dewiz, natomiast Grotyński na 5 tys. zł grzywny oraz przepadek zakwestionowanej waluty.

Cała sprawa dla obu piłkarzy zakończyła się nie najgorzej – udało się im przede wszystkim uniknąć więzienia. Co prawda Żmijewski został również na rok zawieszony przez stołeczny klub, co zresztą sąd uznał za okoliczność łagodzącą. Problem w tym, że już po dwóch miesiącach dyskwalifikację tę zawieszono, gdyż napastnik był potrzebny na mecz rewanżowy drugiej rundy Pucharu UEFA ze Standardem Liège. Mało tego, aby mu zrekomensować związany z zawieszeniem spadek dochodów, władze Legii Warszawa (sekretarz generalny Edward Potorejko) przyznał mu 3 tys. zł nagrody na częściowe pokrycie grzywny, a także „spowodował [jego] fikcyjne zatrudnienie” na rok w charakterze konserwatora sprzętu” w klubie przy Łazienkowskiej.

Jak się jednak okazało, obaj piłkarze i tak w końcu trafili do więzienia. Powodem było ponownie ich zaangażowanie w przemyśle, tym razem złota i biżuterii. I to w dodatku na zdecydowanie większą już skalę – był to czyn, który „podlegał karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 8 albo karze 25 lat pozbawienia wolności”. Oczywiście obaj – dzięki temu, że byli dobrymi piłkarzami – za kratami spędzili dużo mniej czasu. Ale to już zupełnie inna, choć nie mniej ciekawa historia i kolejna niemię ciekawa afery przemyślniczej z udziałem sportowców (oprócz piłkarzy również koszykarzy). ■

FOT. EAST NEWS/EUGENIUSZ WARMIŃSKI



Mecz ligowy Legii Warszawa, 1966 r.
Skacze Władysław Grotyński, z lewej
Henryk Grzybowski

75. ROCZNICA ŚMIERCI WITOLDA PILECKIEGO

*„Chylimy głowę w poczuciu
wdzięczności za wolną ojczyznę”*

75 LAT TEMU, 25 MAJA 1948 r., STRZAŁEM W TYŁ
GŁOWY KOMUNISCI ZAMORDOWALI WITOLDA
PILECKIEGO, JEDNEGO Z NAJWIĘKSZYCH BOHATERÓW
POLSKIEJ WALKI O WOLNOŚĆ. WICEMARSZAŁEK
SEJMU MAŁGORZATA GOSIEWSKA WZIĘŁA UDZIAŁ
W OBCHODACH ORGANIZOWANYCH PRZEZ URZĄD DO
SPRAW KOMBATANTÓW I OSÓB REPRESJONOWANYCH
PRZED STOŁECZNYM POMNIKIEM RTM. PILECKIEGO,
ODCZYTUJĄC LIST OD MARSZAŁEK SEJMU



Elżbieta Witek w korespondencji stwierdziła, że rtm. Pileckiego „wyróżnia heroiczna postawa, pełna ofiarności, na którą nikt przed nim się nie zdobył. Świadomie został więźniem KL Auschwitz, by wypełnić misję zbierania informacji o nazistowskich zbrodniach”. Opisuując jego powojenne losy, marszałek Witek wskazała, że rotmistrz „nie porzucił patriotycznych ideałów i chrześcijańskich wartości, zapłacił za to utratą dobrego imienia, cierpieniem i życiem”.

Wcześniej w warszawskim Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL przy ul. Rakowieckiej – dawnym więzieniu i miejscu stracenia rotmistrza – w upamiętnieniu bohatera wziął udział zastępca szefa kancelarii Sejmu Christian Młynarek.

FOT. PORTRAŁ (2X) - ALEKSANDER ZIELINSKI/SEJMY (2X)



100. ROCZNICA POWOŁANIA

Instytutu Józefa Piłsudskiego

„ŚWIADOM LUDZKICH SŁABOŚCI ROZUMIAŁ, ŻE NARODOWĄ TOŻSAMOŚĆ NALEŻY UMACNIAĆ PRZESZŁOŚCIĄ. PRZYWIĄZYWAŁ WIĘC WIELKĄ WAGĘ DO ZACHOWANIA MATERIALNEGO ORAZ NIEMATERIALNEGO DZIEDZICTWA PRZESZŁOŚCI, A TAKŻE IDEI PATRIOTYZMU. WYCHOWANY W DUCHU SZACUNKU DLA MINIONYCH POKOLEŃ, WIEDZIAŁ, ŻE WALKA O POLSKOŚĆ NIE TOCZY SIĘ TYLKO NA POLACH BITEWNYCH, LECZ TAKŻE W ZACISZACH DOMOWYCH ORAZ W ŻYCIU PUBLICZNYM” – NAPISAŁA MARSZAŁEK SEJMU ELŻBIETA WITEK W OKOLICZNOŚCIOWYM LIŚCIE SKIEROWANYM DO UCZESTNIKÓW I ORGANIZATORÓW OBCHODÓW 100. ROCZNICY POWOŁANIA INSTYTUTU JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO POŚWIĘCONEGO BADANIOM NAJNOWSZEJ HISTORII POLSKI. W UROCZYSTOŚCI W ZAMKU KRÓLEWSKIM, KTÓRA ODBYŁA SIĘ 12 MAJA, ELŻBIETĘ WITEK REPREZENTOWAŁ MARSZAŁEK SENIOR ANTONI MACIEREWICZ



To wielkie dzieło gromadzenia, przechowywania i opracowania materiałów źródłowych, a także ich upowszechniania zostało powierzone Instytutowi Badania Najnowszej Historii Polski. Dzięki ofiarności rodaków i zaangażowaniu pracowników powstało wspaniałe archiwum myśli narodowo-wyzwoleńczej. Niestety w dużej mierze podzieliło wojenne losy innych zbiorów. Należy oddać hołd bohaterom, którzy z narażeniem życia wywieźli najcenniejsze dokumenty poza granice Polski. Historie archiwaliów można porównać do tułacznych kolei życia żołnierzy walczących w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie” – zaznaczyła marszałek Sejmu.

„Zachowane drobne, rodzinne pamiątki czy dokumenty świadczące o narodowowyzwoleńczej przeszłości kształtowały światopoglądy młodych Polaków.

Mając świadomość ogromnych wojennych strat, z tym większym szacunkiem słowa uznania kieruję do wszystkich osób, które z dużą determinacją kontynuują misję zachowania materialnych świadectw przeszłości dla przyszłych pokoleń. Dziękuję za naukową pracę, upowszechnianie wiedzy historycznej i krzewienie patriotycznych postaw” – podkreśliła Elżbieta Witek.

Podczas uroczystości w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego odbyła się ceremonia wręczenia medali Pro Bono Poloniae oraz Pro Patria, a także Krzyży Służby Niepodległości. Wręczono również dyplomy honorowe członkom Instytutu Józefa Piłsudskiego i nagrody z okazji 80-lecia istnienia Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce.

Wcześniej uczestnicy stołecznych obchodów wzięli udział w upamiętnieniu na placu marsz. Józefa Piłsudskiego.

Tam odczytano apel pamięci, a następnie złożono wieńce przed Grobem Nieznanego Żołnierza oraz przed pomnikiem Marszałka.

100 lat temu, w 1923 r., z inicjatywy Józefa Piłsudskiego został powołany Instytut Badania Najnowszej Historii Polski. Po śmierci Marszałka został przekształcony w Instytut Józefa Piłsudskiego Poświęcony Badaniu Najnowszej Historii Polski. W 1939 r. wraz z wybuchem II wojny światowej działalność Instytutu została przerwana. Jego misja była kontynuowana w Stanach Zjednoczonych oraz Wielkiej Brytanii. Dopiero w 2003 r. odrodzono działalność Instytutu w Polsce. Instytut Józefa Piłsudskiego jest instytucją naukową, której obiektem zainteresowań jest myśl niepodległościowa od powstania styczniowego.

12 maja przypada 88. rocznica śmierci marsz. Józefa Piłsudskiego.

LUDWIKA EHRLICH UMIŁOWANIE WŁODKOWICA



MAGDALENA
MERTA

**WSPÓŁCZESNA POLSKA
PRAKTYKA PRAWNA
MA SVOJE PODSTAWY
W OSIĄGNIĘCIACH
WYBITNYCH LUDZI
RÓŻNYCH CZASÓW.
ZA PROTOPLASTĘ
RODZIMYCH SYSTEMÓW
PRAWNYCH UZNAJE
SIĘ M.IN. PAWŁA
WŁODKOWICA
HERBU DOŁĘGA
Z BUDZENIA, W KTÓRYM
PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT
W POCZĄTKACH
LAT 80. XIV w.**

Dokładnych metrykaliów tego nazywanego pierwszym polskim prawnikiem katolickiego księdza nie znamy. W 1414 r. został on rektorem Akademii Krakowskiej, kilka lat później zaś prorektorem Uniwersytetu w Krakowie. Nim jednak do tego doszło, pobierał nauki w szkole kolegiackiej w Płocku, by następnie, od połowy lat 80. XIV w., aż po 1396 r., studiować w Pradze, a wiedzę uzupełniać potem, na przełomie lat 1403 i 1404, na Uniwersytecie Padewskim.

Pełnił funkcję scholastyka poznańskiego i kanonika płockiego, a od 1411 r. kustosza i kanonika krakowskiego. W połowie lat 20. XV w. objął probostwo kościoła św. Idziego w Kłodawie, by pod koniec życia (zmarł ok. 1435 r.) powrócić do Krakowa i zamieszkać w zbudowanym przez siebie domu przy ul. Kanonicznej, który stoi po dziś dzień, i po latach służenia kapitule krakowskiej, która przejęła gmach po śmierci duchownego i zaaranżowała w nim kwatery dla kanoników, stał się ostatecznie hotelem Copernicus.

W słynnym sporze

Największe zasługi dla ojczyzny miał niewątpliwie Włodkowic jako reprezentant Polski w sporach z zakonem krzyżackim, poczynając od zwołanej 28 czerwca 1412 r. w Budzie rozprawie, na której obie strony przerywały się oskarżeniami o niedotrzymanie postanowień pokoju toruńskiego.

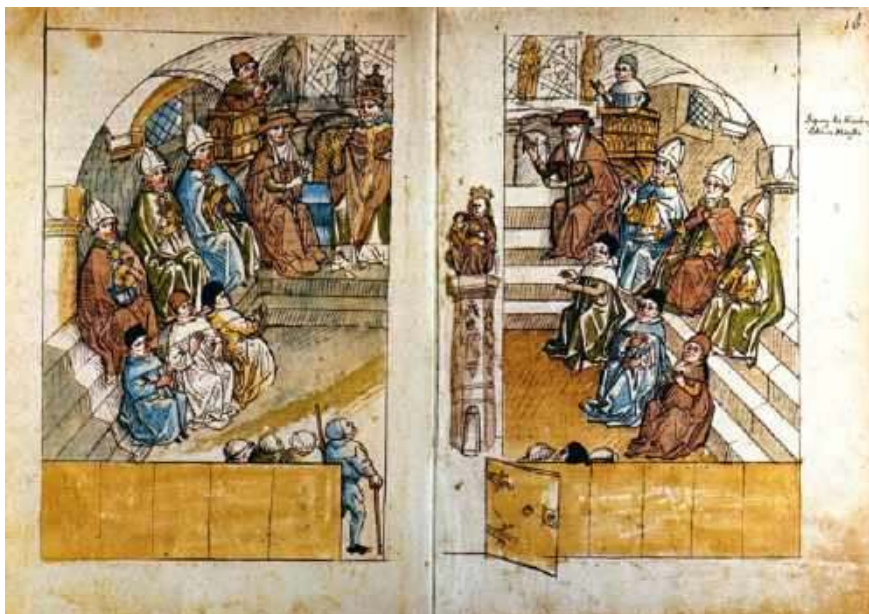


Ludwik Ehrlich (1889-1968)

FOT. DOMENA PUBLICZNA

skiego. W niekorzystnej sytuacji stawiał wówczas Polaków zawarty przez Jagiełłę z Zygmuntem Luksemburskim, arbitrem w polskim sporze z Krzyżakami, pakt w Lubowni, w którym władca polski odstąpił od roszczenia wyrugowania zakonu z Prus. Król uczynił to na własną rękę, nie konsultując treści umowy ze szlachtą, a Zygmunt parł do takiego rozwiązania, bo nawet jeśli nie sprzyjał już tak otwarcie jak w przeszłości podupadającemu zakonowi krzyżackiemu, to i tak pragnął zaprowadzenia spokoju w tej części Europy, pochłonięty problemem buntujących się i ulegających ruchowi husyckiemu Czech. Nic więc dziwnego,

że rozmowy spełzły na niczym, a cesarz powierzył dalsze rozstrzygnięcie sporu powołanej przez siebie komisji, domagając się jedynie od zważnionych stron przestrzegania toruńskiego traktatu, nakładając za niedotrzymanie tego warunku sankcję w postaci kary wynoszącej 10 tys. grzywnien srebra. Na niewiele zdały się też starania nieuznawanego przez Krzyżaków subarbitra Benedykta Makraia, w którym zakon upatrywał jawnie stronniczego sojusznika Jagiełły. Równie stanowczo odrzucili oni jako osobę mediatora Eryka Pomorskiego. Zaognił sytuację dodatkowo poprzedzający Budę zjazd kujawski w Grabiach, na którym Polacy zażądali przekazania im niemal wszystkich pozostających pod krzyżackim panowaniem ziem (nasze roszczenia obejmowały, poza Pomorzem Gdańskim i ziemiami michałowską i dobrzyńską, także Nieszawę, Orłów, Murzynno, Drezdenko i Santok; w trakcie negocjacji zrezygnowali z Pomorza), a przystanie zakonu na to, by zwrócić Orłów, Murzynno i ziemie michałowską nijak nie usatysfakcjonowało strony polskiej, co



Międzynarodową sławę Pawłowi Włodkowicowi przyniósł sobór w Konstancji. Scena w Kronice Soboru przedstawiająca spotkanie uczonych, biskupów, kardynałów i papieża Jana XXIII

skończyło się zerwaniem rokowań. Nagła choroba powołanego przez Zygmunta do rozstrzygnięcia sporu arcybiskupa ostrzyhomskiego i palatyna Królestwa Węgier Jana Kanizsa spowodowała zawieszenie rozmów w Budzie, a ich dalszy ciąg miał nastąpić na soborze w Konstancji. I tak właśnie zatriumfował prawnicze mistrzostwo Pawła Włodkowica, który osiągnął dla Polski bardzo korzystny wyrok, choć zakon długo jeszcze bronił się przed jego wypełnieniem i przeciągał wyegzekwowanie postanowień aż do czasu wojny trzynastoletniej.

Kolejną odsłoną sporu z zakonem był sąd rozjemczy zwołany we Wrocławiu, którego orzeczenie z 1420 r. okazało się niekorzystne dla Polski, choć i tam Włodkowic użył całego swego prawniczego kunsztu. Niestety zmanipulowany przez Zygmunta Luksemburskiego papież Marcin V ku rozgoryczeniu Polaków owe rozstrzygnięcia podtrzymał.

Niestrudzony badacz

Przeszedł też Włodkowic do historii jako niezłomny obrońca tolerancji religijnej, wygłaszając na tym samym soborze w Konstancji jakże w owym czasie w Europie niepopularne przekonanie, że nie wolno pogan nawracać siłą, że mają oni prawo zachować własną wiarę.

Trudno nam dziś byłoby zgłębiać wyrażone po łacinie rozmyślenia średniowiecznego duchownego, gdyby nie wiekopomne dzieło młodszego o stu-

lecia badacza Ludwika Ehrlicha, który myśl Włodkowica przełożył na polski i w 1966 r. opublikował w dwujęzycznym, trzytomowym, monumentalnym wydaniu, którego podjął się Instytut Wydawniczy PAX. Zasługi Ehrlicha nie ograniczają się tylko do tego dzieła – uczony badał też myśl Stanisława ze Skarbimierza. Jako specjalista publicznego prawa międzynarodowego wydał dotyczący tego zagadnienia pierwszy polski podręcznik – został on wydany w 1927 r. i zatytułowany „Prawo narodów”. Analizując obowiązujące w Polsce na przestrzeni dziejów doktryny prawne, głosił tezę, że polska szkoła prawa międzynarodowego narodziła się w Krakowie już w XV w. Zasłynął też sformułowaniem doktryny o niemieckiej odpowiedzialności za zbrodnie dokonane na ziemiach polskich, która to doktryna została przyjęta przez Trybunał Norymberski w zakresie ustalania jednostkowej odpowiedzialności pod sądnych. Po wojnie Ehrlich bywał też biegłym na procesach niemieckich zbrodniarzy wojennych, w tym w pierwszym procesie oświęcimskim. Ten absolwent Uniwersytetu Lwowskiego, na którym prócz prawa studiował również filozofię i historię literatury, wychowanek słynnego prof. Oswalda Balzera, uzupełniał wykształcenie na uczelniach w Halle, Berlinie i Oksfordzie. Wykładając od 1917 r. na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, działał na rzecz odzyskania przez Polskę niepodległości. W latach 30., już jako profesor zwyczajny, kierował Studium

Dyplomatycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, a najslawniejszym bodaj jego wychowankiem z tego okresu był Jan Karski. Na tym samym uniwersytecie pełnił funkcję dziekana Wydziału Prawa, wygłaszał także gościnnie wykłady na uniwersytetach w Pradze, Jassach i Londynie oraz w Akademii Prawa Międzynarodowego w Hadze. Ponadto w Hadze był jednym z sędziów ad hoc tamtejszego Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej.

II wojna światowa zastała go we Lwowie, gdzie dopomógł prezydentowi Stanisławowi Ostrowskiemu sformułować zasady przekazania miasta Sowietom. W latach 40., aresztowany przez Niemców, był więziony w Sanoku i Biłgoraju, skąd wraz z 72 innymi więźniami został odbity przez oddział mjr. Tadeusza Sztumberka-Rychtera ps. Żegota. Wcześniej i później współpracował z AK (po uwolnieniu ukrywano go na Zamojszczyźnie, gdzie doczekał końca wojny i dokumentował dokonywane tam przez Niemców zbrodnie), głównie tłumacząc informacje z zagranicznych nasłuchów radiowych. Za zaangażowanie w polskie podziemie niepodległościowe zapłacił prześladowaniami ze strony komunistycznego aparatu bezpieczeństwa i usunięciem go w 1948 r. z Uniwersytetu Jagiellońskiego, na który powrócił po październikowej odwilży.

Ciekawostką jest to, że pochodząca z Ameryki żona Ehrlicha, poznana podczas studiów w Anglii, Frances Thornton, choć do końca życia nie zdołała biegle nauczyć się ojczystego języka męża, trwała wiernie u jego boku, godząc się na niedostatki PRL i akceptując jego niezgodę na opuszczenie Polski, a córka tej pary, Konstancja Krystyna, zakonnica w zgromadzeniu urszulanek, była, jako pracownica Uniwersytetu Jagiellońskiego, nauczycielką języka angielskiego Karola Wojtyły.

Ludwik Ehrlich należał do międzywojennej lwowskiej szkoły prawa, mniej może znanej od tej matematycznej, ale równie wybitnej. Tworzyli ją poza nim m.in. ludzie tak zasłużeni jak karnista Julian Makarewicz, cywilista Roman Longchamps de Berier czy zamordowany w 1942 r. we lwowskim obozie przy ul. Janowskiej genialny kodyfikator prawa Maurycy Allerhand. I choć minęło blisko 100 lat od czasu działań tego gremium, duch naukowych dokonań tych wielkich uczonych wciąż jest obecny w polskim myśleniu o zagadnieniach prawnych. ■

GEN NIEŚMIERTELNOŚCI:

„EDYP I ANTYGONA”
W KULTURZE POLSKIEJ

WERSETY JEDNEGO Z NAJBARDZIEJ PORUSZAJĄCYCH UTWORÓW TEATRU GRECKIEGO, RECYTOWANE NA PROGU TRZECIEGO TYSIĄCLECIA PRZEZ WIELKI AUTORYTET MORALNY NASZYCH CZASÓW, MAJĄ NIEZWYKŁĄ WYMOWĘ



**JERZY
MIZIOŁEK**

W czasie pielgrzymki do Polski w 2001 r. papież Jan Paweł II, rozpamiętując na rynku rodzinnych Wadowic czasy młodości, przytoczył dłuższy passus z „Antygony” Sofoklesa. Prawda o człowieku, jego losie i sprawach jego ziemskiej ojczyzny, bez względu na to, czy zawarta w Ewangelii, czy w tekstach autorów przedchrześcijańskich, może mieć taką samą lub podobną moc oddziaływania. Zwracali na to uwagę już ojcowie Kościoła, np. Bazyli Wielki w swoim słynnym liście „Do młodych”, a następnie renesansowi humaniści i animatorzy polskiego oświecenia i romantyzmu, kiedy to tematy czerpane z kultury antycznej Grecji zachowały nieustanną atrakcyjność. Sięgano m.in. do nieśmiertelnych dramatów Sofoklesa. Jego „Antygona” stała się inspiracją dla kilku obrazów wykonanych w Warszawie w latach 20. XIX w.; dwa z nich przetrwały do dziś i należą do skarbów Muzeum Narodowego w Warszawie.

Wystawa Sztuk Pięknych w Warszawie w maju 1828 r.

„Widok wystawy Sztuk Pięknych w Warszawie w 1828 roku” Wincentego Kasprzyckiego to niewątpliwie jeden



„Edyp i Antygona”,
Aleksander Kokular, 1828 r.

z najbardziej interesujących obrazów, jakie powstały w Warszawie w 1. połowie XIX w. Dzieło ukazuje wystawę czynną od 24 maja do 20 lipca 1928 r. w Gabiniecie Mineralogicznym Uniwersytetu Królewsko-Warszawskiego (na jego miejscu znajduje się obecnie gmach Wydziału Polonistyki), której „komisarzem” był Antoni Blank. Kasprzycki z niemal fotograficzną wiernością ukazał wystawione obrazy, sportretował zwiedzających i najwybitniejszych warszawskich malarzy tamtego czasu. Wśród artystów rozpoznać można samego Kasprzyckiego (siedzący, pierwszy po prawej), Antoniego Brodowskiego (stojący, czwarty od prawej), Antoniego Blankę (stojący frontalnie, z prawą ręką w kieszeni) oraz Aleksandra Kokulara (pośrodku, ujęty profilem, z tabakierką w ręku). Identyfikację wystawionych obrazów ułatwiły zachowany do naszych czasów katalog wystawy oraz jej recenzje w warszawskiej prasie codziennej. Na końcu sali, na wprost wejścia, widnieją dwa płótna: „Aleksander I nadający dyplom ustanowienia Uniwersytetu w Warszawie” Antoniego Brodowskiego, namalowany w tymże 1828 r. z okazji 10. rocznicy inauguracji Uniwersytetu, oraz „Edyp w Kolonos” Blankę. Kasprzycki zdążył jeszcze pokazać publiczności swoje niezwykle w dziejach polskiego malarstwa płótno na samej wystawie. Tak pisał o nim „Kurier Warszawski” z 14 lipca 1828 r., a więc na tydzień przed zamknięciem wystawy: „Dzieło to w czasie ekspozycji wykonane, ze wszech miar interesujące, zaleca się dokładnym wykończeniem i dowodzi dobrej znajomości tego rodzaju malarstwa. Jako zbiór obrazów piątej wystawy, zasługuje na uwagę, gdyż obraz ten przypominać będzie wzrost sztuk pięknych w kraju naszym”.

Informacja, iż była to już piąta tego rodzaju wystawa w Warszawie, i przede wszystkim kwestia obrazu Antoniego Blankę wymagają krótkiego omówienia. Obraz „Edyp w Kolonos”, w przeciwieństwie do znanych płócien Antoniego Brodowskiego i Aleksandra Kokulara, ukazujących „Edypa i Antygonę” (obydwa w Muzeum Narodowym w Warszawie), również na tejże wystawie ekspozycyjnych, nie zachował się do naszych czasów. Taki sam los spotkał jeszcze jeden obraz o tej samej tematyce pędzla Franciszka Pfanhausera, wystawiony już na wystawie w 1825 r. Wiadomo, że powstanie w tak krótkim czasie co najmniej czterech obrazów na



FOT. MNW

ten sam temat miało związek z konkursem, który ogłoszono w 1823 r., ale nie udało się dotąd wyjaśnić, w jakich okolicznościach wybrano ten właśnie temat i kto mógł być jego pomysłodawcą. Wyjaśnienie tej kwestii wydaje się tym bardziej interesujące, że temat „Edyp i Antygonę”, w przeciwieństwie do „Edypa ze sfinksem”, malowanego m.in. przez F. Xaviera Fabre'a i Jeana A.D. Ingres'a, był w kulturze artystycznej ówczesnej Europy niemal unikatowy.

Warszawskie wystawy sztuk pięknych

Publiczne wystawy sztuk pięknych zostały powołane ustawą Rady Admini-

stracyjnej Królestwa Polskiego z dnia 9 lipca 1818 r. Były one pierwszą tego rodzaju inicjatywą na ziemiach polskich. Inauguracja miała miejsce w 1819 r., kolejne ekspozycje odbywały się co dwa lata w różnych budynkach uniwersyteckich – m.in. w Gmachu Porektorskim (1819), Pawilonie Sztuk Pięknych (1821 i 1823), w Gmachu Fizycznym (1825), Gmachu Mineralogicznym (1828) – i cieszyły się ogromnym powodzeniem. Najlepsze prace nagradzono trzema rodzajami medali: złotymi, srebrnymi i brązowymi (każdy trzech wielkości – duży, średni i mały), których forma, jak przystało na epokę oświecenia, jest antykizująca.

>>



FOT. ZE ZBIORÓW AUTORA

Fasada Teatru Wielkiego w Warszawie z portretem Sofoklesa i scenami z jego sztuk

» Wydarzeniem tej pierwszej wystawy było pokazanie jednego z najznakomitszych płócien tamtych czasów; otrzymało ono I nagrodę, a jej twórca profesurę malarstwa, o którą dotąd bezskutecznie zabiegał. Ignacy Kochanowski tak pisał w swej recenzji w „Orle Białym”: „Nr 2. Obraz wystawiający Gniew Saula na Dawida, przez P. Brodowskiego. Obraz ten czyni prawdziwie zaszczyt pędzłowi artysty; kompozycja co do ustawienia osób, tak jak i co do charakterów, czyli rysów twarzy wskazuje, iż ten szacowny artysta kształcił swój talent według wielkich mistrzów. Osoby Saula i Dawida przedziwnie narysowane, postawy onych szlachetne, w stylu Anibale Carracci, koloryt pewny, lubo nieco nadto jednostajny tak w karnacji, jako też i w draperiach”.

W Oddziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Warszawskiego stworzono zatem prawdziwie korzystne warunki instytucjonalnego nauczania sztuki, stanowiące podstawy akademickiego systemu kształcenia artystów. W ciągu 16 lat jego funkcjonowania studiowało na nim 520 studentów; w przyszłości – która okazała

się dramatyczna – pozwoliło to na zachowanie w Warszawie ciągłości kształcenia artystycznego. Po upadku powstania listopadowego, kiedy jesienią 1831 r. Oddział Sztuk Pięknych wraz z całym Uniwersytetem został zamknięty, zarówno pamięć o nim, jak i metody nauczania pozostały żywe. Gdy Wojciech Gerson po 50 latach od wstąpienia do Szkoły Sztuk Pięknych, która była emanacją oddziału uniwersyteckiego, wspominał swoje studia, tak o nich napisał: „Tradycje, po których stąpaliśmy, wywierały niewątpliwie ważny wpływ [...]. Z dawniejszych nazwisk żywo jeszcze tkwiło w pamięci wszystkich Bacciarellego [...], z bliższych najżywsza była tradycja dzielnego artysty, najwyższe uprawiającego zakresy, Brodowskiego Antoniego i żyjącego jeszcze podówczas Kokulara. W ich pracach czerpali podniecie zmierzający ku wyżynom tworzenia obrazowego”.

„Edyp i Antygona” Brodowskiego i Kokulara

Powróćmy do wystaw w latach 1825 i 1828, na których pokazano „Edypa i Antygone” oraz „Edypa w Kolonos”. Zostały one wykonane na konkurs Ministerstwa Oświecenia Publicznego z 1823 r. Ogłoszono go jednak zbyt późno, aby artyści zdążyli namalować swoje obrazy na

wystawę w tym samym roku. Z czasem powstały aż cztery płótna na ten temat, a ich autorami byli Brodowski, Pfanhauer, Kokular (malarz ten wykonał swoje dzieło w czasie studiów w Akademii św. Łukasza w Rzymie) i Blank, znany ze wspomnianego już obrazu Wincentego Kasprzyckiego.

Kokular, podobnie jak Brodowski, wykonał obraz ukazujący Antygone prowadzącą swego ociemniałego ojca. Wystawił go w latach 1825 i 1828 – za drugim razem otrzymał srebrny medal „pierwszej wielkości”, najwyższą z przyznanych wówczas nagród. Płótno Brodowskiego, który pokazał obraz, ale najprawdopodobniej nie stanął do konkursu, odniosło wielki sukces; zarówno krytycy, jak i publiczność chwalili je za umiar i klasyczną prostotę.

Oddajmy głos autorowi artykułu zamieszczonego w „Gazecie Polskiej” (z 6 sierpnia 1828 r.): „Historia Edypa króla Tebów, Lajusa i Jokasty syna, który zaraz po urodzeniu przez matkę lękającą się skutków wyroczni na zabicie oddany, przez samychże zbójców ocalony, na dworze Polibiusza w Koryncie wychowany, w pierwszych młodzieńskich wieku latach do Tebów przybył, nieznanego jeszcze ojca swego w zdarzonej na drodze kłótni zabił, Sfinksa, potwór Teby dręczący, zgładził, w nagrodę z Jokastą królową matką swoją się ożenił, dwie córki i dwóch synów z nią spłodził, na koniec przez Thirezjasza, kapłana apollinowego, o tak niesłychanym kazirodztwie uwiadomiony, oczy sobie wylupiwszy na wygnanie się skazał. Ta historia stała się przedmiotem trzech największych i najwięcej zastanawiających obrazów. Pan Kokular chwycił pierwsze chwile, kiedy Edyp po utracie oczów puszcza się w wędrówkę przez córkę swoją prowadzony. Twarz pełna jeszcze cierpienia, chód niepewny i niejako chwiejący się, czułość Antygony prowadzącej go pod rękę z boleścią wewnętrzną połączona, doskonale są oddane. Pan Brodowski wystawił tegoż Edypa już śmiało postępującego, z opartą na ramieniu Antygony ręką. Szlachetność całej postawy Edypa wskazuje, że to nie jest pospolity człowiek; z bladej jego twarzy, widać śmiertelne duszy udęczenie, zaś postać Antygony, jej wyraz, jej układ i cały obrazu tego koloryt i naturalność są zachwycające”.

Obecnie, po bez mała 200 latach, obrazy obydwu mistrzów, które szczęśliwie przetrwały do naszych czasów, nie

budzą nawet w części takich zachwytów jak wówczas, kiedy powstały. Wydaje się, że w przypadku tego konkursu to Kukul, a nie Brodowski okazał się lepszym malarzem. Być może przyczyniła się do tego atmosfera Rzymu, w którym tworzył on swoje dzieło i za które otrzymał członkostwo Akademii św. Łukasza. Jego kompozycja przewyższa dzieło starszego kolegi zarówno pod względem układu, jak i bardziej jednolitej, posągowej formy.

Ludwik Osiński jako wykładowca i mentor

Nie próbowano dotąd wyjaśnić fenomenu tego konkursu. Dlaczego taki właśnie wybrano temat i kto był jego pomysłodawcą? Wydaje się, że inicjatorem mógł być Ludwik Osiński, prof. literatury powszechnej na Uniwersytecie. Wykłady jego – jak wiadomo z licznych źródeł pisanych – przyciągały nawet uczniów liceum ulokowanego, razem z Biblioteką Uniwersytecką, w Pałacu Kazimierzowskim. Słynne w całej Warszawie prelekcje ogłoszono drukiem dopiero po śmierci Osińskiego. Franciszek Salezy Dmochowski, ich wydawca, tak pisał o swoim ulubionym wykładowcy: „Najświetniejszym w pierwszych latach uniwersytetu warszawskiego, był kurs literatury powszechnej, przez Ludwika Osińskiego czytany. Odbływały się raz w tydzień, w sobotę, od godziny czwartej do piątej po południu”. Bodaj najwznioślej o cotygodniowym wydarzeniu kulturalnym Warszawy, jakim był wykład Osińskiego, napisał Kazimierz W. Wójcicki – znany XIX-wieczny badacz kultury Warszawy, absolwent pierwszego Uniwersytetu Warszawskiego: „Ludwik Osiński miewał dwie godziny na Uniwersytecie, wykładając kurs literatury powszechnej [prowadził też rodzaj seminarium]. Podwórze uniwersytetu w czasie tych prelekcji zapełniało się często karetami i pojazdami. Deklamacja ta wyborna Osińskiego wabiła tak wszystkich, że najzapaleńsi romantycy, jak Antoni Edward Odyniec, przybiegali na tę godzinę”.

W drugim tomie „Dzieł” Osińskiego odnaleźć można jeden z jego wykładów pt. „Tragedya u Greków”, w którym autor na wielu stronach wzniośle rozwodzi się nad sztukami Sofoklesa, m.in. „Antygoną i Edypem w Kolonos”: „Edyp w Kolonie, ostatnie dzieło Sofoklesa, jest dramatem w odmiennym rodzaju. [...] Jest to wspaniały hymn na cześć Aten, w którym

najwyższe pojęcia moralne, wyrażone są szczytnym językiem. Edyp okupił długą niewolą swoje mimowolne zbrodnie. Odzyskał łaskę bogów; oni oznajmili mu bliską śmierć i przepowiedzieli, że lud, który dzierżyć będzie grób jego, otrzyma przewagę nad wszystkimi nieprzyjaciółmi ludami. Przybywa do Kolony blisko Aten, zatrzymuje się w gaju poświęconym Eumenidom i poznaje, że tu jest kres jego życia. Wspaniałe jest zaczęcie tej sztuki: widać gaj święty, świątynię, miasto w oddaleniu i ślepego starca, którego prowadzi dziewczyna. Chór złożony z mieszkańców Kolony, każe mu ustąpić z gaju należącego do bóstw piekielnych. Antygonę błaga o gościnność dla ojca



Portret Ludwika Osińskiego, rysował Tegazzo, wyciął na drzewie Walter

i dla siebie”. W słowach tego wykładu mowa jest zatem nie tylko o „prowadzeniu ślepego starca”, lecz także – i przede wszystkim – o Edypie w Kolonos.

Na Osińskiego jako autora pomysłu na temat konkursowy wskazuje też fakt, że dzieje Edypa stały się tematem rozbudowanego reliefu, którym Paweł Maliński, prof. rzeźby na Uniwersytecie, ozdobił – w tej samej, trzeciej dekadzie XIX w. – portyk Teatru Wielkiego; w latach 1814–1830 Osiński był jego dyrektorem. Należy tu jeszcze przypomnieć, że Brodowski – autor jednego z interesujących nas obrazów – przyjaźnił się z Osińskim i wykonał co najmniej dwa jego portrety; obydwa znajdują się w Muzeum Narodowym w Warszawie. Już w świetle tego, co

zostało tu powiedziane, można mówić o wyraźnie uchwytym oddziaływaniu środowiska naukowego Uniwersytetu na profesorów sztuk pięknych. Działali oni przecież nie tylko na tej samej uczelni, lecz także w obrębie tego samego Wydziału Nauk i Sztuk Pięknych.

W ciągu kilkunastu lat – od 1816 do 1830 r. – w Warszawie doszło do ogromnych zmian w świecie sztuki. Artystów sprowadzanych dotąd głównie z zagranicy zastąpili twórcy rodzimi. Fryderyk Skarbek tak pisał o Brodowskim, który zmarł przedwcześnie w 1832 r.: „Kto był świadkiem postępów, jakie szkoła malarstwa w Warszawie, od czasu objęcia jej naczelnictwa przez Brodowskiego, uczyniła; kto widział rysunki i olejne studia z natury przez uczniów jego wykonane; kto znał tych młodych artystów, w których on zamięłowanie sztuki, smak czysty i zaszczytną dążność do udoskonalenia zaszczyć potrafił, ten przyzna, iż Brodowski był istotnym twórcą tej szkoły, która po kilku latach istnienia, tak piękne wydawała owoce”. Wychwała Brodowskiego również Józef Kenig w swoim eseju „Malarstwo w Warszawie” z 1851 r.: „Brodowski prowadził uczni nową drogą, wskazał im nowe środki, rzucił ich w świat i zgąsł sam, znany więcej uczniom jak światu, więcej małej koterii znawców jak krajowi. [...] Brodowski przeszedł, zostawiając po sobie kilka dzieł znamienitych, wielu pełnych nadziei uczni, którzy dziś z czcią jego imię wspominają; kraj nie widział, jak potężny talent utracił, nie pomyślał, że jemu winien pierwsze rozwinięcie swej artystycznej przyszłości. Brodowski i Blank, wspierając się wzajem, byli niejako ojcami dzisiejszego malarstwa u nas”.

W konkluzji tych rozważań warto jeszcze przywołać wypowiedź wielkiego aktora i wspaniałego mistrza słowa – Gustawa Holoubka. Oto jego myśli: „Powrót do Edypa może objawić ciągłość formuły teatru wymyślonego, jak wiadomo, przez Greków, wymyślonego genialnie, bo przez dwa i pół tysiąca lat nie nastąpiło żadne odstępstwo od zasad budowania dramatu. Schemat dramatu przetrwał do dziś. Dlatego wydaje mi się, że ten tekst Sofoklesa jest wyjątkowo aktualny pośród tego, co się z nami dzieje: chaosu, poszukiwania jakiegoś śladu sensu, możliwości porozumienia się ludzi. Tego typu dzieło daje krótką odpowiedź i wraca do źródeł. Rzecz jest o tym, co było podstawą filozofii Grecji antycznej”.


**RAFAŁ
ŁATKA**

UKSW

W KRĘGU KLIO

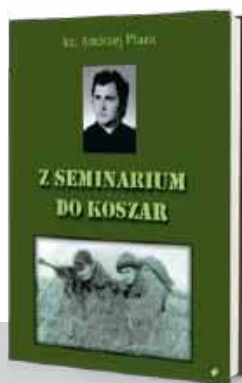
Nowości z kościelnej półki:



„Żarliwy antykomunista. Pontyfikat Jana Pawła II w dokumentach KGB Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej (1978-1991). Wybór, wstęp i oprac. Andrzej Grajewski, Warszawa 2023, Centrum Mieroszewskiego



Maria Okońska, „Przez Maryję wszystko dla Boga. Wspomnienia 1948-1965”, Warszawa 2023, Soli Deo



Andrzej Płaza, „Z seminarium do koszar. Dziennik z jednostki klerycznej w Bartoszycach (1974 r.)”, wstęp i oprac. Maria i Andrzej Perlakowie, Brzeźnia Łąka 2023, Wydawnictwo Poligraf



Paweł Kostrzewski, „Represje wobec diecezji częstochowskiej w tzw. Kraju Warty w okresie okupacji niemieckiej 1939-1945”, Łomianki 2023, Wydawnictwo LTW

Badania dotyczące historii Kościoła katolickiego w Polsce w XX w. systematycznie się rozwijają. Kolejne lata przynoszą szereg nowych publikacji monograficznych, edycji źródłowych oraz prac popularnonaukowych. Nie wszystkie z nich stoją na odpowiednio wysokim poziomie, ale wzrost wiedzy na temat roli i znaczenia tej instytucji dla dziejów naszej ojczyzny systematycznie się pogłębia. Czytelnikom „wSieci Historii” chciałbym polecić cztery wydane niedawno pozycje dot. tej problematyki, są to trzy edycje źródłowe oraz jedna monografia.

Zacząć należy od niezwykle ważnej publikacji: „Żarliwy antykomunista. Pontyfikat Jana Pawła II w dokumentach KGB Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej”. Tom źródeł pochodzących z ukraińskich archiwów, które wybrał i opracował Andrzej Grajewski, przynosi nam szereg nowych informacji na temat postrzegania Jana Pawła II przez Związek Sowiecki.

Są to zarówno analizy poświęcone znaczeniu wyboru kard. Karola Wojtyły na papieża; efektów jego pierwszej pielgrzymki do Polski; jak i – co szczególnie ważne – stosunku do Kościoła greckokatolickiego (oraz działań na rzecz jego odbudowy) oraz obchodom 1000-lecia chrztu Rusi. Dr Grajewski opatrzył publikację rozbudowanym wstępem, który nie tylko umieszcza publikowane źródła w szerokim kontekście historycznym ostatniej fazy zimnej wojny, lecz także informuje czytelników, jak należy interpretować przedstawione materiały archiwalne. To publikacja mająca istotne znaczenie dla historyków, gdyż daje nam nowe spojrzenie na pontyfikat Jana Pawła II (który ciągle wymaga dalszych badań), szczególnie w zakresie polityki wschodniej Stolicy Apostolskiej i fundamentalnych zmian, jakich dokonał w niej polski papież.

Maria Okońska przez długie lata należała do grona najbliższych współpracowników: księdza, biskupa, arcybiskupa i wreszcie kardynała Stefana Wyszyńskiego. Była współzałożycielką

i kierowniczką „Ósemki”, z której później narodził się Instytut Prymasowski Stefana Kardynała Wyszyńskiego. Wydawnictwo Soli Deo opublikowało właśnie drugą część wspomnień Okońskiej z lat 1948–1965. Pierwszy tom, zawierający notatki dotyczące lat 1920–1948, ukazał się w 2008 r. W planach wydawnictwa jest także trzecia, a zarazem ostatnia część wspomnień dotycząca okresu od 1965 r. do śmierci autorki. Jest to źródło bardzo ważne, z przynajmniej dwóch istotnych powodów. Po pierwsze, z bardzo bliskiej perspektywy, osoby obecnej niemal codziennie u boku kard. Wyszyńskiego, dokumentuje życie i działalność prymasa Polski. Pokazuje nie tylko aktywność lidera polskiego Kościoła w sferze publicznej, lecz także jaki był prywatnie, jak wyglądała jego religijność. Po drugie, „Wspomnienia” Okońskiej przedstawiają niezwykle pogłębiony obraz życia religijnego „Ósemki” oraz udział pań w kolejnych inicjatywach duszpasterskich kard. Wyszyńskiego. Dzięki temu wydawnictwu nasza wiedza na temat życia Prymasa Tysiąclecia z pewnością znacząco się poszerzyła.

Jedną z uciążliwych represji stosowanych przez komunistów wobec Kościoła katolickiego w okresie PRL był pobór kleryków do wojska. Inicjatorem tych działań był Wojciech Jaruzelski, któremu wydawało się, że zmuszenie alumnów do służby wojskowej poskutkuje masowymi odejściami młodych mężczyzn z seminarium i wyborem innej drogi życia. Pobór kleryków był stosowany przez władze Polski Ludowej w latach 1958–1980 i przyniósł jednak efekty dalekie od oczekiwań dygnitarzy partyjnych, bowiem tylko stosunkowo niewielka grupa alumnów (nieprzekraczająca 10 proc. powołanych do wojska) zdecydowała się nie kontynuować nauki w seminarium. Dzisiaj wiemy, że służba wojskowa wzmocniła charaktery wielu przyszłych kapłanów – czego najlepszym przykładem może być ks. Jerzy Popiełuszko. Staraniem małżeństwa Marii i Andrzeja Perlaków ukazały się właśnie zapiski jednego z alumnów, który odbył przymusową

służbę w jednostce kleryckiej w Bartoszycach. Jest to dziennik ks. Andrzeja Płazy z 1974 r. Redaktorzy edycji opatrzyli aparatem naukowym treść notatek duchownego, przygotowali pogłębiony wstęp historyczny oraz dodali fotografie dokumentujące pobyt Płazy w wojsku. Opracowanie stoi na dobrym poziomie merytorycznym oraz uzupełnia wiedzę historyków i pasjonatów naszych dziejów o nowe źródło dotyczące sposobów prześladowania alumnów w wojsku.

Czwartą książką z kościelnej półki, na jaką chciałbym zwrócić uwagę, jest monografia ks. Pawła Kostrzewskiego poświęcona represjom okupanta niemieckiego wobec duchowieństwa diecezji częstochowskiej. Mimo że dzieje Kościoła katolickiego w czasie II wojny światowej mają już dość bogatą literaturę, to od kilku lat widać wyraźny zastój w badaniach nad tą problematyką, większość historyków koncentruje się raczej na okresie PRL. Wydaje mi się, że badania autora książki mogą się przyczynić do zmiany tego stanu rzeczy. Ks. Kostrzewski dokonał bowiem olbrzymiej pracy źródłowej, gromadząc na użytek swojej pracy znaczący i różnorodny materiał źródłowy. Wspomniana dokumentacja (poszerzona o edycje źródłowe i szereg opracowań) pozwoliła mu na szczegółowe opisanie działań represyjnych Niemców wobec duchowieństwa tej części tzw. Kraju Warty. Autor nie ograniczył się do przedstawienia prześladowania kapłanów, lecz także opisał życie religijne na terenie diecezji częstochowskiej oraz podejście hierarchii kościelnej (z tego terenu) do polityki nazistów. Warto dodać, że Kostrzewski umieścił swoją analizę w szerokim kontekście historycznym II wojny światowej. Monografia „Represje wobec diecezji częstochowskiej w tzw. Kraju Warty w okresie okupacji niemieckiej 1939–1945” stanowi ważny krok w kierunku dalszych badań nad życiem religijnym w czasie okupacji niemieckiej i mam nadzieję, że stanie się zachętą do ich prowadzenia przez badaczy w innych regionach Polski. ■



Nikołaj Iwanow, „Ludzie Kremla nad Wisłą. Ideowcy czy zdrajcy?”, Kraków 2023, Wydawnictwo Literackie

W polskiej historiografii nie brakuje różnorodnych studiów dotyczących komunizmu, zarówno w zakresie myśli politycznej, biografistyki, jak i polityki władz Polski Ludowej wobec różnych środowisk politycznych czy sfer życia. Brakowało jednak całościowego

opracowania aktywności Polaków zaangażowanych w działalność komunistyczną, ich biografii, motywacji oraz przebiegu działalności w ruchu komunistycznym. Publikacja Nikołaja Iwanowa stara się tę lukę uzupełnić. Opracowanie składa się z dwóch integralnych części: „Krótka historia polskiej kolaboracji komunistycznej” oraz „Biografie Polaków »Na służbie u Moskali«”. W tej pierwszej autor poszukuje odpowiedzi na pytanie o akces Polaków do aktywności komunistycznej. Niestety ta część książki okazuje się zaskakująco mało pogłębiona. Brak tu szerszej analizy uwarunkowań społecznych i ideowych zaangażowania działaczy radykalnej lewicy w realizowanie

w praktyce myśli Karola Marksa. Wśród atutów tej części opracowania wskazałbym jasną ocenę, że zasługi dla instalowania komunizmu w Polsce miało wielu etnicznych Polaków (choć kluczowe dla zdobycia przez nich władzy było bez wątpienia wsparcie sowieckich bagnetów). Druga część książki „Ludzie Kremla nad Wisłą” jest w moim przekonaniu bardziej udana. Składa się ona z 16 syntetycznych (ok. 10-stronicowych) biografii najważniejszych komunistów polskiego pochodzenia. Iwanow opisał przebieg ich akcesu do ruchu komunistycznego, działalność oraz zasługi dla Związku Sowieckiego. Szczególnie ciekawy jest rozdział o Feliksie Dzierżyńskim (ciągle darzonym kultem w Rosji). Najwięcej emocji z kolei może budzić część poświęcona Władysławowi Gomułce, choć wypada się zgodzić z autorem, że był to ostatni prawdziwy polski komunista. ■

REKLAMA



Rafał Łatka rozmawia z...

...**DR. MICHAŁEM PRZEPERSKIM**, współredaktorem książki „Transformacja ustrojowa w Polsce. Nowe perspektywy”

Panie doktorze, ile już wiemy na temat polskiej transformacji ustrojowej, a czego nigdy prawdopodobnie się nie dowiemy?

Dr Michał Przeperski: Jeżeli idzie o proces polityczny – wiemy naprawdę dużo. O czym rozmawiano w Magdalence, w czasie obrad formalnych i nieformalnych grup przy okrągłym stole, jakie były obawy obu stron i jak wyobrażały sobie one polityczny kompromis. Znacznie trudniej odpowiadać na pytania dotyczące styku spraw gospodarczych i politycznych. Chociaż badacze są coraz bardziej zgodni, że uwłaszczenie nomenklatury nie miało tak wielkiej skali, jak sugerowały to opracowania z lat 90., patologie związane z przejmowaniem majątku państwowego czy też z tworzeniem tzw. spółek nomenklaturowych wciąż czekają na syntetyczne i pogłębione ujęcie. Prawdopodobnie nigdy precyzyjnie nie dowiemy się, jak wyglądały powiązania najwyższych kręgów władzy komunistycznej z rodzącym się sektorem prywatnym, który nierzadko korzystał z przestępczych metod, i do jakiego stopnia ukształtowało to ekonomiczno-polityczną rzeczywistość III RP. Ale to nie wszystko, paradoksalnie mało jest ujęć z zakresu historii społecznej. Jak wielu Polaków zdawało sobie sprawę z tego, co przyniesie transformacja ustrojowa? Jak sobie ją wyobrażano? Czy z epoki komunizmu wychodziliśmy jako zbiorowość o nastawieniach egalitarnych, czy wprost przeciwnie? To tylko kilka z pytań, na które nie znamy odpowiedzi. Ale wierzę, że je poznamy.

W tomie pod pana redakcją nie brakuje oryginalnych spojrzeń na proces zmian ustrojowych. Czy mógłby je pan pokrótce przybliżyć?

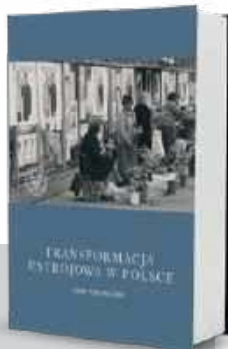
Bardzo cenię sobie badania łączące perspektywę socjologiczną i historyczną. Znakomicie pokazują to choćby studia

Tomasza Zaryckiego oraz Izabelli Bukraby-Rylskiej. W pierwszym wypadku analiza strukturalna prowadzi do wniosku, że przemiany transformacyjne zostały ukształtowane pod przemożnym wpływem inteligencji jako grupy dominującej. Każde to stawiać dalsze pytania: na ile polska inteligencja utrzymała tę hegemonię w III RP, a na ile utraciła ją na rzecz choćby instytucji międzynarodowych? Studium Bukraby-Rylskiej znakomicie pokazuje, jak mało wiemy o transformacyjnych przemianach na wsi: poruszając się w przestrzeni pełnej stereotypów jako badacze funkcjonujący w przestrzeni miejskiej, nie rozumiemy wiejskiego doświadczenia. A tymczasem nie ma przypadku w tym, że w III RP rządził ten, kto zdobywał sobie większościowe poparcie rodaków zamieszkających na wsi. To tylko dwie z kilkunastu propozycji opublikowanych w naszej książce – zachęcam, by zapoznać się ze wszystkimi.

Co miało największy wpływ na specyfikę transformacji w Polsce?

Wskazanie jednego czynnika jest bardzo trudne. Gdyby jednak już konieczne szukać jednego, powiedziałbym: bieda. Nie tylko państwo było bankrutem, lecz także polscy obywatele byli dramatycznie biedni. Tymczasem transformacja ustrojowa oznaczała wielkie otwarcie: na rynki globalne, na przepływ kapitału, na konkurencję ze strony znacznie silniejszych podmiotów zagranicznych. Dla przedsiębiorców polskich walka z taką konkurencją oznaczała walkę Dawida

„Transformacja ustrojowa w Polsce. Nowe perspektywy”,
Gdańsk-Warszawa 2022, IPN



z Goliatem, przy czym Dawid nie tylko nie miał procy, lecz także związane mu obie ręce. Polacy chcieli żyć jak na Zachodzie, bo to kryło się pod wszechobecnymi hasłami walki o „normalność” czy też „powrót do Europy”, ale zarazem musieli przyjąć warunki poddyktowane z zewnątrz. Pieniądz oznaczał podmiotowość – jego brak skutkował znaczącym ograniczeniem podmiotowości Polaków w procesie transformacji.

Czy planuje pan studium porównawcze przebiegu tych procesów w całej Europie Środkowo-Wschodniej?

Takie studium jest z pewnością bardzo potrzebne, a badania nad transformacją w regionie nabierają tempa. Wspólnie ze współredaktorem książki Danielem Wicentym oraz pozostałymi uczestnikami projektu IPN poświęconego transformacji ustrojowej współpracujemy z badaczami z całej Europy Środkowej – warto by za niedługi czas zaprezentować czytelnikom obraz szerszy niż tylko ten polski. Jednocześnie: to ogromne wyzwanie. Dostępność źródeł jest bardzo zróżnicowana, a jednocześnie nieunikniona tendencja do generalizacji może owocować nadmiernymi uproszczeniami. Nie uchylamy się jednak. Podobieństwa pomiędzy Polską a Węgry w końcu lat 80. – takimi porównawczymi badaniami sam się zajmuję – są bowiem nie mniej frapujące niż różnice, które gołym okiem widać do dziś pomiędzy państwami naszego regionu.

Dystopijny cień Huxleya



**ELŻBIETA
BRZOZOWSKA**

Aldous Huxley to tyleż fascynujący, co niełatwy bohater biografii. Jego życie może nie było nadzwyczajnie długie (1894–1963), za to przypadło na okres burzliwych przemian i rewolucyjnych wydarzeń, które wywracały na nice cały dotychczasowy porządek.

Oczywiście to samo można powiedzieć o wielu innych sławnych osobach, jednak Huxley dokładał do tego swoją niepospolitą zdolność wyczuwania pulsu świata, intuicyjnego sięgania wzrokiem dalej niż większość mu współczesnych. Nie wspominając o wyrazistym charakterze oraz otoczeniu równie osobliwych co sam Huxley oryginałów. To wszystko składa się na wielce udaną, wielobarwną, chwilami skandalizującą opowieść o ludziach i czasach (o Huxleyu, jego żonach,

ich przyjaciółkach i przyjaciółach, wojnach, kulturze i establishmentie), jednak ambicja Jake'a Pollera, autora niniejszej biografii, sięga dalej. „Co nam zostało po Huxleyu?” – pyta Poller i, o dziwo, jego odpowiedź jest bardziej skomplikowana niż „Nowy wspaniały świat”.

Oczywiście dystopijna wizja świata powszechnego, wytwarzanego i aplikowanego z fabryczną precyzją szczęśliwości, kastowego społeczeństwa ludzi-wytworów pozbawionych wyższych uczuć i samodzielności pozostaje najbardziej znanym dziełem Huxleya. Co więcej, przyglądając się zalewowi rozmaitych aplikacji służących pomiarom i poprawie naszego well-being oraz komercyjnemu wykorzystywaniu badań neuro-naukowych, można dojść do wniosku, że Huxleyowska wizja jest aktualna jak nigdy dotąd. Jake Poller idzie jednak w nieco inną stronę i wskazuje na „Filozofię wieczystą”, „Drzwi percepcji” oraz „Wyspę”. I faktycznie – kontrkultura lat 60., ruchy głębokiej ekologii i potencjału ludzkiego, ideologia New Age, postawa

„duchowość, lecz nie religia”, festiwale w rodzaju „Burning Man” czy radykalni aktywiści nowego typu – wszystko to wydaje się wprost wyjęte z książek Huxleya i przemawia za genialnym wy-/przeczućiem autora. Bardziej interesujące od tych krzykliwych manifestacji naśladownictwa są jednak długofalowe (i wcale nie niewinne) skutki podjętych na nowo badań nad mózgiem i substancjami psychodelicznymi. Jak to się skończy? O tym, jak sam Huxley patrzył na wprowadzających bezrozumnie jego książki w czyn, świadczy wymownie reakcja na wieść, że zainspirowany „Wyspą” Timothy Leary założył w Meksyku ośrodek szkolenia psychodelicznego: „Dlaczego, no dlaczego on musi być aż takim osłem?”.

Jake Poller, „Huxley. Biografia”, tłum. Bartłomiej Zborski, Państwowy Instytut Wydawniczy 2023



Wszystko jasne!



**GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
DEC**

Wakacje to czas podróży i odkrywania miejsc nieoczywistych oraz mało znanych. A takich w Polsce nie brakuje.

Być może tegoroczna letnia trasa poprowadzi kogoś do Muzeum Przemysłu Naftowego i Gazowniczego im. I. Łukasiewicza w Bóbrce. Warto przed taką podróżą sięgnąć do książki Zuzanny Orlińskiej „Wszystko jasne!” z serii „Nieprzeciętni” Wydawnictwa Literatura. Jej kolejne części przybliżają sylwetki znanych Polaków w sposób ciekawy dla najmłodszego czytelnika.

Orlińska opowiada historię Ignacego Łukasiewicza, ale głównym bohaterem książki jest kilkuletni chłopiec – Franek,

który wraz z rodzicami przyjechał do dworu w Chorkówce. Powodem wizyty jest uroczystość rodzinna – imieniny wuja, lecz w tle pojawia się również jakaś rocznica ważnego dla niego wydarzenia. W dworze pełnym dźwięków, tajemnic, krzątający i wielkiego zamieszania chłopiec czuje się nieswojo, nie do końca rozumie też powód spotkania. Dodatkowo boi się ciemności i to sprawia, że ma problemy z zaśnięciem. Wymyka się więc ze swojego pokoju i trafia pod opiekę przybranej córki Łukasiewiczów – Wali. Dzięki jej cierpliwości i przygotowanemu przez nią teatrowi cieni, wykorzystującemu przedmioty codziennego użytku, uruchomiona została dziecięca wyobraźnia, która pozwoliła Frankowi na poznanie historii Ignacego. Sytuacja życiowa sprawiła, że został farmaceutą. Ale jego pasja i wytrwałość w dążeniu do celu doprowadzają go do wynalezienia lampy naftowej – przedmiotu, który ułatwił życie wielu ludziom.

A innym pozwolił na to, by przestali bać się ciemności. W trakcie przedstawienia okazało się, jakie to ważne wydarzenie miało miejsce 25 lat temu – wynalazek wuja uratował ludzkie życie. Jego lampy oświetliły salę operacyjną, w której przeprowadzany był trudny zabieg chirurgiczny.

W fabularyzowanej opowieści o historii wynalazcy nie brakuje wątków z historii Polski. Pojawia się bowiem postać weterana powstania listopadowego, a wraz z nim wątek walki o niepodległość w życiu Łukasiewicza.

Ilustracje Marcina Minora dopełniają klimatu opowieści. Sporo w tej warstwie nawiązań do światła, już sam zabieg teatru cieni pozwala na ilustracyjną zabawę z czytelnikiem.

Zuzanna Orlińska, „Wszystko jasne! Ignacy Łukasiewicz wielki polski wynalazca”, ilustracje Marcin Minor, seria „Nieprzeciętni”, Wydawnictwo Literatura 2022. Wiek 9+



Historia zamku w Gostyninie sięga VI w. n.e.
Zachowany do naszych czasów biały budynek pochodzi z 1840 r.
Część po jego prawej stronie dobudowano w roku... 2009

SILVA RERUM

CAR W GOSTYNNINIE

Pod koniec kwietnia nadeszły wyczekiwane ciepłe dni. Nareszcie mogłem wsiąść na rower i korzystając ze sprzyjających warunków – wyruszyć w trasę w poszukiwaniu historycznych perełek. Tym razem trafiłem do najbardziej wysuniętego na zachód miasta Mazowsza – Gostynina.

Zyskał on rozgłos kilka lat temu, po zlokalizowaniu na jego obrzeżach, w myśl tzw. ustawy o bestiach, specjalnego ośrodka dla przestępców kończących odsiadki wyroków, którzy decyzją sądu, ze względu na nadal stwarzane przez nich niebezpieczeństwo dla zdrowia i życia ludzi na wolności, trafiają tam, by nadal pozostawać w odosobnieniu. Ponura sława tego miejsca nie licuje jednak z samym miasteczkiem. Choć niewielkie, może szczycić się długą i barwną historią. Badania archeologiczne unaocznily, iż już VI w. wiodły tędy szlaki handlowe, których strzegł drewniany gród. Jego rozbudowa nastąpiła znacznie później, bo w XII w. za sprawą Konrada Mazowieckiego. Musiała być ona udana, skoro warownia przetrwała oblężenia w 1300 r. przez Wacława II Czeskiego i 1326 r. przez Władysława Łokietka.

Skok rozwojowy Gostynin zawdzięczał jednak książętom mazowieckim Siemowitowi III i jego synowi Siemowitowi IV. Najprawdopodobniej z woli pierwszego z nich rozpoczęła się budowa, mającego zastąpić stary gród, zamku w nowym miejscu na specjalnie w tym celu usypanym wzgórzu. Po obwarowaniu w ten sposób miasta Siemowit III obwołał je stolicą okolicznych ziem i w 1352 r. do swych tytułów dodał miano księcia gostynińskiego. W 1382 r., rok po śmierci ojca, Siemowit IV nadał Gostyninowi prawa miejskie i wraz z rozwojem osady rozbudowywał zamek – powstały murowana wieża, mur obronny i otoczony drewniano-ziemnym przygródek. Ambicje młodego księcia sięgały daleko poza nowy kasztel i całe Mazowsze – pragnął zostać królem Polski. Na zjeździe możnych i szlachty w Sieradzu w 1383 r. niemal mu się to udało. Gdyby nie sprzeciw Małopolan, to zapewne Siemowit IV, a nie Władysław Jagiełło, poślubiłby królową Jadwigę Andegaweńską. Książę próbował jeszcze siłą dostać się na polski tron, jednak plan porwania z Wawelu, a następnie poślubienia Jadwigi spalił na panewce. Finalnie Siemowit pojął za żonę siostrę

Jagiełły Aleksandrę, a zamiast królem Polski stał się jej lennikiem, składając hołd Jadwidze i Jagielle po ich zaślubinach.

Siemowit IV na tyle mocno wrył się w historię Gostynina, że jego podobizna została uwieczniona w kamieniu i dumnie spogląda z cokołu na mieszczan oraz turystów przechadzających się zadbanym, prostokątnym rynkiem uroczego miasteczka.

Niemal 200 lat po śmierci księcia (1426 r.) na gostynińskim zamku ostatnie tchnienie wydał inny władca. 12 września 1612 r. zmarł tam Wasyl Szujski – pojmany w Moskwie przez hetmana Stanisława Żółkiewskiego rosyjski car. Wkrótce po nim zmarli również tam więźni jego brat – Dymitr Szujski z żoną Jekateriną. Przyczyną śmierci była prawdopodobnie zaraza, ale podejrzewano też otrucie. Niewolę przeżył najmłodszy z braci Szujskich – Iwan, który w 1619 r. wrócił do ojczyzny. Carska rodzina, mimo że w niewoli, nie cierpiała niewygód w Gostyninie. Wielokrotnie przebudowywany zamek był jedną z bardziej komfortowych rezydencji w Koronie, więźniów obsługiwała rosyjska służba, a sprawujący nad nimi pieczę starosta Jerzy Garwański nie szczędził pieniędzy na ich utrzymanie.

Do tych wydarzeń nawiązuje wystrój sali kolumnowej obecnego obiektu hotelowego wybudowanego w 2009 r. w miejscu zamku zrujnowanego najpierw w czasach potopu szwedzkiego, a następnie podczas konfederacji barskiej. Ściany pomieszczenia zdobią obrazy przedstawiające hołd cara Szujskiego i jego braci przed królem Zygmuntem III Wazą autorstwa Jana Matejki oraz innych artystów. Budynek z wykorzystaniem elementów książęcego zamku powstał w pierwszej połowie XIX w. jako kościół ewangelicki, którym był do końca II wojny światowej. Do 1978 zaś roku funkcjonował w nim kościół katolicki, a obecnie pełni on funkcje konferencyjno-gastronomiczne.

Być może warto przypomnieć światu o Gostyninie, nie o jego wielokulturowości – do 1939 r. żyli w nim w zgodzie Polacy, Żydzi, Niemcy i Rosjanie – ale jako o mieście, w którym więziono cara Rosji. Obecny jej władca już dawno kwalifikuje się do umieszczenia w odosobnieniu, a tak się akurat składa, że właśnie tam usytuowana jest odpowiednia ku temu placówka.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

GÓRNA PÓŁKA

Gierek

ANTONI
DUDEK

Mimo że od śmierci Edwarda Gierka minęło już ponad 20 lat, nie doczekał się on dotąd solidnej, całościowej biografii spełniającej wymogi dzieła naukowego. Siłą rzeczy nie mógł tej roli spełnić skądinąd znakomicie napisany kilkudziesięciostronicowy tekst autorstwa prof. Jerzego Eislera, a opublikowany w książce „Siedmiu wspaniałych”, mieszczącej portrety wszystkich I sekretarzy KC PZPR. Lukę tę wypełnił prof. Mirosław Szumiło, publikując pierwszą część naukowej biografii Edwarda Gierka.

Główną zaletą książki prof. Szumiły jest szeroka podstawa źródłowa, na jakiej

oparł swoje ustalenia, w tym zwłaszcza włączenie do obiegu naukowego szeregu nowych informacji. Pochodzą one zarówno z archiwów zagranicznych (m.in. z ponownie całkowicie niedostępnych rosyjskich!), jak i krajowych. Udało mu się zgromadzić wiele istotnych oraz nieznanych dotąd danych na temat związków Gierka z francuskim i belgijskim ruchem komunistycznym, działalności w antyhitlerowskim ruchu oporu, a zarazem skonfrontować z zachowanymi źródłami sprzeczne informacje na ten temat pochodzące od samego bohatera książki. Prof. Szumiło pokazał mechanizm budowy okupacyjnej legendy Gierka tworzonej w latach 70. Równocześnie zaś umiejętnie wprowadził do tekstu szereg informacji dotyczących różnych przedwojennych komunistów, którzy później współtworzyli ekipę Gierka, co sprawia, że książka jest po części jej portretem zbiorowym.

Zasadniczą część publikacji dotyczy działalności Gierka w aparacie PZPR i zawiera wiele nowych ustaleń, zwłaszcza pochodzących z dokumentów sowieckiego aparatu dyplomatycznego. Prof.

Szumiło celnie pokazał, że dobór odpowiednich podwładnych, a także unikanie silnego zaangażowania w walki frakcyjne utorowały Gierkowi drogę do władzy nad województwem katowickim. Autor w udany sposób odtworzył proces budowy przez Gierka wizerunku „dobrego gospodarza” Górnego Śląska, który z czasem uczynił go jednym z głównych kandydatów do przejęcia władzy z rąk Gomułki.

W końcowej części książki prof. Szumiło wyczerpująco i dynamicznie opisał z jednej strony proces narastania społecznego niezadowolenia z rządów Gomułki, z drugiej zaś okoliczności powstania spisku w kierownictwie PZPR, którego celem stała się zmiana na stanowisku I sekretarza KC PZPR. Wypada zatem trzymać kciuki za publikację drugiej części tej biografii, ukazującej rządy Gierka już nad całą Polską.

Mirosław Szumiło,
„Gierek. Droga do
władzy”, Łódź–Lublin
2023



POLSKIM OKIEM

Polski Senegal

RYSZARD
CZARNECKI

Polacy są wszędzie. Także w Senegalu – w kraju, którego 96 proc. mieszkańców to muzułmanie. W sumie w 19-milionowym Senegalu jest garstka, bo ok. 50 Polaków.

Jak zwykle w krajach Afryki sporą część polskiej kolonii stanowią zakonnice i księża. Są świetnymi ambasadorami naszego kraju. S. Henryka Panek spod Puław, pielęgniarka z zawodu, po 10 latach posługi w Mauretanii, od 11 lat służy bliźnim w senegalskiej przychodni. Nie przypadkiem właśnie ta przychodnia została wyposażona w sprzęt przez państwo polskie. S. Regina Mnich z Trzebnicy, moja krajanka z Dolnego Śląska,

w Senegalu jest od 33 lat. Z zawodu pielęgniarka dyplomowana – takie kompetencje tutaj to skarb – służy w ośrodku dla niedożywionych dzieci. O. Szczepan Frankowski z Wrocławia – do Afryki trafił przez wspólnotę Taizé – właśnie wybudował przedszkole w regionie Fatick, gdzie 90 proc. mieszkańców to katolicy. Jest też Piotr Haluba, który założył pierwszy w Senegalu klub amp futbolu. Są nasi dyplomaci z ambasadorem Bartłojem Zdaniukiem na czele. Jest też nuncjusz, Polak Waldemar Sommertag. To słynna osoba, odkąd z Nikaragui wyrzucił go quasi-komunistyczny, represyjny wobec Kościoła reżim. Jest też Leszek Biały, syn żołnierza od Andersa, który wrócił do Polski – kieruje tu delegaturą PAIH – i właśnie organizuje forum gospodarcze dla branży spożywczej z udziałem 18 polskich firm. Promocją Polski była też wizyta prezydenta RP jesienią 2022 r.

Funkcjonuje program stypendialny im. Stefana Banacha (rok nauki języka polskiego i studia za darmo – pobyt opłacają studenci). To dobra inwestycja, bo studenci z Senegalu wrócą do swego kraju i z czasem może zostaną wpływowymi ludźmi, jak prezydent sąsiedniego Mali – absolwent polskiej uczelni.

Sporo turystów przyjeżdża tu z Polski: jadą do anglojęzycznej Gambii, łatwiejszej dla rodaków od frankofońskiego Senegalu, a potem autokarami przyjeżdżają do tutejszej stolicy – Dakaru, choćby po to, żeby zobaczyć katolicką katedrę w sercu islamskiego państwa.

Na koniec odwiedzam ośrodki prowadzone przez s. Ksawerę Michalską. Jest tu sala do dożywiania dzieci, centrum do wykrywania AIDS, laboratorium ze zdjęciem polskiego papieża. Wyposażenie i sala do konsultacji dla kobiet w ciąży zostało sfinansowane przez Polskę.

Rozmawiałem z rodakami. Tworzą oni tutaj „Polskę poza Polską” (Jan Paweł II). Oto prawie na końcu świata spotykam ludzi, którzy własnym życiem budują najlepszy z możliwych wizerunek Polski.

Narodowy ubezpieczyciel czerpie z 220 lat tradycji ubezpieczeń

Instytucje ubezpieczeniowe przetrwały zabory i nie tylko



Przetrwać zabory, represje po powstaniach narodowych, dwie wojny światowe, komunizm i nawet tzw. plan Balcerowicza to rzecz niebywała. Jeśli istnieje podmiot, którego nie zdołały zmieść zawieruchy dziejów, a te na polskie nieszczęście w ciągu ostatnich dwóch wieków z okładem były w naszej części świata szczególnie intensywne, to warto pochylić się nad jego fenomenem i rozważyć fundamenty tej siły, która pozwoliła mu trwać na przekór wiatrom historii



Przewrotnie zaczynamy... od końca. Gdy właśnie powstał ten tekst, w Paryżu rozgrywano jeden z czterech najważniejszych dorocznych turniejów tenisowych – wielkoszlemowego Rolanda Garrosa. W głównej roli w turnieju pań – numer jeden świata

owych rankingów i główna faworytka do zwycięstwa – Iga Świątek. Zamiast na świetnym serwisie, mocnych returnach i zabójczych crossach, skoncentrujmy się jednak na skromnej sukience naszej mistrzyni. Jak to w tenisowym świecie, mało miejsca na strojach oddano na logotypy sponsorów, ale akurat to jedno logo – tak

bliskie każdemu Polakowi – widać na sukience Igi znakomicie. Kóteczko z trzema literami to przecież nasze, polskie, tak dobrze znane i bliskie PZU. Gdy je widzimy na stroju Igi, to w polskim sercu radość się podwaja – nie tylko najlepsza w ostatnim czasie tenisistka jest Polką, lecz także korzysta głównie ze wsparcia rodzimej firmy,

co przecież wcale nie jest takie oczywiste w świecie sportu. Dodatkowo PZU to idealny sponsor dla tenisowej mistrzyni, bo jego małe logo w zupełności wystarczy za cały przekaz reklamowy, na który w tenisie modzie miejsca brak. Jednak w przypadku PZU więcej nie potrzeba, w końcu każdy wie, czym jest PZU – od dzieci po najstarszych seniorów.

Niech Polacy płacą za siebie

Skoro omówiliśmy już zakończenie tej historii we współczesności, to teraz możemy cofnąć się do początków. A początki były raczej smutne. W 1803 r. miało już osiem lat, odkąd wymazano I Rzeczpospolitą z map Europy. Po entuzjazmie towarzyszącym polskim elitom 12 lat wcześniej po uchwaleniu Konstytucji 3 maja nie ma już śladu. Ale życie toczy się dalej, tylko że teraz Polakom urządził już ktoś inny. I tak 21 kwietnia 1803 r. to bardzo ważna data w historii Polski (choć oficjalnie wówczas nie istniała jako państwo). Tego dnia król Prus Fryderyk Wilhelm III wydał edykt o powołaniu Towarzystwa Ogniwego dla Miast w Prusach Południowych, które swoim działaniem obejmowało ziemie zaboru pruskiego odebrane Polsce w czasie II rozbioru. Celem Towarzystwa było organizowanie ubezpieczeń od ognia wśród ludności polskich miast, a następnie wsi. Pożar dla w przeważającej części drewnianych ludzkich osad był wówczas największym, śmiertelnym i często występującym zagrożeniem. Wzajemne ubezpieczanie się nie tylko zabezpieczało pruską kasę przed ponoszeniem ewentualnych kosztów odbudowy zniszczonej przez ogień infrastruktury, lecz także miało z pewnością walor edukacyjny. Zwracając uwagę na to, że należy uważać podczas korzystania z ognia. Oddajmy jednak naszym przodkom, że tzw. porządki ogniowe i kasy ogniowe były organizowane także w I Rzeczypospolitej już w XVI i XVII w. Różnica polegała jednak na tym, że były to lokalne inicjatywy, które nie przybierały zinstytucjonalizowanej formy nadzorowanej przez państwo.

Przetrwalnik narodowej tożsamości

Ubocznym, bo pewnie przez pruskiego króla niezamierzonym, skutkiem było powstanie organizacji, która miała niebagatelne znaczenie dla utrzymywania narodowych więzi wśród Polaków pod

jarzmem zaborców. Po wojnach napoleońskich powołane do życia przez Fryderyka Wilhelma Towarzystwo działało bowiem dalej, tylko że w zaborze rosyjskim. Zaborcy zdawali sobie sprawę, że aby czerpać korzyści materialne z ziem zagrabionych Rzeczypospolitej, nie można dopuścić do tego, by znajdujące się na nich ośrodki miejskie i wsie były pozbawione samodzielnej finansowej możliwości naprawy szkód wyrządzanych przez żywioły. Jednocześnie jednak ubezpieczenia wzajemne budowały i przechowywały polską świadomość i tożsamość w trudnych bezpieczeństwa czasach. Nietety to, że instytucja ubezpieczeniowa może być przetrwalnikiem polskiej świadomości narodowej,

pieczenia Budowli od Ognia, które przejęło zarządzanie ubezpieczeniami budynków. Zarząd nad ubezpieczeniami został przeniesiony do rosyjskich władz gubernialnych, natomiast inne rodzaje ubezpieczeń przeszły na rachunek prywatnych towarzystw rosyjskich. Decentralizacja ubezpieczeń okazała się jednak błędem, ponieważ brakowało profesjonalistów



Edykt króla Prus Fryderyka Wilhelma III o powołaniu Towarzystwa Ogniwego dla Miast w Prusach Południowych z 21 kwietnia 1803 r.

zaborcy także wreszcie dostrzegli, czego efektem było odebranie Polakom zarządu nad ubezpieczeniami po klęsce powstania styczniowego. W wyniku represji wobec polskich instytucji Dyrekcja Ubezpieczeń (bo tak wówczas nazywała się już główna polska organizacja ubezpieczeniowa) również nie uniknęła konsekwencji. Została rozwiązana w 1867 r. Z kolei w 1870 r. powstało nowe towarzystwo ubezpieczeń o nazwie Wzajemne Gubernialne Ubez-



w guberniach, którzy umieliby efektywnie zarządzać ryzykiem ubezpieczeniowym. W rezultacie w 1900 r. odebrano guberniom prowadzenie ubezpieczeń, a nowo utworzone towarzystwo o nazwie Ubezpieczenia Wzajemne Budowli od Ognia w Królestwie Polskim przejęło tę rolę. Taki stan utrzymywał się aż do momentu odzyskania przez Polskę niepodległości.

W wolnej Polsce

W II Rzeczypospolitej sprawą ubezpieczeń zajęto się dopiero po wojnie z bolszewikami. W 1921 r. Sejm odrodzonego państwa polskiego przyjął ustawę wprowadzającą obowiązkowe ubezpieczenie od ognia oraz powołującą Polską Dyrekcję Ubezpieczeń Wzajemnych (PDUW). Zgodnie z tą ustawą większość budynków była zobowiązana do posiadania ubezpieczenia od szkód pożarowych. PDUW oferowała również opcjonalne ubezpieczenia, takie jak ubezpieczenie plonów przed gradobiciem, ubezpieczenie na życie, emerytalne, od nieszczęśliwych wypadków oraz ubezpieczenie inwentarza przed pomorem. PDUW przejęła także wcześniejsze zobowiązania Ubezpieczeń Wzajemnych Budowli od Ognia w Królestwie Polskim. Dodatkowo od 1933 r. PDUW rozszerzyła swoje kompetencje o Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych m.st. Warszawy.

Bliższy naszej dzisiejszej świadomości szyld pojawił się w 1927 r., kiedy PDUW >>

» zmieniła nazwę na Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych (PZUW). Przemianowana instytucja zmieniła także krajobraz architektoniczny Warszawy, gdy w 1928 r. wprowadziła się do nowej, okazałej siedziby przy ul. Kopernika 36/40. Budynek ten pierwotnie miał być hotelem, ale gdy jego inwestor nie poradził sobie finansowo, trafił pod pieczę PZUW. Niestety siedziba firmy padła ofiarą Niemców jak większa część polskiej stolicy, a po wojnie odbudowano ją tylko częściowo.

II wojna światowa przeorganizowała także mapę świadczeń ubezpieczeniowych w Polsce i to na długo przed tym, zanim nowe komunistyczne władze zaczęły tworzyć monopole i przemysłowe zjednoczenia. W zrujnowanej i znajdującej się po sowieckiej stronie „żelaznej kurtyny” Polsce większość przedwojennych podmiotów po prostu nie planowała wznowienia działalności. Wyjątkiem były Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych (PZUW) oraz Poczta Kasa Oszczędności (PKO), która rozpoczęła sprzedaż ubezpieczeń na życie w 1946 r. Jednak już w 1948 r. wszystkie pro-

wadzone przez PKO ubezpieczenia zostały przejęte przez PZUW. Podobnie Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych w Poznaniu został włączony w działalność PZUW.

Narodziny szyldu

W styczniu 1947 r. PZUW wznowił swoją działalność w powojennej Polsce. Zgodnie z dekretem regulującym ubezpieczenia majątkowe i osobowe PZUW oferował trzy rodzaje ubezpieczeń: obowiązkowe ubezpieczenia od ognia budynków, ubezpieczenia majątkowe oraz ubezpieczenia osobowe. PZUW mógł tworzyć oddziały wojewódzkie i inspektoraty powiatowe na poziomie lokalnym. Na mocy tego dekretu ubezpieczenie od ognia budynków było obowiązkowe. Również ubezpieczenia transportowe (lądowe, śródlądowe, morskie i powietrzne) były przymusowe. Już w 1946 r. PZUW oferował szeroki zakres ubezpieczeń od odpowiedzialności cywilnej. Przedsiębiorstwa przemysłowe, gospodarstwa rolne, zakłady lecznicze, szkoły, hotele i gminy mogły ubezpieczyć się od odpowiedzialności cywilnej. Ubezpieczenie OC było dostępne też dla aptekarzy, chemików, lekarzy, dentyków, architektów i inżynierów.

W 1952 r. wprowadzono obszerną

regulację dotyczącą ubezpieczeń państwowych. Zgodnie z nową ustawą, ubezpieczenia państwowe obejmowały zarówno ubezpieczenia majątkowe, jak i osobowe. Ubezpieczenie majątkowe mogło dotyczyć wszelkiego rodzaju mienia, podczas gdy ubezpieczenie osobowe obejmowało życie lub zdolność do pracy fizycznej. Ustawodawstwo nadal dopuszczało również zawieranie umów dobrowolnych ubezpieczeń.

Zgodnie z ustawą z 1952 r. Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych (PZUW) przekształcono w Państwowy Zakład Ubezpieczeń (PZU). Głównym celem PZU było organizowanie ubezpieczeń oraz gromadzenie środków finansowych z wpłat składek ubezpieczeniowych w celu wypłaty odszkodowań i świadczeń. PZU posiadał możliwość tworzenia dyrekcji wojewódzkich i inspektoratów powiatowych w celu sprawowania kontroli i zarządzania działalnością ubezpieczeniową. PZU uzyskał ponadto wyłączność w zawieraniu umów ubezpieczeniowych. W tym czasie po raz pierwszy pojawiło się charakterystyczne, okrągłe logo PZU, które było widoczne na szyldach i dokumentach, a które dziś w unowocześnionej formie widzimy, chociażby oglądając w akcji liderkę tenisowego rankingu WTA 2023 r.

Ten czas, kiedy PZU był z powodu uwarunkowań historycznych jedynym dostępnym dla Polaków ubezpieczycielem, zaowocował swoistym fenomenem utożsamienia nazwy i skrótu PZU z polisą,

FOT. CBN POLONIA

Siedziba centrali Powszechnego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych w latach 1928–1939 w Warszawie przy ul. Kopernika 36/40



ubezpieczeniem, zabezpieczeniem własności czy życia. Zbiegło się to w czasie z rozwojem telewizji, radia i odbudową kraju po wojnie. Lata 50., 60., 70. jakkolwiek niełatwe, obrodziły też w naszym kraju w artystycznych geniuszach. Największe perły polskiej piosenki, kinematografii czy kabaretu powstawały przecież w czasach PRL-u, zgodnie z dewizą ukutą przez Michaela Hopfa w jego postapokaliptycznej powieści „The End”, że „trudne czasy tworzą silnych ludzi”. Ci geniusze słowa, tacy jak Agnieszka Osiecka czy Wojciech Młynarski, mogli w swoich utworach sięgać po nazwę PZU i stosować ją zamiennie ze słowem „ubezpieczenie”, „polisa” czy „zabezpieczenie”. Referentkę z PZU wstawił Młynarski w tłumaczeniu piosenki Włodzimierza Wysockiego „Rozmowa przed telewizorem”, którą brawurowo wykonywał Leonard Pietraszak. O PZU śpiewała Danuta Rinn w duecie z Bogdanem Czyżewskim w piosence „Całujmy się” z tekstem Janusza Odrowąża. Choć PZU oferował całkiem szeroki zakres usług, to sam mistrz Młynarski w autorskiej piosence „Trochę miejsca” utyskiwał, że PZU nie ubezpiecza poglądów na życie. O narodowym ubezpieczycielu śpiewały także Renata Lewandowska („Zaczynajcie beże mnie”) i Urszula Sipińska w „Molo”, korzystając z tekstów Agnieszki Osieckiej.

Dodatkowo przestrzeń ubezpieczeń dobrowolnych była jedną z niewielu niszy, w których można było uprawiać coś na kształt wczesnego copywritingu. Slogan reklamowy PZU „Przezorny zawsze ubezpieczony”, który tak bardzo zakorzenił się w języku polskim, że niektóre dzisiejsze źródła podają, że jest on... przysłowiem ludowym, pokazuje, z jakimi genialnymi umysłami mieliśmy do czynienia. Podobnie twórcy ulicznych dekoracji i architekci mogli ubarwiać nieco szarzyzną PRL-owskich ulic swoimi neonami, których hasła namawiały do zawierania polis. Była to miła dla oka odskocznia od siemiężnych hasel sławiących socjalizm, jakimi „dekorowano” polskie miasta. Jeden z takich neonów z hasłem „Ubezpiecz mieszkanie w PZU” już od 48 lat przyświeca z kamienicy na pl. Kościuszki we Wrocławiu. W 2020 r. świetlisty szyld przeszedł gruntowną renowację i dziś jest elementem, o który dba się z dużą pieczołowitością.

Także polscy filmowcy, którzy chcieli ubarwić nieco kadry swoich filmów i stworzyć w nich choć namiastkę nafaszerowanych szyldami i neonami ulic miast Zachodu, bardzo chętnie eksponowali



materiały reklamowe PZU w swoich filmach. Wystarczy wymienić takie kultowe obrazy, jak „Nie lubię poniedziałku”, „Dzięcioł” czy surrealistyczna „Hydrozagadka”, gdzie plakaty czy neony PZU były jednymi z ważnych elementów scenografii. Po latach zaczynamy odkrywać, że nasi artyści tworzący w PRL-u, graficy, malarze, filmowcy stali na najwyższym poziomie światowym, a ponieważ nie mieli zbyt wiele przestrzeni, by swoje talenty oddawać na usługi komercyjne, chętnie włączali się w tworzenie dzieł promujących cokolwiek, co było dobrowolne i dozwolone. A do takich dóbr należały nieobowiązkowe polisy, jakie można było zawrzeć z państwowym ubezpieczycielem.

Rodowe srebro

Oczywiście rewolucja ustrojowa i gospodarcza przełomu lat 80. i 90. XX w. nie ominęła rynku ubezpieczeń. W 1990 r. została uchwalona przełomowa ustawa o działalności ubezpieczeniowej, która otworzyła rynek ubezpieczeń dla wszystkich zainteresowanych podmiotów spełniających odpowiednie kryteria i uzyskujących zezwolenie na prowadzenie działalności ubezpieczeniowej. Ustawa wprowadziła również katalog ubezpieczeń obowiązkowych, które obejmowały między innymi ubezpieczenie odpo-

wiedzialności cywilnej posiadaczy pojazdów mechanicznych, ubezpieczenie budynków należących do gospodarstw rolnych oraz ubezpieczenie odpowiedzialności cywilnej rolników. W 2003 r. ustawa z 1990 r. została uchylona przez nową ustawę ubezpieczeniową, a ta z kolei została zastąpiona obowiązującą obecnie ustawą ubezpieczeniową z 2016 r.

Państwowy Zakład Ubezpieczeń (PZU) w 1991 r. zmienił nazwę na Powszechny Zakład Ubezpieczeń i pod tą nazwą funkcjonuje do dzisiaj. W 2010 r. PZU zadebiutował na Giełdzie Papierów Wartościowych

w Warszawie i nadal pozostaje największym polskim zakładem ubezpieczeń. Być może zbierane przez ponad dwa wieki pod różnymi szyldami i różnymi władzami doświadczenia zaowocowały tym, że nie doszło do całkowitej prywatyzacji PZU, która – jak pokazała historia wielu innych zasłużonych polskich marek – mogłaby zakończyć się wymazaniem tej bliskiej nam nazwy

z przestrzeni publicznej. PZU jest bez wątpienia jednym z naszych „rodowych sreber” – jak zwykle się nazywać najcenniejsze marki i firmy pozostające w polskich rękach, a które łącząc Polaków w zapobiegliwości wobec możliwych wypadków i nieszczęść, współtworzyło i chroniło także polską tkankę społeczną. Z pewnością warto przez ten pryzmat spojrzeć na największego ubezpieczyciela działającego na polskim rynku, zadumać się nad rolą, jaką odgrywa przez ponad 100 lat, i nad 220 latami tradycji ubezpieczeń na ziemiach polskich, z których czerpie.

Bibliografia:

- 1) „185 lat ubezpieczeń gospodarczych w Polsce”, Warszawa 1988.
- 2) Wojciech Duch, „Historia ubezpieczeń i zakładów ubezpieczeniowych w Polsce” – historia.org.pl.
- 3) Z. Gluza, A. Knyt, „PZU. Dwa wieki zaufania 1803–2013”, Warszawa 2013.



Mieczysław Lisowski.

Punktualność jak w zegarku



ARTUR
KUBAŚ

Lisowski był postacią, wobec której nie sposób przejść obojętnie. Dla odważnych był akumulatorem energii działania. Dla strachliwych – wyrzutem sumienia.

„Jak dotychczas jest to najbogatsza osobowość, jaką spotkałem w życiu” – wspominał kilka miesięcy po zakończeniu strajku z sierpnia 1988 r. Przemysław Nagórski, ksiądz wspierający uczestników strajku sierpniowego w porcie. „Był człowiekiem konkretnym, nie znosił bezpłodnego biadolenia, kombatanckich pogaduszek, martyrologicznego rozdzierania szat. Pozbawiony był nałogów, wyrozumiały dla ludzi, bezlitośnie twardy wobec siebie” – wspominał z kolei swojego przyjaciela Andrzej Milczanowski, przywódca szczecińskiego protestu. Mieczysław Lisowski to reprezentant pokolenia Polaków urodzonych już w II Rzeczypospolitej, wychowanych w duchu umiłowania ojczyzny i odpowiedzialności za słowo, zdolnych do czynów, nawet takich, które z pozoru wydawały się niemożliwe do podjęcia.

Sierpień 1980

Jeśli wspominamy o jakimkolwiek wpływie opozycji przedsierpniowej na wywołanie strajku w 1980 r. i powstanie na jego gruncie Solidarności w Szczecinie, to dobrym tego przykładem może być właśnie strajk szczecińskiej komunikacji. Oprócz bowiem Aleksandra Krystosiaka w Stoczni Gryfia czy Stefana Kozłowskiego w FMS Polmo to właśnie w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacji Miejskiej zgromadziła się grupa sympatyków Wolnych Związków Zawodowych Pomorza Zachodniego. Obok Bronisława Modrzejewskiego, jednego z inicjatorów powołania WZZ w Szczecinie, do grona



Na zdjęciu od lewej: Stanisław Kocjan, Andrzej Milczanowski, Mieczysław Lisowski, Warszawa 1987 r.

aktywistów związkowych na terenie WPKM zaliczyć można Józefa Ignora, Henryka Forczmańskiego, Henryka Łukasika i właśnie Mieczysława Lisowskiego. I to Lisowski 19 sierpnia 1980 r., wczesnym rankiem, rozpoczął strajk w swoim zakładzie. Czas wielkiego strajku wspominał po latach z prostotą: „Poprzedniego dnia Haneczka (żona) suszyła mi głowę, że Gdańsk stoi, to i wy też musiciebyście stanąć. No i następnego dnia wcześniej rano zaczęliśmy. Zastawiłem bramę, przyjechał dyrektor [Felix Stasiak] i przewodniczący związków zawodowych Dziedzic, zaczęli mówić, dlaczego nie wyjeżdżamy, że co mogli dać, to już dali! Przerwałem im dość brutalnie. Byli ugodowi i proponowali, by przejść na świetlicę. Pomyślałem: dobra nasza. Poszliśmy na świetlicę. Tam kierowcy w kupie poczuli się odważniejsi, zaczęli się przekrzykiwać w żądaniach. No i dalej strajk poszedł”. Na czele protestu stanął wtedy kierownik Jan Nowak, zostając jednocześnie przedstawicielem KS w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym powołanym na terenie Stoczni Warszawskiej.

Lisowski zaangażował się w Solidarność od samego początku, pozostając wierny jej ideałom konsekwentnie przez

całe życie. Aktywność solidarnościowa tej filigranowej postaci, która zbudowała sobie olbrzymi autorytet w gronie kierowców i tramwajarzy, trwała aż do początków lat 90. Dążąc do celu, był umiarkowany w stawianiu postulatów, zmierzając wytrwale do kompromisu, nie będąc przy tym bezkrytycznym w stosunku do osób, z którymi razem walczył o wolną i demokratyczną Polskę. Często zdarzało się, że Lisowski z drugiego szeregu krytykował poczynania zarówno Nowaka, przewodniczącego zakładowej Solidarności, jak i jego następcy, wybranego w czerwcu 1981 r., Wiesława Kolita. Tak było chociażby podczas strajku w czasie kryzysu bydgoskiego, kiedy Nowak należał do krytyków ugody warszawskiej. Nie bał się poddawać ocenie osób stojących wyżej w hierarchii związkowej, dotyczyło to także tych, których szanował i cenił.

Stan wojenny

Swobodne działanie Solidarności i okres skutecznego zabiegania o sprawy robotnicze zakończyło wprowadzenie stanu wojennego. W Stoczni Warszawskiej zebrano się wówczas 10 tys. protestujących, głównie stoczniovców. Dołączyli do nich przedstawiciele innych szczecińskich zakładów pracy, strajk próbowali podjąć też pracownicy WPKM. Sam Lisowski na początku grudnia złamał rękę, co znacznie utrudniało mu realizację zamierzeń, ponadto w nocy z 14 na 15 grudnia władze spacyfikowały protest w Warskim, zatrzymując jego przywódców, co obok internowania władz regionalnych związku skutecznie wygasiało nastroje czynnego oporu. Lisowski, zgodnie z instrukcjami związku wypracowanymi w Szczecinie, jeszcze w trakcie strajku ostrzegawczego podczas kryzysu bydgoskiego przystąpił do tworzenia tajnej struktury w zakładzie. Sam pozostając w trudnych warunkach mieszkaniowych i finansowych, zaangażował się mocno w pomoc osobom uwięzionym za Solidarność. Warto wspomnieć, że w przypadku środowiska WPKM internowani zostali Henryk Łukasik, Bronisław Modrzejewski, Jan Nowak i Jerzy Zimowski, a uwięziony Andrzej Milczanowski. Przedłużająca się choroba spowodowała, że w marcu 1982 r. Lisowski przeszedł na rentę i następnie na emeryturę, co nie wyłączyło go z działalności opozycyjnej, pozostał bowiem członkiem

ogniwa związku w WPKM. Utrzymywał bieżący kontakt z kolegami ze wszystkich zajezdni, pozostając dla nich niekwestionowanym autorytetem.

Przybyło mu czasu na działalność, tym razem już konspiracyjną. Przydało mu się w tym doświadczenie zebrane w czasie II wojny światowej. Lisowski, urodzony 4 lutego 1919 r. w Haliczu, jeszcze przed wybuchem wojny został przeszkolony przez wywiad wojskowy. Po kampanii wrześniowej przystąpił do konspiracji ZWZ-AK i do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej jako kurier zajmował się nielegalnym przenoszeniem przez granicę sowiecko-rumuńską dokumentów i pieniędzy, a także górskimi szlakami przeprowadzał ludzi uciekających na Zachód. W 1945 r. przyjechał do Szczecina, jednak tuż przed Bożym Narodzeniem został aresztowany, jak wspominał, „za gadanie”. Podczas ubeckiego śledztwa próbowano mu wmówić, że był w SS, a później że działał w antysowieckiej partyzancie i posługiwał się fałszywym nazwiskiem. Wszystkiemu zaprzeczył i po niespełna roku opuścił więzienie. Wyjechał na dłużej do Poznania, a powrócił do Szczecina dopiero w 1973 r.

„Termit”

W 1984 r. do Szczecina wrócili z więzienia ostatni więźniowie stanu wojennego, w kwietniu Andrzej Milczanowski, a w sierpniu Marian Jurczyk. Pojawienie się liderów związku było impulsem do nowych działań mocno osłabionej Solidarności. Lisowski zbliżył się wówczas do Milczanowskiego i wszedł wraz ze swoją strukturą do powołanej jesienią 1984 r. Rady Koordynacyjnej, mającej ambicje kierowania konspiracją w regionie. Rok później ukazał się pierwszy numer „Termita” – pisma Solidarności szczecińskiego WPKM, którego Lisowski był redaktorem, drukarzem i kolporterem. Do wyborów czerwcowych w 1989 r. wydał aż 46 numerów pisma, prezentując na jego łamach, oprócz licznych dokumentów regionalnej Rady Koordynacyjnej i krajowej Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, informacje ilustrujące życie zakładowe WPKM. Pismo szeroko informowało o niesprawiedliwościach zakładowych, a częstym niechlubnym bohaterem tekstów był m.in. dyrektor zakładu Andrzej Anczykowski. Mieczysław Lisowski cierpliwie budował sieć osób współpracujących z pismem oraz je kolportujących. Jesienią 1987 r.

współpracownicy Lisowskiego, kierowcy zajezdni autobusowej w Szczecin-Dąbie, powołali komitet założycielski Solidarności w WPKM, włączając się tym samym w akcję Stanisława Możejki rejestrowania związku w oparciu o ustawę o związkach zawodowych z 1982 r. Do lutego 1988 r. powstało w Szczecinie kilkanaście takich komitetów, a ich przedstawiciele (wśród nich m.in. Lisowski) udali się do Gdańska, do Lecha Wałęsy, aby nakłonić go do zaangażowania się w tę koncepcję jako jedną z form walki z komunistami. Zgodnie z nią komitet założycielski, po złożeniu wniosku aż do jego rozpatrzenia, miał prawo do legalnej działalności. Dawało to szansę na realne reprezentowanie interesów robotników i aktywizowało działalność związkową w sytuacji permanentnego kryzysu gospodarczego, w jakim znajdowała się PRL. Lisowski apelował do Wałęsy: „Lechu, ty masz autorytet. My walczymy, w zakładach nic się nie dzieje. Musimy podjąć inicjatywę! Musimy coś robić. Bo przecież tyle lat upłynęło bez wyraźnych działań! A przecież my od Solidarności nie odchodzimy i za Solidarność życie oddamy! I dlatego powinienes nas poprzeć”. Wałęsa pozostawał niewzruszony, zachęcał zgromadzonych do dalszego działania, jednak nie zdecydował się na jednoznaczne poparcie zaproponowanego modelu działania jako wzorcowego dla związku. Nie zrażało to Lisowskiego do dalszych działań. Okazja nadeszła już po dwóch miesiącach.

Maj i sierpień 1988

W maju 1988 r. Lisowski, pomimo bardzo dojrzałego wieku, stał się jednym z inicjatorów i organizatorów strajku w WPKM w zajezdniach autobusowych Dąbie i Policie. Strajkujący próbowali wtedy przyłączyć się do robotników protestujących na Śląsku, w Nowej Hucie i Gdańsku. Jednodniowy protest zakończył się pod presją milicji i ZOMO, a dyrektor Anczykowski postanowił o zwolnieniu z pracy przywódców strajku – Józefa Ignora i Romualda Ziółkowskiego. W proteście wobec tych

zwolnień Lisowski zainicjował jednodniowy solidarnościowy strajk 22 czerwca 1988 r. we wszystkich trzech zajezdniach autobusowych: Dąbie, Policie i Klonowica. Strajk zakończył się zwycięstwem i przywróceniem zwolnionych liderów Solidarności do pracy. Było to zaledwie preludium do zdarzeń, które nadeszły już w sierpniu. Wówczas to, po rozpoczęciu strajku w szczecińskim porcie, 18 sierpnia zastrajkowały kolejno trzy zajezdnie autobusowe i dwie z trzech zajezdni tramwajowych. Pierwszym postulatem protestujących było żądanie zarejestrowania Solidarności. Inicjatorem protestów w WPKM był niezmordowany Mieczysław Lisowski, który kilka dni wcześniej powrócił do Szczecina z gotówką od TKK. Tym razem strajk trwał ponad dwa tygodnie. Lisowski był jednym z jego filarów. Wspomniany

Przemysław Nagórski tak oceniał jego rolę kilka miesięcy po strajku: „Weź takiego Mietka Lisowskiego, serce WPKM i portu też. Przez trzy doby nie jadł, nie spał, pokonywał różne przeszkody, ale doprowadził do tego, że strajkujący mieli jakieś jedzenie i w miarę przyzwoite spanie”. Warto dodać, że na terenie portu strajkowało wówczas ponad 2 tys. osób. Strajk w Szczecinie był jednym z kluczowych w proteście z 1988 r. w dynamicznie zmieniającej się sytuacji politycznej. Stanowił jeden z impulsów do porozumienia za-

wartego przy okrągłym stole i wyborów do sejmu kontraktowego z czerwca 1989 r.

Warto też wspomnieć, że Mieczysław Lisowski organizując strajki w 1988 r., liczył sobie już 69 lat! Mimo to nadal przyglądał się życiu społecznemu i politycznemu, i w dalszym ciągu wydawał „Termita”. Był dość krytyczny wobec transformacji ustrojowej, jaka dokonała się w Polsce, a której najwyższą cenę zapłacili robotnicy, po tym jak z mapy gospodarczej Szczecina zniknęła większość zakładów pracy. Po przemianach demokratycznych w Polsce, przede wszystkim z racji wieku, Lisowski nie uczestniczył już aktywnie w życiu publicznym ani związkowym. Zmarł 15 lat temu w Szczecinie, tj. 13 sierpnia 2008 r.



Drugi numer pisma „Termit” z 11 czerwca 1985 r.



Geniusz Kopernik



**GRZEGORZ
GÓRNY**

Nie było chyba w dziejach Polski większego geniusza niż Mikołaj Kopernik. Właściwie czego się dotknął, wszystko naznaczał znamieniem wielkości.

Nazywany bywał polihistorem, czyli człowiekiem posiadającym rozległą wiedzę oraz kompetencje w wielu dziedzinach nauki. Do historii ekonomii przeszedł jako twórca ilościowej teorii pieniądza oraz twórca tzw. prawa Kopernika–Greshama, bardziej znanego dzięki zwężonej formule: „Gorszy pieniądz wypiera lepszy”. W geometrii rozpowszechnił z kolei twierdzenie, które przeszło do historii matematyki pod nazwą „twierdzenia Kopernika”. Jako lekarz osiągał tak duże sukcesy, że zgłaszali się do niego po pomoc najważniejsi dostojnicy i wielmoże ówczesnej Warmii. Był też niezwykle aktywny w życiu publicznym jako prawnik, urzędnik, tłumacz i dyplomata. W czasie wojny z zakonem krzyżackim to właśnie na jego barkach spoczęło zadanie obrony zamków warmińskich na czele z fortecą w Olsztynie. Tym – oraz

wielu innym – aktywnościom geniusza z Torunia niezwykle bogato udokumentowaną biografię poświęcił ostatnio Piotr Łopuszański.

Jednak Kopernik przede wszystkim zasłynął jako astronom – twórca nie tylko heliocentrycznego modelu Układu Słonecznego, lecz także twórca nowoczesnej astronomii. Jego odkrycie zasługuje na tym większy szacunek, że w czasach, w których żył i pracował, nie znano jeszcze lunety.

Znacznie mniej znany pozostaje fakt, że Mikołaj Kopernik był człowiekiem Kościoła – kanonikiem fromborskim, scholastykiem wrocławskim, kanclerzem kapituły katedralnej oraz głównym administratorem biskupstwa warmińskiego. Miał niższe święcenia kapłańskie, które zobowiązywały go do zachowywania celibatu, jednak nie był ani księdzem, ani diakonem. Proponowano mu nawet godność biskupa, ale odmówił, ponieważ bardziej pociągała go pasja naukowa.

Kopernik, podobnie jak wielu innych gigantów nauki, takich jak np. Kepler, Pascal czy Newton, był człowiekiem głęboko wierzącym, dla którego nie istniała sprzeczność między wiarą a rozumem. Wręcz przeciwnie: to właśnie chrześcijaństwo – ze swym przesłaniem o racjonalności stworzenia, natury, wszechświata – otworzyło drogę do rozwoju

Kopernik był człowiekiem głęboko wierzącym, dla którego nie istniała sprzeczność między wiarą a rozumem. „Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem”, Jan Matejko, 1873 r.

nauk ścisłych i przyrodniczych, jakiego nie doświadczyły inne cywilizacje, jak np. egipska, hinduska, chińska, muzułmańska. Jeżeli Bóg – jak mówi Księga Mądrości – „wszystko urządził według miary i liczby, i wagi”, a więc uczynił świat w sposób racjonalny, to człowiek stworzony na obraz i podobieństwo Boga, a więc obdarzony rozumem, może poznawać ów świat i odkrywać rządzące nim prawa nadane przez Najwyższego.

W tej samej biblijnej księdze znajduje się zachęta do takiej właśnie działalności, do której inspirował sam Bóg: „On mi dał bezbłędną znajomość rzeczy: poznać budowę świata i siły żywiołów, początek i kres, i środek czasów, odmiany przesileni i następstwa pór, obroty roczne i układy gwiazd, naturę zwierząt i popędy bestii, moce duchów i myślenie ludzkie, różnorodność roślin i siły korzeni. Poznałem i co zakryte, i co jest jawne, pouczyła mnie bowiem Mądrość – sprawczyni wszystkiego!”.

Czy mogą wobec tego dziwić następujące słowa, które wyszły spod pióra Mikołaja Kopernika? „Jak można podziwiać cudny porządek, jakim Bóg nasz kieruje wszechświatem, nie poczuwając się do uporządkowania życia, do zdobycia cnót, do poznania najpierw i we wszystkim Stwórcy jako źródła wszelkiego dobra?”. Być może ten cytat był natchnieniem dla Jana Matejki, gdy malował swój obraz „Astronom Kopernik, czyli rozmowa z Bogiem”, na którym przedstawił uczonego niczym mistyka wpatzonego w nieziemskiej ekstazie w rozgwieżdżone niebo.

Ów ład wewnętrzny, wynikający z poznania Boga, o którym pisał Kopernik, przekładał się na życie społeczne, przejawiając się w patriotyzmie, czyli umiłowaniu ojczyzny, którą była dla niego Rzeczpospolita. Konsekwentnym wyrazem tego stała się służba dla dobra wspólnego. Dlatego astronom mógł z pełnym przekonaniem pisać: „Nie ma obowiązków większych nad obowiązek względem ojczyzny, dla której nawet życie należy poświęcić”.

Wołyń na Powązki!

PAWEŁ ZDZIARSKI

11 lipca 2023 r. przypada 80. rocznica tzw. krwawej niedzieli, czyli kulminacji ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na Polakach i obywatelach II RP innej narodowości.

Wśród nas wciąż żyją świadkowie tych okrutnych zbrodni oraz członkowie rodzin ofiar. Dla wielu z nich będzie to ostatnia okrągła rocznica. Tym bardziej należy zadbać o jej godny przebieg. Środowiska kresowe i patriotyczne przygotowały wiele inicjatyw z tej okazji. Jedną z nich jest akcja „Wołyń na Powązki”. Mówiąc krótko, projekt ma na celu budowę miejsca pamięci ofiar ludobójstwa wołyńskiego na Powązkach Wojskowych w Warszawie z okazji wspomnianego 80. rocznicy.

Geneza

Inicjatywę zapoczątkowała dwa lata temu grupa dziennikarzy i działaczy społecznych. Przez kolejne miesiące zbierali oni podpisy pod petycją skierowaną do władz centralnych i samorządowych. Apel podpisało ok. 20 tys. osób.

Organizatorzy otrzymali liczne wyrazy wsparcia i uznania dla akcji ze strony ocalałych z ludobójstwa i ich rodzin, historyków, a także szeroko pojętych środowisk kombatanckich, kresowych oraz patriotycznych. Projekt spotkał się też z aprobatą instytucji, takich jak IPN, UdSKIOR oraz Mazowiecki Urząd Wojewódzki.

Wiosną 2022 r. inicjatorzy akcji „Wołyń na Powązki” postanowili utworzyć Stowarzyszenie „Wspólnota i Pamięć”, w ramach którego kontynuują starania o wybudowanie pomnika. Rok później do grona współorganizatorów dołączyło Stowarzyszenie Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów we Wrocławiu. Obie instytucje postanowiły o zawiązaniu szerokiego porozumienia w tej sprawie.

Dlaczego Powązki Wojskowe?

Powązki Wojskowe stały się narodową nekropolią – centralnym punktem przypominającym o krzywdach, które wycierpieli

nasi rodacy, szczególnie w XX w. W tym wyjątkowym miejscu polskiej martyrologii znajdują się liczne pomniki i tablice upamiętniające bohaterów walczących o niepodległość ojczyzny, a także ofiar niemieckiego i sowieckiego totalitaryzmu. Wiele z nich nie jest grobami, lecz symbolicznymi miejscami pamięci. Cmentarz jest ważnym punktem wycieczek, podczas których młodzież uczy się o najnowszej historii Polski. Niestety, nie brakuje w tym względzie problemów, bowiem Powązki Wojskowe są często nazywane miejscem „narodowej schizofrenii”. Obok polskich bohaterów spoczywają tam komunistyczni zbrodniarze i osoby związane ze słusznym minionym reżimem. Dekomunizacja Powązek to konieczny, ale nie jedyny postulat.

Wśród wszystkich ważnych, często tragicznych wydarzeń z historii Polski, o których przypominają pomniki i tablice obecne na Cmentarzu Wojskowym, brakuje miejsca pamięci ofiar ludobójstwa wołyńskiego. Celem projektu „Wołyń na Powązki” jest wypełnienie tej luki, aby najnowsza historia naszego kraju, obecna na Powązkach, była opowiedziana w pełniejszy sposób.

Nie dzielimy ofiar na lepsze i gorsze

Ofiary ludobójstwa nie zostały pochowane w godny sposób ze względu na ciągłe wstrzymywanie ekshumacji przez stronę ukraińską. Dlatego warto, by upamiętnienie – symboliczny grób – znalazło swoje miejsce na poświęconej ziemi, czego oczekują rodziny zamordowanych. W tej chwili nie mają oni miejsca, które mogliby odwiedzić przy okazji Uroczystości Wszystkich Świętych i Dnia Zadusznego oraz ważnych rocznic. Inicjatorzy podkreślają, że akcja „Wołyń na Powązki” powstała przede wszystkim z myślą o nich. Poza tym chcą oni umieścić pod pomnikiem ziemię pochodzącą z miejsc kaźni Polaków na Kresach Południowo-Wschodnich. Byłby to zatem symboliczny pochówek dla wielu tysięcy innych, które nie odbyły się z niezależnych od nas przyczyn.

Jeden z zapomnianych polskich cmentarzy na Wołyniu

Miejmy nadzieję, że wkrótce ta sytuacja się zmieni.

Należy zdawać sobie sprawę z bólu i cierpienia, którego Ukraina doświadcza w tej chwili w związku z nieusprawiedliwioną napaścią Federacji Rosyjskiej. Ponadto wszelkie próby relatywizowania historii dotyczącej wspólnej trudnej przeszłości naszych narodów są godne ubolewania i nieuzasadnione. Na kłamstwie nie da się zbudować dobrych relacji. Jedynie oparcie ich na prawdzie, jasne potępienie zbrodniarzy, godne upamiętnienie ofiar i godny ich pochówek mogą pozbawić paliwa rosyjską propagandę, która nieustannie wykorzystuje ukraińską narrację dotyczącą ludobójstwa na Kresach. ■

JOANNA
PUCHALSKA

POETKA Z DZBANKIEM MALIN

**„TALENT DOSTAJE SIĘ ZA DARMO,
NA DOBRY WIERSZ TRZEBA ZASŁUŻYĆ”**

Matka Maryli Wolskiej była narzeczoną i muzą Artura Grottgera. Po śmierci ukochanego piękna Wanda Monné wyszła za mąż za jego przyjaciela, też malarza, Karola Młodnickiego. Na chrzestnych córki rodzice poprosili Henryka Rodakowskiego i Kornela Ujejskiego. „Wielki poeta polski i wielki malarz przekazali mi kult piękna dośmiertny” – napisze później poetka.

Mała wieszczka

Zaczęło się od zaciskania prawej rączki i „wiercenia” piąstką w powietrzu, później dziewczynka posługiwała się bardziej fachowym „kręcidłem”: prętem leszczynowym z przyczepionym „skrzydełkiem” z papieru. Aby „seans” się udał, trzeba było jeszcze stanąć na niewielkim podwyższeniu, np. na podnóżku czy kre-towisku. Obracała kręcidło w powietrzu, jakby przekręcała klucz, a wtedy myśli zaczynały płynąć swobodnym strumieniem. Pojawiały się twarze, ludzie, krajo-brazy, wnętrza, a ona głośno sobie opo-wiadała oglądane wizje. Sądziła, że każdy tak potrafi, i wcale się z tym nie kryła. Dorośli patrzyli przez palce, służba się podśmiewała. Kiedy się zaręczyła, przy-szły mąż zażądał zarzucenia procederu niebezpiecznego jego zdaniem dla zba-wienia duszy i dla psychiki. Posłusznie oddała mu czarodziejską różdżkę i do-piero po wielu latach kręcidło wróciło na chwilę, gdy brat, Adam Młodnicki, zrobił je w ramach prima aprilis i przysłał jej anonimowo. Wystarczyło, że wzięła je do ręki, by ramię przeszył znajomy prąd to-warzyszący tamtym dziecięcym wizjom. Przestraszyła się i ostatecznie trafiło ono do kantorka z rodzinnymi pamiątkami.

Tam je czasem oglądała córka Beata, też poetka. „Tajemnicze, cudacze berło ma-minej młodości”.

Jako dziecko Marylka niechętnie pod-chodziła do nauki, więc domowe na-uczycielki stosowały przemysłne fortele. Potrzebne wiadomości podsuwane były podstępnie w formie opowieści i wspo-mnień podczas niby przypadkowo za-gajanych rozmów. Geografii uczyła się z relacji o rodzinnych podróżach, wizje Katarzyny Emmerich stanowiły pod-stawę do poznawania Pisma Świętego, albumy malarstwa służyły do nauki hi-storii. Najgorzej było z matematyką. Tej nie znosiła przez całe życie. Za to dużo czytała i rysowała.

Na skraju świata

Wychowana w artystycznej atmosferze z silnym wątkiem tradycji grottgerow-skiej, nastoletnia panna wybrała się pod opieką matki do Monachium i Paryża uczyć się malarstwa. Zaręczyła się wtedy z dr. Arnoldem Pentherem, synem malarza Daniela Penthera, kolegi ojca z czasów studiów. Może dlatego, że był podobny do Paderewskiego, jej młodzieńczego ideału. Ostatecznie do ślubu nie doszło. A z ma-larstwa musiała zrezygnować ze względu na wzrok. Miała kurzą ślepotę i sławny okulista w Monachium orzekł, że nie wie, jakim cudem ona w ogóle coś widzi.

W kwietniu 1894 r. wyszła za mąż za Wacława Wolskiego, inżyniera, poliglotę, pioniera przemysłu naftowego w Galicji, wynalazcę hydraulicznego świda „Taran”. Małżeństwo przemysłowca z artystką okazało się bardzo szczęśliwe. Pierwszy urodził się Luk, potem Kazio, po nim Be-ata – poetka, Julek, a najmłodsza Lela – malarka – przyszła na świat w Zaświeciu, we własnym domu nazwanym tak przez

Marylę. Na początku stulecia dom rzeczywiście leżał jakby za światem. „Z czasem dopiero miasto podpłynęło do nas” – napisał po latach Beata, po mężu Obertyńska.

U państwa Wolskich

Zdaniem Beaty mama-poetka „pedagogicznych talentów nie miała za grosz”. Dzieci kochała, lubiła ucałować, przytulić, ale nie zajmowała się nimi specjalnie. Sama nie chodziła do szkoły, więc nauczanie było domowe i przynajmniej w stosunku do dziewczynek przestrzegano zasady: „Żadnej wyższej matematyki, chemii, fizyki, geometrii”. Za to dużo więcej niż w szkole było w ich edukacji literatury, historii sztuki, języków, fortepianu, gimnastyki.

Bóg był ważny i obecny w Zaświeciu: w obrazach, „ołtarzykach majowych”, wspólnie odmawianych majowych litaniiach, spowiedzi, do której rodzice zawsze szli razem. A zaraz po Bogu najważniejsza była Maryla Wolska. „Dbało się o jej spokój, o jej sen, o jej zdrowie, o to, żeby pierwsze fiołki z naszego ogrodu trafiły na jej stół [...] Pierwsze brzoskwinie, które dojrzały na murze, musiały być dla mamy i ten najgrubszy różowy agrest”.

Poetka zaprzyjaźniła się z Leopoldem Staffem, a on do Zaświecia ściągnął „Płanetników”, ochrzczonych tak przez Marylę młodych lwowskich literatów. Do grona tego należeli jeszcze Józef Ruffer, Antoni Stanisław Mueller, Ostap Ortwin, wtedy jeszcze Katzenellenbogen. Towarzysko-literackie posiedzenia odbywały się w domu i w ogrodzie na trawie. Bywali też Jan Kasprowicz, Kazimierz Twardowski, Edward Porębowicz. Ten ostatni na ofiarowanym gospodyni swoim przekładzie „Boskiej Komedii” napisał dedykację „Maryli Wolskiej – mistrzyni polskiego słowa”.

Letnie miesiące Wolscy spędzali na Storożce koło Skolego i Stryja w dolinie rzeki Opór. To dziadkowie Młodniccy, głównie z myślą o chorowitej córeczce, postawili tam dom: „Podłużne, deskami z zewnątrz obite i gontem nakryte pudełko, z oknami, gdzie należy, i z drzwiami, gdzie się patrzy”. Echo tych wyczekiwanych co roku wyjazdów rozlega się w zbiorce „Dzbanek malin”:

„Czy to mną radość, czy ten wóz
tak trzęsie?
Czy to mnie śni się, czy ja temu śnię się?
Kosze, samowar, butki, koc znajomy,

wóz drabiniasty garbaty od słomy,
w dziewcząt jaskrawe strojiny sukieneczyny,
białym gościńcem dudni od godziny...”

Pierwsza wojna przerwała sielankę. Dwaj starsi chłopcy wstąpili do Hallerowskiego Legionu Wschodniego, córki wywieziono do bezpieczniejszego niż Lwów Kozińca Pawlikowskich, Maryla Wolska podjęła pracę pielęgniarki w szpitalu wojskowym. W kwietniu 1919 r. przeżyła wielką tragedię. Ukochany najstarszy Luk został rozstrzelany przez Ukraińców na zamku w Złoczowie.



FOT. WIKIMEDIA COMMONS

„Płanetnicy” i dzieci Maryli Wolskiej, Zaświecie

Sekrety poetki

Gdy pani Wolska zorientowała się, że Beata ma talent poetycki, wzięła ją do terminu i tak jak matki przekazują córkom idącym na swoje kuchenne przepisy, powierzała jej własne zawodowe sekrety. Uczyla, „skąd się biorą pomysły, jaki kolor i smak mają słowa, jak się rzeczy dwoją i troją od kojarzeń i podobieństw”. Tępiła przymiotniki. „Żadne pokrzywy nie plenią się tak łatwo jak one”. Zalecała głośne czytanie tego, co się napisało. „Ucho to bardzo pożyteczny w tym wypadku fagas. Podśłuchuje i donosi. Jest głupsze od głowy, więc wolniej kojarzy, ale za to łapie za słowa. To trochę tak, jakbyś przyjmowała uwagi osób tępych i pozbawionych wyobraźni. Tępotą to w ogóle świetny sprawdzian. Wiedz swoje, ale nie lekceważ głupich uwag. Tępotą ma cudowną, odkrywczą wprost świeżość popatrzenia [...]”. Przestrzegała, aby nie dać się zwieść samemu urokowi słów. „Rozbierz sens ze skrzydeł i puść go po podłodze. Niech pokaże, czy prosto chodzi”.

Swoje wiersze czytelowała długo i starannie. Bywało, że zmieniała jedenastozgłoskowca w dwunastozgłoskowiec, a potem „przesypywała” w trzynastkę. „Mama brała pełną odpowiedzialność za każde napisane słowo”.

Wyjątkiem był cykl „O dawnym Lwowie”. Nie liczyła zgłosek, nie sprawdzała akcentów, rymy same wskakiwały na miejsce. Poza tym jednym przypadkiem z każdym niemal wierszem mocowała się jak Jakub z Aniołem, póki go nie zmogła.

„Pamiętaj, nie ma takiej rzeczy, której by się nie dało po polsku wyrazić. Polszczyzna to najcudowniejsze tworzywo!”. Trzeba tylko dopaść to jedno jedyne słowo, które pasuje w tym miejscu. Szukać, póki się go nie znajdzie. A temat wiersza można znaleźć wszędzie, gdy się chłonie sobą świat, jak robiła to ona.

„Zmrokiem w ogrodzie od wierszy aż gęsto,
zawsze po nowe idę tam jak w dym...
A gdy coś chwycę, to nie wiem często:
bąk to czy rym?”

„Latem w ogrodzie od wierszy aż gęsto,
same po ciemku cisną się do rąk...
A gdy coś chwycę, to nie wiem często:
rym to czy bąk?”

Od Młodej Polski do dzbanka malin

Wczesne wiersze Maryli Wolskiej tkwią silnie w estetyce młodopolskiej, późniejsze mają formę prostszą i nadal kunsztowną. Początkowo publikowała w czasopiśmie, pierwszy tomik poetycki „Thème Varié” wyszedł w 1901 r. Potem ukazywały się zbiorki „Symfonia jesienna”, „Święto słońca”, „Z ogni kupałnych” oraz dramat „Swanta: Baśń o prawdzie”, nowele „Dziewczęta”. I na koniec najbardziej znany zbiorek „Dzbanek malin”, z którego pochodzi wiersz-deklaracja zaczynający się od słów: „Dusza moja na zawsze zostanie dziewczyną”. Wspólnie z zięciem Michałem Pawlikowskim, mężem Leli, wydali w „Bibliotece Medyckiej” dwutomowe dzieło „Arthur i Wanda. Dzieje miłości Arthura Grotgera i Wandy Monné. Listy – Pamiętniki”.

Zmarła nagle we Lwowie w czerwcu 1930 r. w przeddzień wyjazdu na lato do starszej córki, swej zdolnej uczennicy i godnej następczyni na Parnasie. Pochowana jest w rodzinnym grobie Młodniczych i Wolskich na Łyczakowie.

PROCES, KTÓRY POWODUJE STARZENIE SIĘ ORGANIZMU, INTERESOWAŁ JUŻ STAROŻYTNYCH MYŚLICIELI. DŁUGO SPIERANO SIĘ, CZY STAROŚĆ WYNIKAŁA Z NATURALNEGO BIEGU WYDARZEŃ, CZY TEŻ BYŁA PATOLOGIA



KRZYSZTOF
ŻARYN



POZNAWANIE STAROŚCI

Problem starzenia się w starożytności istniał bardziej w świecie teorii niż praktyki. Mało kto z antycznych przodków osiągał wiek sędziwy. Prawie 60 proc. społeczności starożytnego Rzymu nie kończyło 20. roku życia. W innych cywilizacjach było podobnie.

Choroba czy...

Pierwszym, który wziął procesy starzenia pod uwagę, był Hipokrates. Jego teoria brzmiała, że upływ czasu był wprost proporcjonalny do upływu ciepła z organizmu. Według niego sam proces nosił znamiona zwyrodnienia ciała. Postrzegał go więc jako chorobę. Tę problematykę podjęli m.in. Arystoteles i Galen, którzy jednak poglądy mieli odmienne. Zgodzili się z Hipokratesem w kwestii wychłodzenia ciała, ale samo zjawisko uznali za zupełnie naturalne. Ich zdaniem starzenie się organizmu to konieczny bieg zdarzeń, niestety wiążący się z większą podatnością na choroby, a w końcu ze śmiercią.

W starożytności jedyną formą leczenia osób starszych była profilaktyka chorobowa. Sugerowano, by opóźniać procesy starzenia dietą, aktywnością i higieną życia. Jedynie placówki zajmu-

jące się opieką nad seniorami związane były z zamkniętymi kręgami religijnymi, np. w starożytnym Egipcie w klasztorach młodzi duchowni zajmowali się emerytowanymi braćmi i starcami spoza klasztoru.

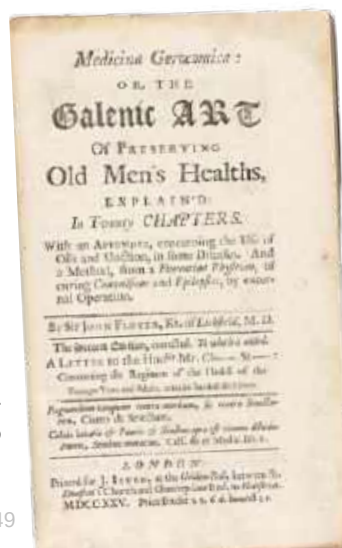
Średniowiecze cechowało się większym zainteresowaniem procesami starzenia. Materiału do badań wciąż nie przybywało, bo średnia wieku przeżywalności była nawet nieco niższa niż w cywilizacjach starożytnych. Jednak nie dotyczyła wszystkich. Arystokracja żyjąca w lepszych warunkach cieszyła się już dłuższym życiem niż gawiedź.

Podstawowymi zaleceniami medycznymi w kontekście geriatrii pozostawały higiena i zdrowy styl życia. Zwłaszcza nieznaną zasadą pierwszej z tych dziedzin w średniowieczu dziesiątkowała ludność. W XIII w. pewien zakonnik franciszkański do tej listy prozdrowotnych zachowań dołączył gerokomię, czyli m.in. „wdychanie oddechu młodej dziewczyny”, które miało ożywczo wpływać na sędziwych mężczyzn. Te zadziwiające sposoby na wydłużanie życia opisał w dziele „Lekarstwo

na starość i zachowanie młodości”. Coś w tej metodzie musiało jednak być, bo jej autor przeżył 80 lat...

Epoka renesansu to kolejny krok w kierunku zainteresowania medycznymi przyczynami biologicznej śmierci i procesami starzenia. Pod koniec XV w. pojawiła się praca włoskiego uczonego Gabriele Zerbiego pt. „Gerostocomia”, w której pierwszy raz rozdzielono śmierć z naturalnego procesu starzenia organizmu od śmierci z przyczyn chorobowych. Podobny pogląd wyrażał francuski naukowiec François Ranchin, który dodał do tej teorii myśl, jakoby starość to balansowanie człowieka między zdrowiem a chorobą.

Inny pogląd sformułował angielski filozof Francis Bacon. Uważał on, że starość jest wynikiem nieprawidłowych procesów naprawczych organizmu. Nieprawidłowość ta



„Medicina Geracomica”, sir John Floyer

miała sumarycznie w końcu doprowadzić do śmierci. Określił on pięć zasad, które winny opóźniać procesy starzenia organizmu. Były to m.in. unikanie nadmiernej ekscytacji, ochrona przed promieniami słonecznymi oraz aktywność fizyczna. Pewnym przełomem w dziedzinie geriatrii była opublikowana w 1724 r. przez sir Johna Floyera praca pt. „Medicina Gerocomica”.

Było to dzieło podsumowujące dotychczasową wiedzę z dziedziny medycyny na temat starości. Autor zebrał i opublikował wszelkie dostępne mu wiadomości o terapii osób starszych. Mimo że była to pierwsza praca z zakresu geriatrii, daleko jeszcze było do oficjalnego narodzenia się tej dziedziny medycyny. W XVIII w. bowiem wciąż mocno zakorzeniony był pogląd, jakoby to sama starość była jednostką chorobową, na którą zapadała coraz większa liczba osób.

...stan naturalny?

Z teorią tą spierał się Giovanni Morgagni (1682–1771), który jako jeden z nielicznych nie był zwolennikiem poglądu, że starość to choroba. Jego buntowniczy stosunek wynikał z praktyki lekarskiej. W wyniku licznie przeprowadzonych sekcji zwłok poczynił pewne obserwacje, a te skłoniły go do opracowania teorii, jakoby śmierć u osób starszych nie wynikała z ogólnego stanu chorobowego organizmu, lecz raczej z jego miejscowych dysfunkcji, które miały powodować zgon. Mimo tego głosu sprzeciwu lub – jak kto woli – rozsądku, dopiero w XIX w. jednoznacznie poznaczono się z tezą, że starość to choroba.

Bardzo duży wkład w rozwój dziedziny geriatrii mieli francuscy uczeni. To właśnie we Francji rozkwitła nauka na temat leczenia osób starszych. Od początku XIX w. nad Sekwaną zaczęto uprawiać medycynę starości. Zainteresowanie tą dziedziną potwierdziło teorię Morgagniego, a co więcej badania pozwoliły wnioskować, że te miejscowe dysfunkcje/patologie mogły przez długie lata nie dawać żadnych objawów nieprawidłowości. Badania te przeprowadziło dwóch francuskich lekarzy – Joachim Hourmanna i Amédée Dechambre (1812–1886)

w pierwszej połowie XIX w. Kolejni naukowcy z biegiem lat odkrywali kolejne zasady, np. w połowie wieku Jean-Martin Charcot (1825–1893) zaobserwował, że poszczególne dolegliwości wpływające na stan osób starszych są specyficzne dla tej grupy ludzi. Przykłady, które traktowano jako flagowe dla tych obserwacji, dotyczyły problemów kostnych, czyli były związane z osteoporozą.



Ignatz Leo Nascher

Geriatrya

Końcówka XIX w. to rozwój wielu specjalizacji medycznych. Oficjalnie wtedy narodziła się chirurgia czy neurologia. Również geriatrya swoją inicjację wiąże z tym okresem. Czynnikiem współistniejącym z pogłębianiem wiedzy w dziedzinie leczenia osób starszych było powstanie hospicjów. Pierwsze placówki istniały znacznie wcześniej, jednak za oficjalną datę ich narodzin uznaje się 1842 r., kiedy w Lyonie zorganizowano szpital dla nieuleczalnie chorych kobiet. Szybko powstające hospicja skupiały głównie osoby w podeszłym wieku. Tam właśnie obserwowano zależności między chorobami a wiekiem. Na podstawie tych korelacji stwierdzono, że starość to szczególny okres życia, kiedy pod innym kątem należy badać wszystkie poznane już dolegliwości. Za impuls do wydzielenia osobnego nurtu medycznego, jakim była geriatrya, uznaje się również opracowanie wykładów wspomnianego francuskiego neurologa Jeana-Martina Charcota, który dokładnie opisał choroby związane z wiekiem podeszłym.

Jednak mianem symbolicznych rodziców tej dziedziny medycyny określono innych medyków. Ojcem uznano Ignatza Leo Naschera (1863–1944), austriackiego lekarza, który jako pierwszy wprowadził do użytku termin „geriatrya”. Jego wieloletnie doświadczenie w placówkach szpitalnych pozwoliło zaobserwować zupełnie inne powiązania między przebiegiem choroby a wiekiem pacjenta. Te zależności opisał w pracy „Geriatrya,

choroby starości i ich leczenie”. Dzieło to stało się jednym z najważniejszych ogniw w rozwoju medycyny osób starszych.

Kobietą zaś, którą określono „matką”, była londyńska chirurga – Major Warren. Jak to z kobietami częściej bywa, była wyjątkowo troskliwa i nie pozostawiała obojętna na los pacjentów nawet tam, gdzie inni postawili już krzyżyk. Dzięki temu przejęła oddział, w którym leczono osoby o średniej wieku nierokującej długiej przeżywalności. Dlatego pacjenci ci nie wzbudzali zainteresowania innych lekarzy. Dr Warren otoczyła cały oddział solidną opieką, poczynając od gruntownego remontu budynku, a kończąc na sformowaniu profesjonalnego zespołu medyków, który zdołał opracować schematy leczenia osób w podeszłym wieku. Jej działania doprowadziły do tego, że w połowie XX w. Wielka Brytania przyjęła geriatrię do puli odrębnych dziedzin medycznych.

W dzisiejszych czasach na pewno można narzekać na wysoko przetworzoną żywność. Na całą gamę słodczych, fast foodów i innych odmian śmieciowego jedzenia. Nie ulega jednak wątpliwości, że okres naszego życia znacznie się wydłużył. W latach 50. XX w. średnia długość życia ludzkiego wynosiła ok. 63 lat, a w 2021 r. wzrosła do ok. 75 lat. Do długości naszego życia bez wątpienia przyczyniły się zdobycze medycyny i, moim zdaniem, zmiany w sferze żywienia. Możemy oczywiście uważać, że chleb ze smalcem czy swojską kiełbasą był zdecydowanie lepszy, bo wyrabiany z pewnych produktów, jednak pozostawał on dalej tłuszczem o dużej zawartości nasyconych kwasów tłuszczowych. Przetworzone margaryny możemy uważać za paskudne mazidło, ale pod względem składu mają

zdecydowanie pozytywny wpływ na nasze zdrowie. Można narzekać na żywność modyfikowaną, ale gdyby nie pewne zmiany wprowadzane w takie produkty, w ogóle mogłyby one zniknąć z naszych półek sklepowych. Przykłady można mnożyć. I choć nasze wspomnienia zawsze nostalgicznie będą przywoływać przeszłość, to jednak dzięki tym zmianom z naszym zdrowiem wcale tak najgorzej nie jest.



Jean-Martin Charcot

MANNLICHER-CARCANO, CZYLI WŁOSKI AMICO

KARABINY MANNLICHER-CARCANO WZ. 1891 I WZ. 1938 BYŁY
PODSTAWOWYM UZBROJENIEM WŁOSKICH ŻOŁNIERZY
W CZASIE I ORAZ II WOJNY ŚWIATOWEJ



KACPER
GROCHOCKI

Druga połowa XIX w. była okresem dynamicznego rozwoju broni strzeleckiej, a jego apogeum przypadało na lata 80. i 90. Właśnie wtedy pojawiło się wiele konstrukcji, udoskonalanych w kolejnych dekadach, które stanowiły podstawowe wyposażenie żołnierzy prawie każdej armii na świecie. Cztero- i dwutaktowe powtarzalne karabiny oraz karabinki, bo o nich mowa, stały się głównym rodzajem broni strzeleckiej i pozostały nimi aż do końca II wojny światowej.

W państwach, w których nie projektowano samodzielnie tego typu konstrukcji, bazowano na rozwiązaniach wypracowanych w innych krajach. Dodawano do nich własne pomysły i poprawki, nadające im indywidualnego charakteru. Tak też było w przypadku karabinów Mannlicher-Carcano, wzorowanych na karabinie Mannlicher-Mauser wz. 1888, wprowadzanych w ostatniej dekadzie XIX w. do armii włoskiej. Było to spowodowane koniecznością dorównania pozostałym europejskim mocarstwom, które wprowadzały bądź już posiadały tego typu karabiny w swoim arsenale – Austro-Węgry (Mannlicher), Niemcy (Mauser), Rosja (Mosin), Wielka Brytania (Lee-Metford, a później Lee-Enfield) i Francja (Lebel i Berthier).

Prace nad adaptacją do potrzeb włoskiej armii karabinu Mannlicher-Mauser zlecone zostały zespołowi ppłk.



Carcano pod nadzorem gen. Parravicino.

Główną zmianą względem pierwszego wzoru było zmniejszenie kalibru pocisku z 7,92 mm na 6,5 mm. Broń miała zmodyfikowany magazynek oraz lufę o rosnącym skrócie gwintu (zwiększającym się w kierunku wylotu lufy), co miało poprawić właściwości balistyczne pocisków – ostatecznie bez większych efektów, poza trudniejszym, a przez to droższym, procesem produkcyjnym. W ten sposób powstał karabin Mannlicher-Carcano wz. 1891, który występował w trzech wersjach – karabinu oraz dwóch karabinków – z krótkim łożem i składanym bagnetem oraz długim łożem i dołączanym bagnetem nożowym.

Doświadczenia I wojny światowej wykazały, że zastosowanie amunicji o tak małym kalibrze – do tego o owalnym wierzchołku – ma zasadnicze wady, takie jak mała zdolność przebicia i niski skuteczny zasięg. Mimo świadomości problemu włoskie kierownictwo wojskowe dopiero po wojnie w Etiopii podjęło decyzję o zdecydowanych pracach nad mocniejszym pociskiem i modernizacją karabinów systemu Carcano. I choć ani nowy nabój (kal. 7,35 mm), ani zmodyfikowany karabin nie spełniały oczekiwań, zostały przyjęte do uzbrojenia w 1938 r. oraz rozpoczęto proces przeobrażenia.

Karabin Mannlicher-Carcano wz. 1938 był krótszy od modelu wz. 1891 – całkowita długość wynosiła 101,6 cm. Miał czterotaktowy zamek ślizgowo-obrotowy, a magazynek mieścił (co odróż-

niało go od wielu innych, zwykle pięcionabojowych konstrukcji) sześć pocisków kal. 7,35 mm. Waga wynosiła 3,4 kg.

Nieudolność i niewydolność prowadzonego programu przeobrażenia włoskiej armii w nowy karabin sprawiła, że w momencie dołączenia do wojny w 1940 r. ze względu na niewielkie efekty powrócono do poprzedniego modelu karabinu na amunicję kal. 6,5 mm, a także z czasem zaczęto dostosowywać do tych pocisków wz. 1938. Ostatecznie powstało dziewięć różnych modeli karabinów i karabinków systemu Carcano, które produkowano w zakładach w Terni, Brescii (Beretta) i Turynie (FIAT).

Od 1943 r. po kapitulacji Włoch zdobyte karabiny Mannlicher-Carcano wz. 1938 do swojej amunicji kal. 7,92 mm zaczęli przystosowywać Niemcy, którzy odczuwali już braki w uzbrojeniu własnych jednostek.

Po II wojnie światowej Włosi wycofali karabiny systemu Carcano ze służby i zastąpili je amerykańskimi M1 Garand. W odwrotną stronę, do Stanów Zjednoczonych, powędrowała duża liczba zde-mobilizowanych karabinów – według oficjalnego śledztwa to właśnie z takiej broni miał zostać zastrzelony w zamachu prezydent J.F. Kennedy.

Do Polski karabiny Mannlicher-Carcano trafiły zaraz po I wojnie światowej – w 1919 r. w Wojsku Polskim znajdowało się ok. 6 tys. szt. tej broni. W 1920 r., po rozpoczęciu ujednolicania uzbrojenia w armii, karabiny te trafiły do służb tyłowych.

FOTOGRAFIA ZE STALAGU



**MARIUSZ
KWIENTNIEWSKI**

Niemieccy strażnicy robią przysłowiowe dobre miny do złej gry. Pozują uśmiechnięci i zadowoleni, czego nie można powiedzieć o pozostałych postaciach. Nakrycia głowy świadczą o tym, że są to czerwonoarmiści, a kilku z nich ma nawet charakterystyczne szpiczaste czapki zwane „budionówkami”. Patrzą tępo w obiektyw, ale w tych spojrzeniach wyraźnie widać jakąś niepewność. Za ich plecami rysuje się łuk okalający otwór okienny, co uświadamia nam, że ten ceglany obiekt ma bardzo grube ściany. To fragment murów twierdzy w Dęblinie.

Fotografię wykonano w okresie, kiedy hitlerowskie Niemcy były już w stanie wojny ze Stalinem, a w twierdzy funkcjonował obóz jeniecki o nazwie Stalag 307. Jej reprodukcja, wraz z innymi, trafiła do akt sprawy toczącej się przed Sądem Apelacyjnym w Lublinie przeciwko zbrod-

niarzowi wojennemu oberstleutnantowi Arturowi Giese, który w latach 1942–1943 był komendantem tego upiornego wówczas miejsca.

Wspomniana wyżej twierdza została wzniesiona w połowie XIX w. na narysie pentagonalnym z czerwonej cegły i otoczona głęboką fosą. Mury osiągały grubość 3–6 m i okalały plac o powierzchni 13,5 ha. Na cześć feldmarszałka Iwana Paskiewicza, który krwawo stłumił powstanie listopadowe, nazwano ją twierdzą iwangorodzką. Ze względów strategicznych na jej lokalizację wybrano ujście rzeki Wieprz do Wisły. Nigdy jednak nie odegrała ona jakiegóż ważnej roli militarnej. Na przeł. XIX i XX w. stacjonowały tam dość skromne siły rosyjskie. W okresie międzywojennym miejsce w niej znalazły dwie jednostki Wojska Polskiego: 15 Pułk Piechoty „Wilków” oraz 28 Pułk Artylerii Lekkiej.

Po zakończeniu kampanii wrześniowej hitlerowcy utworzyli w twierdzy etapowy obóz jeniecki dla żołnierzy

Czerwonoarmiści pod niemiecką strażą przetrzymywani w Stalagu 307 na terenie twierdzy dęblińskiej

ARCHIWUM IPN
SEKCYJA OPRACOWYWANIA
DOKUMENTACJI
AUDIOWIZUALNEJ

SGO „Polesie”. Wraz z agresją na Europę Zachodnią zaczęli oni do Dęblina przywozić żołnierzy holenderskich, belgijskich i francuskich. Ciągłe jednak był to obóz przejściowy. Dopiero po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej przystąpili do prac, które miały przystosować fortecę do roli obozu jenieckiego.

Pierwsze transporty jenieckie z frontu wschodniego zaczęły w odkrytych wagonach trafiać do Dęblina pod koniec września 1941 r. Już po przybyciu na rampę kolejową z wagonów wynoszono zwłoki. Wielu jeńców straciło życie w drodze do cytadeli, ponieważ zostali oni rozstrzelani lub bestialsko zakatowani przez popędzających ich strażników. Warunki w samej twierdzy były upokarzające, a tym, którym nie wystarczyło miejsca w koszarach, stajniach czy kazamatach, wyznaczano je na gołej ziemi ogrodzonej drutem kolczastym. Dziesiątkowały ich głód, zimno i choroby.

Jak podaje Tadeusz Opieka w monografii pt. „Twierdza Śmierci. Stalag 307” (wyd. w Dęblinie w 2010 r.), przez ten obóz przeszło 150 tys. jeńców sowieckich, a na terenie Dęblina życie straciło 80 tys. z nich. Twierdzę dęblińską i inne tereny położone w jej pobliżu autor nazywa największą zbiorową mogiłą w Europie; pogrzebano tam prawie 70 tys. ludzi.

W lutym 2024 r. minie 80 lat od chwili likwidacji Stalagu 307 w Dęblinie. W jego miejsce hitlerowcy utworzyli obóz dla oficerów pod nazwą Oflag 77, w którym przetrzymywali m.in. jeńców włoskich.



PRALKA „FRANIA”

Przez stulecia pranie było jedną z najbardziej czasochłonnych i uciążliwych prac domowych. Prano ręcznie w baliach lub miednicach, wielokrotnie pocierając odzież o tarę, tj. karbowany arkusz blachy, szkła lub ceramiki. Na wsiach stosowano kijanki, czyli drewniane łopatki, służące do wybijania brudu spomiędzy włókien tkaniny polewanej wodą. Drobne przepierki robiono na bieżąco, ale tzw. wielkie pranie, obejmujące wszystkie brudne rzeczy, zajmowało nawet kilka dni. W opublikowanych w 1987 r. badaniach obliczono, że ręczne pranie dla czteroosobowej rodziny zajmowało 430 godz. rocznie (54 dniówki), a wysiłek porównywalny był z pracą górnika (!).

Znaczną ulgę polskim gospodyniom przyniosło pojawienie się w 1958 r. „Frani” – wirnikowej pralki produkowanej w Zakładach Wyróbów Metalowych SHL w Kielcach. Składała się tylko z kilku głównych elementów: dwuczęściowej blaszanej emaliowanej obudowy, silnika z włącznikiem, przekładni pasowej, wirnika i węża spustowego. Wirnik obracający się z prędkością 500 obrotów na minutę wprowadzał w ruch wodę wraz z praniem. Brak tu obrotowego bębna, znanego z pralek automatycznych, który jest tylko częściowo napełniony wodą i wykonuje obroty naprzemiennie w obu kierunkach.

„Frania” stanowiła ogromny postęp w stosunku do prania ręcznego, oszczędzając wielokrotnego ugniatania mokrej odzieży, zarówno podczas prania, jak i płukania. Reklamowano ją hasłem „Upierz dobrze, szybko, bez zmęczenia”, a folder sieci sklepów „Eldom” prezentował zadowoloną panią domu, siedzącą w fotelu obok pralki. Nic dziwnego – nominalny czas prania wynosił zaledwie 3-5 min, bardziej zabrudzoną odzież zalecano prać



Na górnym zdjęciu: Pralki wirnikowe – pośrodku wersja z napędem na korbę, z prawej wirówka „Wirmet” – na wystawie „Nowoczesność w każdym domu”, 1969 r. Poniżej: wyżymanie prania przez wyżymaczkę, 1976 r.

2-3 razy dłużej. Oczywiście w porównaniu z późniejszą pralką automatyczną nadal pozostawało dużo fizycznej pracy – przede wszystkim podgrzanie wody (na kuchni) i napełnienie nią pralki, wyjęcie mokrej odzieży specjalnymi drewnianymi szczypcami i jej wyżymanie za pomocą charakterystycznej wyżymaczki na korbę. Na koniec brudną wodę należało spuścić wężem i wylać. „Frania” podczas pracy wymagała stałego nadzoru – drobne elementy odzieży mogły zakleszczyć się między wirnikiem a ścianką komory pralniczej, blokując i przeciążając silnik. Dlatego w wyposażeniu pralki był woreczek siatkowy, mający chronić mniejsze rzeczy przed wciągnięciem pod wirnik. Typowa „Frania” miała maksymalną pojemność 40 l, co odpowiadało 1,5 kg suchego prania. Produkowano też mniejsze, a nawet miniaturowe, turystyczne. Potocznie każdą pralkę wirnikową określano jako „Franię”, choć były również modele „Ewa”, „Kasia”, „Światowit”



N
A
C

i „Olkusz”, a także importowana z ZSRR „Riga”. Nie wszystkie

z nich miały charakterystyczną wyżymaczkę, składaną po pracy do wnętrza pralki, w sprzedaży pojawiły się więc osobne wirówki, np. „Wirmet”. Późniejsze pralki wirnikowe wyposażono w wyłącznik czasowy, odmierzający od 3 do 15 min, a nawet grzałkę. Istniały też wersje napędzane... ręczną korbą, która za pośrednictwem przekładni pasowej obracała wirnik. Przeznaczone były głównie na wieś, wówczas jeszcze słabo zelektryfikowaną – zaledwie 58,3 proc. w 1960 r., choć już 81,1 proc. w 1967 r.

Pojawienie się w latach 70. pralek automatycznych, ze słynną Polar PSS-663 Bio, nie zakończyło kariery „Frani”, tańszej i prostszej w obsłudze. Starsze pokolenie niechętnie przyjmowało „automat”, dochodziło nawet do ostrego sprzeciwu seniorek rodzin, uparcie przekonanych o większej skuteczności „Frani”. Pralka wirnikowa miała też wiele nietypowych zastosowań: płukanie ogórków, kręcenie majonezu, bicie śmietany, farbowanie tkanin, mieszanie betonu czy hydromasaż nóg (!). Wyżymaczka zaś służyła za improwizowany powielacz w podziemnej poligrafii lat 80.

Nawet koniec PRL nie zakończył definitywnie historii „Frani”. Często pozostawała zapasową pralką, używaną na działce czy letnisku albo tylko do prania bardzo zabrudzonej odzieży, np. roboczej. Była też niezastąpiona w miejscowościach bez wodociągu lub z niskim ciśnieniem wody w sieci. Dlatego u progu XXI w. „Frania”, w unowocześnionej wersji, nadal była produkowana i znajdowała nabywców. Z kolei wczesne lub nietypowe egzemplarze są cennym obiektem kolekcjonerskim i elementem wystroju wnętrz w stylu retro. Można powiedzieć, że charakterystyczny kształt pralki z wyżymaczką pozostaje, obok saturatora z wodą sodową, jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli PRL. ■

ŁUKASZ KAROLEWSKI

FOT. MAC

NAJWAŻNIEJSZE ŹRÓDŁA DO POWSTANIA WARSZAWSKIEGO



**KATARZYNA
UTRACKA**

W TYM ROKU MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO WYDAŁO DRUGĄ CZĘŚĆ PIERWSZEGO TOMU „ROZKAZÓW DOWÓDZTWA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO” POD RED. KATARZYNY UTRACKIEJ, RAFAŁA BRODACKIEGO, ANDRZEJA CHMIELARZA I GRZEGORZA JASIŃSKIEGO. OPRACOWANIE TO ZAMYKA PIERWSZY TOM SERII „ŹRÓDŁA POLSKIE DO POWSTANIA WARSZAWSKIEGO”. JEST TO ZBIÓR NAJWAŻNIEJSZYCH ŹRÓDEŁ DO BADANIA HISTORII WALK Z SIERPNIA I WRZEŚNIA 1944 r.

W pierwszej części, która ukazała się w 2021 r., znalazły się dokumenty wytworzone w sztabie komendanta Okręgu Warszawa AK i dowódcy powstania warszawskiego, płk. (od 14 września 1944 r. – gen. bryg.) Antoniego Chruściela „Montera” przed rozpoczęciem powstania oraz w pierwszym miesiącu walk. Datą graniczną był 2 września 1944 r., czyli dzień upadku Starego Miasta. Prezentowana publikacja zawiera dokumenty wytworzone po tej dacie – ostatnie pochodzą z 4 października 1944 r., kiedy to dowództwo powstania wydało rozkaz pożegnalny do żołnierzy oraz rozkaz nakazujący złożenie amunicji przed wyjściem do niewoli.

W sumie obie części zawierają 244 dokumenty, z czego 116 dokumentów znalazło się w prezentowanej drugiej części. Większość z nich nie była wcześniej publikowana – ich oryginały przechowywane są w zasobach Wojskowego Biura Historycznego, Archiwum Akt Nowych oraz Studium Polski Podziemnej w Londynie. Dokumenty, podobnie jak to było w pierwszej części, zostały przepisane i opatrzone bogatym aparatem krytycznym. Całość poprzedzono notą edyorską ułatwiającą lekturę oraz analizę materiałów. Zbiór dopełniają aneksy. Są to dziennik stanów, strat i zdobyczy Okręgu Warszawa AK, dane o powstaniu opracowane przez Komendę Okręgu, stan oddziałów powstańczych na dzień 1 października 1944 r., dwie relacje sporządzone przez gen. bryg. Antoniego Chruściela „Montera” i szefa Sztabu Komendy Okręgu Warszawa AK ppłk. Stanisława Webera „Chirurga”. Dodatkowo zamieszczono dwa schematy organizacyjne Warszawskiego Korpusu AK, powołanego 21 września 1944 r. w wyniku przeformowania sił powstańczych. Cennym dodatkiem są fotokopie wybranych dokumentów. Tom wieńczy wykaz skrótów, spis najważniejszych publikacji o tematyce powstańczej, które ukazały się po wydaniu pierwszej części pierwszego tomu edycji, oraz indeksy (topograficzny, geograficzny, nazwisk i pseudonimów).

Prezentowane dokumenty to kopalnia wiedzy o organizacji i funkcjonowaniu powstańczej armii. Czytelnicy znajdą w nich najważniejsze informacje dotyczące zmagañ powstańców, działalności poszczególnych służb czy spraw związanych z porząd-

kiem i bezpieczeństwem publicznym w Warszawie. Interesujące są też fragmenty, w których omawiane jest życie codzienne żołnierzy i cywili w ogarniętym walką mieście, w tym takie kwestie jak aprowizacja i brak wody. Podobnie warte uwagi są wyroki Wojskowych Sądów Specjalnych działających w powstańczej stolicy czy sprawy związane z wyjściem powstańców do niewoli.

Kolejny tom, nad którym pracujemy, wypełnią meldunki i raporty sytuacyjne, obwieszczenia i zarządzenia „Montera” oraz korespondencja wytworzona przez pozostałe komórki Komendy Okręgu Warszawa AK. W następnych zbiorach znajdą się materiały wytworzone w Komendzie Głównej i Komendzie Obszaru Warszawskiego AK, archiwalia dotyczące grup „Śródmieście”, „Południe” i „Północ”, w tym grupy „Kampinos”, oraz dokumenty dotyczące poszczególnych oddziałów powstańczych. Planujemy wydawanie zbiorów tematycznych (problemowych), m.in. dokumentów dotyczących bezpieczeństwa i porządku publicznego w powstańczej Warszawie, nastrojów panujących wśród ludności cywilnej, spraw wywiadowczych, kwatermistrzostwa, aprowizacji powstańczej Warszawy, opieki społecznej i współpracy AK z administracją cywilną.

Mamy nadzieję, że publikowane źródła nie tylko będą doskonałym materiałem badawczym dla historyków, lecz także zainteresują szersze grono czytelników, przyczyniając się do lepszego poznania dziejów powstania warszawskiego. Problematyka powstania bowiem tylko pozornie wydaje się wyczerpana. Wiele wydarzeń z sierpnia i września 1944 r. wymaga ponownego zbadania i opracowania, a mnóstwo tematów nadal pozostaje niezbadanych.



**Materiał przygotowany
przez zespół Muzeum
Powstania Warszawskiego**



Muzeum Powstania
Warszawskiego

CZYTAJ TEKSTY SWOICH ULUBIONYCH AUTORÓW

WSPIERAJ UCZCIWE, WOLNE,
POLSKIE MEDIA



Jesteśmy po
właściwej stronie
– tam, gdzie
umiłowanie Ojczyzny

JACEK KARNOWSKI

Konsekwentnie
bronimy prawdy. Udaje
się dzięki wsparciu
Czytelników

MARZENA NYKIEL

Pro Polskie, wolne
media są kluczem
do bezpiecznej
Polski

MICHAŁ KARNOWSKI

Korzystaj z e-prenumeraty **SIECI** i **HISTORII**
oraz dostępu do Premium **+** **wPolityce.pl**

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

